

ANALIZA WYBRANOWSKIEGO

Czy na prawo od PiS
jest jeszcze życie?

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 35/337 26 SIERPNIA-1 WRZEŚNIA 2019
CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DO
PIŚMIENI



Irlandia pod władzą LGBT

**DLACZEGO TRUMP OBRAZIŁ SIĘ
NA DUŃCZYKÓW**

- JACEK PRZYBYLSKI



„Mindhunter”, czyli
najlepszy produkt Netflixa
- ocenia Piotr Gociek

Jak się broniło
we Wrześniu 1939

Jak niszczono
jego mit w PRL

Jak niszczało
w III RP

Nieżłomne Westerplatte

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

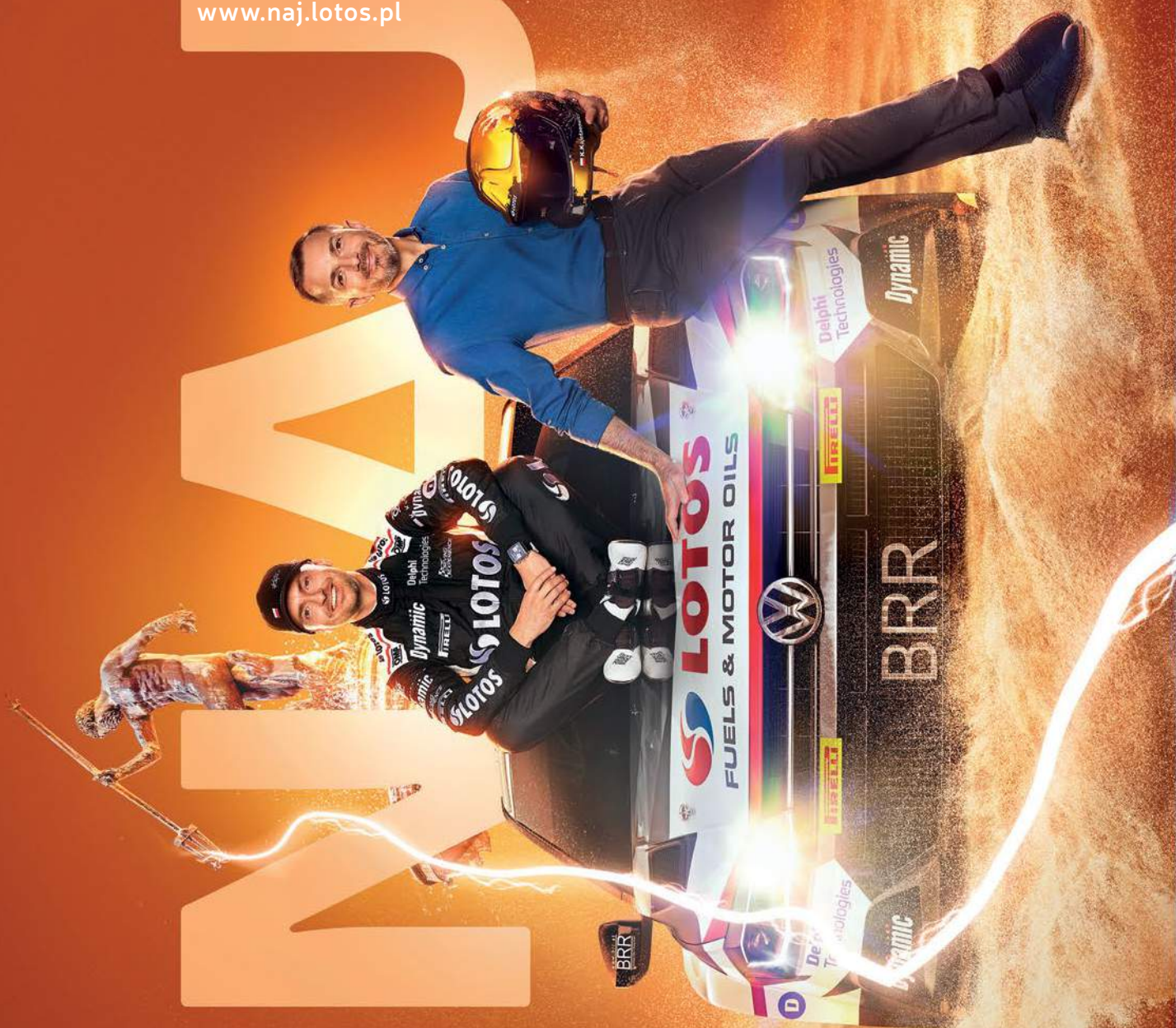


Nakład: 77 tys. egzemplarzy

NAJ NIE BIERZE SIĘ ZNIKAĆ

NAJ musi być doskonałe z każdej strony. Paliwa LOTOS powstają w najnowocześniejszej rafinerii w Europie. Tworzą je zaangażowani w swoją pracę eksperci oraz ludzie z pasją.

www.naj.lotos.pl



NAJ Z KAŻDEJ STRONY



www.niebieskislak.pl

Droga do NAJ jest długa. Dlatego jako pierwsi połączyliśmy Gdańsk z Warszawą **NIEBIESKIM SZLAKIEM** elektromobilności, tworząc sieć stacji ładowania samochodów elektrycznych.





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Nieustanne wzmożenia

Przez kilka dni w zeszłym tygodniu byłem we Włoszech i zacząłem przeglądać tamtejszą prasę. Było to akurat tuż przed kluczowym momentem przesilenia, kiedy to rozpadł się rząd Giuseppe Contego. Jak jeden mąż cała postępową prasę – wydaje się, że trudno tam znaleźć inną – rzuciła się do gardła wicepremierowi Matteo Salviniemu, przeciwnikowi przyjmowania przez Włochy kolejnych fal imigrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu. Na łamach takich gazet jak „Repubblica”, „La Stampa” czy „Corriere della Sera” mogłem przeczytać o nowej fali barbarzyństwa, o groźbie prawicowego populizmu, o czarnych dniach Europy, o potrzebie walki z początkami faszyzmu. W pewnej chwili nawet musiałem uszczypnąć się w policzek: Czy to na pewno Włochy?

Ten sam język moralnego oburzenia, ta sama zajadłość, ta sama wściekłość, która w Polsce jest skierowana przeciw PiS, we Włoszech uderzała w Salvinię. Nawet patos był podobny. Po tej lekturze, przyznaję, nie bardzo głębokiej, ile bowiem można się katować opowieścią o końcu świata, łatwo mogłem wyciągnąć jeden wniosek: liberalne, medialne

elity pod każdą szerokością i długością demokratyczną są do siebie niezwykle podobne. Tak bardzo przyzwyczyły się do rządu dusz, tak bardzo są przekonane, że przyszłość świata należy do nich, że nikt i nic nie jest w stanie ich z tego przekonania wyprowadzić.

Zamiast zatem analizować i szukać odpowiedzi na proste skądinąd pytanie: „Jakie wartości odnajdują ludzie w nowych przywódcach?”, wolą ich potępiać, obsmarowywać, błotem obrzucać. I zawsze działają z tym samym moralnym, nieznośnym wzmożeniem. Nawet wskazując słabości władzy, robią to tak karykaturalnie, że tracą wiarygodność.

Dokładnie taki sam mechanizm obronny występuje w Polsce. Od kilku tygodni cała medialna kanonada opozycji i związanych z nią mediów ma wykazać, jak bardzo bezecne i moralnie straszne są, były i będą rządy PiS. Najpierw przez dwa tygodnie słyszałem, że prawdziwym wyznacznikiem nowego Bizancjum było nadużywanie przez byłego już marszałka Sejmu samolotu, z którego zdarzało się skorzystać albo członkom jego rodziny, albo niektórym posłom. Tak właśnie to było przedstawiane – jako element szalonego rozpasa-

nia, wściekłego i nieokiełznanego luksusu. Po ustąpieniu Marka Kuchcińskiego dziennikarskie śledztwo skupiło się na premierze Mateuszu Morawieckim, któremu zarzucono, że skorzystał z samolotu, lecąc na pogrzeb przyjaciela.

Na pewno poważniej wyglądają, na pierwszy rzut oka przynajmniej, zarzuty, które postawiono niektórym urzędnikom Ministerstwa Sprawiedliwości, sędziom, którzy brali udział, jak można sądzić, w akcji oczerniania innych sędziów, krytycznych wobec rządu. Tyle że i w tym przypadku opozycja nie umie się zatrzymać. Jakaś osobliwa siła pcha ją ku temu, co groteskowe. I tak znowu usłyszałem o rzeczach „prerażających”, „haniebnych”, „straszliwych”, „podłych”, „szokujących”, o końcu „liberalnej demokracji”, katastrofie itd., itp.

Niezależnie od tego, czy chodziło o marsz w Białymstoku, czy o loty samolotem, czy wreszcie o „hejt”, zawsze muszą pojawić się najmocniejsze porównania, najstraszliwsze oskarżenia, najbardziej gorące akty oburzenia.

Tak samo zresztą było i przy poprzednich wyborach do Parlamentu Europejskiego i w wyborach samorządowych. Tyle że wcześniej dowodem końca demokracji były spotkania prezesa Jarosława Kaczyńskiego z austriackim biznesmenem lub inwestycje Mateusza Morawieckiego sprzed lat w nieruchomości.

„Afera” goni „afere”, demokracja upada raz na tydzień, faszyści podnoszą twarz co miesiąc, rozpisanie i Bizancjum szaleje coraz bardziej, a lud? A lud, co ciekawe, jakoś dziwnie nieporuszony. Tak we Włoszech, jak i w Polsce oraz innych państwach z coraz większą dozą sceptycyzmu przyjmuje opowieść serwowaną mu przez media. Nadal wybiera tych, których wielkie media odsądziły od czci i wiary. Zachowuje zdrowy rozsądek i nie ulega presji nachalnej propagandy zagrożonych utratą przywilejów elit. ©

RYСУNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

18 PIOTR SEMKA

JAK TO Z WESTERPLATTE BYŁO

Dzieje konfliktu o miejsce pamięci

22 ROZMOWA Z JACKIEM KOMUDĄ

WESTERPLATTE CHCIAŁO SIĘ BIĆ DALEJ

KRAJ

26 WOJCIECH WYBRANOWSKI

NA PRAWICY BEZ ZMIAN

Nie ma jedności na prawo od PiS

29 ROZMOWA Z RYSZARDEM CZARNECKIM

MAMY W RĘKACH MOCNE KARTY

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

BŁĄD ANTYSYSTEMU

34 ŁUKASZ WARZECHA

MORZE TANDETY

36 ŁUKASZ ZBORALSKI

ŚMIERĆ MILIONERA

38 ROZMOWA Z DEMOGRAFEM

PROF. PIOTREM SZUKAŁSKIM

ŁÓDŹ SFRUSTROWANA

40 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

CELEBRYTA SIĘ ŻENI

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK

NA SKRAJU OTCHŁANI

„Mindhunter” – nowy sezon najlepszego produktu Netflixa

44 ROZMOWA Z EWĄ ZIEMBIŃSKĄ

WYTĘSKNIONY ETAP POLSKI ZAMOYSKIEGO

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 KS. PRZEMYSŁAW ARTEMIUK

ZWODNICZOŚĆ POSTMODERNIZMU

Religia w ponowoczesności

58 PIOTR CZYŻEWSKI

HOMOSEKSUALIZM OBOWIĄZKOWY

62 TOMASZ A. ŻAK

MIESZANIE KULTURY

HISTORIA

64 ROZMOWA Z DR. TOMASZEM KOZŁOWSKIM

ESBECY SIĘ PRZYMIŁALI

Autor książki „Koniec imperium MSW” o drugim życiu agentów

68 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT

EDWARD LINDE-LUBASZENKO – ŻYCIORYS Z WYROKU HISTORII

ŚWIAT

70 JACEK PRZYBYLSKI

PO CO TRUMPOWI GRENLANDIA?

Wielka rozgrywka mocarstw

74 JAKUB WOZINSKI

KURS NA SALVINIEGO

76 GABRIEL MICHALIK

MIEDZY WIEDZMĄ A SZAMANEM

80 TOMASZ TELUK

REPUBLIKA KONTRASTÓW

EKONOMIA

82 STEFAN SĘKOWSKI

SZKODLIWA CENA MINIMALNA

Powrót do gospodarki centralnie sterowanej?



SPORT

86 ŁUKASZ MAJCHRYZYK

PIĘKNY SEN

Koszykarze w Chinach

STYL

88 TOMASZ KAŻMIEROWSKI

PELLE BEZ KIWKI

Wakacyjny cykl o winie

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ

ZAPOBIEC CHOROBY SERCA

Drodzy Czytelnicy,

Dziś w rubryce samochody i tramwaje, a dokładniej alkohol na drodze i polityka w komunikacji publicznej. Listy elektroniczne prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Procenty na drodze”, Łukasz Zboralski, „DRZ” 32/2019

Szanowny Panie Redaktorze!

[...] Nieprawdą jest, że starosta (tudzież prezydent miasta na prawach powiatu) MOŻE skierować na badania osobę, która jechała „po pijaku”. Otóż ustawodawca nie pozostawił w tym zakresie żadnej uznaniowości (art. 99 ustawy o kierujących pojazdami) – starosta obligatoryjnie kieruje takiego jegomościa na: 1) kontrolne badania lekarskie (dość szczegółowe – przeprowadzane w wojewódzkich ośrodkach medycyny pracy, a nie np. u sąsiada lekarza), 2) kontrolne badania psychologiczne w zakresie psychologii transportu, 3) dwudniowy kurs reedukacyjny w zakresie problematyki przeciwalkoholowej i przeciwdziałania narkomanii oraz 4) (jeśli sąd orzekł zakaz prowadzenia pojazdów na okres powyżej roku) egzamin kontrolny sprawdzający kwalifikacje do kierowania pojazdami (testy plus jazda). Zatem system weryfikacji działa w naszym kraju dobrze. Często kierowców traci uprawnienia do kierowania pojazdami, potknąwszy się na badaniach lub egzaminie. [...]

Uważam, że jedyną skuteczną karą za jazdę po pijanemu, jest przepadek pojazdu. Artykuł 44 § 2 Kodeksu karnego dopuszcza takie rozwiązanie, niestety niezawodny Sąd Najwyższy skutecznie utracił taką możliwość, orzekając w 2008 r., że „Pojazd mechaniczny stanowi przedmiot czynności wykonawczej przestępstwa określonego w art. 178a § 1 k.k., a więc nie należy do kategorii przedmiotów, które służą lub są przeznaczone, w rozumieniu art. 44 § 2 k.k., do popełnienia tego przestępstwa” (mamy rozumieć, że do jazdy po pijanemu potrzebna jest tylko butelka?!). Właściciel drogiego auta nie będzie ryzykował jego utraty, właściciela taniego auta nie będzie stać na kolejne itd. Przeglądając treść kolejnych wyroków sądowych dotyczących notorycznych pijanych kierowców, zauważam, że zmieniają się okoliczności, ale bardzo często marka i numer rejestracyjny pojazdu pozostają te same.

Reasumując: zabierzmy matemu Kamilkowi wiatrówkę, z której strzela do sąsiadów, a nie stawiajmy go tylko do kąta na cały dzień!

Z pozdrowieniami dla całej załogi „Do Rzeczy”

Marcin Szwarc

Szanowna Redakcjo,

z opóźnieniem przeczytałem mądry artykuł red. Łukasza Zboralskiego. [...] Dlaczego nie mamy skorzystać z doświadczeń innych państw? I tak, myślę, że i u nas powinna być wprowadzona kwalifikacja „morderstwa drogowego”. Kosmetyczne zaostrzenie kar wprowadzone przez ministra Ziobrę powinno zostać zmienione i za przykład brać np. ustawodawstwo włoskie: za jazdę z 1,5 promila alkoholu – minimum osiem lat. Innym dobrym przykładem są przepisy duńskie: jeśli ktoś ma w organizmie ponad dwa promile alkoholu, to możliwe są konfiskata samochodu i jego sprzedaż na aukcji. Obecne przepisy: dwa lata więzienia dla nietrzeźwego sprawcy wypadku ze skutkiem śmiertelnym brzmi jak zachęta do picia przed jazdą. Zwłaszcza że nasze sądy dla takich sprawców przeważnie ferują wyroki w zawieszeniu – jak informuje red. Zboralski. Interesujący wydaje się przykład Słowacji, gdzie kierowca przyłapany na prowadzeniu po alkoholu musi być obowiązkowo poddany badaniu psychiatrycznemu.

Głośny jest przepis litewski o doświadczonej grzywnie za rozmowę lub – co gorsza – czytanie z komórki przy przechodzeniu przez ulicę na przejściu dla pieszych. Dlaczego u nas nie ma takiego przepisu?

Szanowna Redakcjo, apeluję o rozpoczęcie dyskusji na ten temat.

**Z poważaniem
Tadeusz Szostak**

Zimoch w łódzkich tramwajach

Po przeczytaniu notki w rubryce dwóch panów G. o kandydacie łódzkiej KO, red. Tomaszu Zimochu, przyszło mi do głowy takie oto pytanie: We wszystkich łódzkich tramwajach i autobusach MPK słychać głos T. Zimocha informującego pasażerów o przystankach i konieczności skasowania biletu. Czy w czasie ciszy wyborczej głos ten zniknie z pojazdów?

**Z poszanowaniem
stały czytelnik
prof. dr hab. Krzysztof Szmidt, UŁ**



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

ZESPÓŁ: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan**, **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, **Piotr Ciolek**, **Waldemar Łysiak**, **Krzysztof Masłoń**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemiakiewicz**
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, **Oliver Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojarczyk**,
Grzegorz Brzozowicz, **Slawomir Cendiewicz**, **Wiesław Chelminiak**,
Dominika Łosić (Bruksela), **Krzysztof Czabański**, **Piotr Gursztyn**,
Maria Kądzelska, **Katarzyna**, **Jacek Komuda**, **Slawomir Koper**,
Piotr Kowalczyk (Rzym), **Jakub Kowalski**, **Grzegorz Kucharczyk**,
Tomasz Lenczewski, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzyk**, **Marcin Makowski**,
Monika Małkowska, **Karolina Marchlewska-Trzmiel**, **Gabriel Michalik**,
Filip Memches, **Agnieszka Niewińska**, **Andrzej Nowak**, **Maciej Pieczyński**,
Katarzyna Pinkosz, **Witold Repetowicz**, **Agnieszka Rybak**, **Krzysztof Rybiński**,
Stefan Sękowski, **Joanna Siedlecka**, **Teresa Stylińska**, **Artur Szeremeta**,
Tomasz P. Terlikowski, **Błażej Torasiński**, **Szewach Weiss**, **Piotr Włoczyk**,
Marcin Wołski, **Tomasz Wróblewski**, **Wojciech Wybranowski**,
Igor Zalewski, **Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska**, **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak**, **Anna M. Piotrowska**,
Małgorzata Puzyr, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk**
(także „Super Express”)

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański**,
Jacek Nadartowski, **Anna Sobieska-Wójcisz**, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**, **Marzena Dobosz**,
Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystopa**
Okładka: **Ilustracja Dark Crayon**, **oprac. graf. Szymon Wojciak**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, **Robert Protkoński**, **Ewa Rykaczewska**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 77 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, że dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszelkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



Perła w koronie



PKO Bank Polski, który przed tygodniem pokazał najlepsze w sektorze bankowym wyniki, jest też, nieprzerwanie od listopada 2017 r., najcenniejszą spółką notowaną na warszawskiej Giełdzie Papierów Wartościowych. Jego wartość to ok. 50 mld zł. W czerwcu symbolicznie prześcignął pod względem wyceny rynkowej niemieckiego giganta – Deutsche Bank.

PKO, z charakterystyczną skarbonką w logo, jest też najbardziej odpornym na ewentualne sytuacje kryzysowe bankiem w Unii Europejskiej. Potwierdziły to tzw. stress testy przeprowadzone w 2018 r. przez Europejski Urząd Nadzoru Bankowego.

ROBIĄ SWOJE

Przez ostatnie 10 lat ten największy polski kredytodawca dwukrotnie zwiększył skalę działania. Wydaje się, że lepiej niż konkurencja potrafił wykorzystać dobrą koniunkturę rodzimej gospodarki, przyciągając nowych, zwłaszcza młodych klientów.

Obecna pozycja banku to skutek realizacji strategii rozwoju skupionej na kliencie oraz wykorzystującej nowoczesne technologie. – Innowacyjność i transformacja cyfrowa stały się ważnym elementem działania banku – częścią jego DNA – tłumaczy Zbigniew Jagiełło, prezes

PKO BP. Dodaje, że to odpowiedź na coraz silniejszą digitalizację społeczeństwa i gospodarki.

IKO, CZYLI BANK W TELEFONIE

To właśnie PKO BP stworzył IKO, czyli aplikację mobilną pozwalającą nie tylko na dokonywanie płatności w sklepie, Internecie czy wypłaty z ban-

komatów, lecz także wykonywanie przelewów, zaciąganie pożyczek gotówkowych, kupno ubezpieczeń czy biletów komunikacji miejskiej, a nawet dostęp do internetowego kantoru.

Popularność IKO wśród klientów, spośród których już 3,6 mln zainstalowało ją na swoich smartfonach, daje bankowi pozycję lidera bankowości mobilnej w Polsce z 25-procentowym udziałem w rynku. Wysokie oceny aplikacji wystawione przez jej użytkowników już dwukrotnie przyniosły IKO zwycięstwo w rankingu brytyjskiego Retail Banker International na najlepszą bankową aplikację mobilną na

świecie. Polska apka pokonała produkty takich banków jak JP Morgan Chase, Bank of America czy Barclays.

IKO dała też początek nie-mającej precedensu współpracy największych polskich banków, które wspólnie powołały Polski Standard Płatności, czyli operatora systemu płatności mobilnych BLIK.

INKUBATOR INNOWACJI

Właśnie dla pozyskiwania najcenniejszych nowatorskich pomysłów i adaptowania ich do swoich potrzeb PKO BP stworzył własną platformę wsparcia innowacji i współpracy ze start-upami nazwaną Let's Fintech with PKO Bank Polski. Dzięki temu z powodzeniem stosuje rozwiązania pozwalające na masowe wykorzystanie m.in. technologii blockchain oraz sztucznej inteligencji. Projekty wdrażane przez bank łączą się również z cyfryzacją administracji publicznej. Za pośrednictwem serwisu bankowości internetowej jego klienci mogą np. składać wnioski o świadczanie „500+”, założyć tzw. profil zaufany czy potwierdzać tożsamość przy okazji rocznego rozliczenia z fiskusem.

PKO PB dominuje też w polskiej bankowości korporacyjnej i inwestycyjnej. Łączna wartość finansowania udzielona podmiotom gospodarczym – m.in. w postaci kredytów, obligacji i leasingu – przekroczyła w pierwszym półroczu br. 100 mld zł.

Dlatego też, wykorzystując swój potencjał technologiczny, bank wraz z Polskim Funduszem Rozwoju rozwija Chmurę Krajową. To rozwiązanie adresowane jest do polskich przedsiębiorstw i ma wspierać ich cyfrowy rozwój. To także element tworzenia systemu usług przyszłości, wykraczających poza tradycyjną bankowość, oraz transformacji banku w firmę technologiczną z licencją bankową.

Helena Majewska

Polska jako pierwsze państwo z Europy Środkowo-Wschodniej została zaliczona do grona krajów rozwiniętych. Rok temu globalna agencja indeksowa FTSE Russel ogłosiła zmianę klasyfikacji naszego kraju z krajów rozwijających się do krajów rozwiniętych, dzięki czemu znaleźliśmy się w gronie 25 najbardziej rozwiniętych gospodarek świata.

PKO PB jako jedyny polski podmiot wszedł do grupy dużych spółek tego indeksu i znalazł się w towarzystwie takich firm jak Microsoft i Apple. Umożliwia mu to teraz pozyskanie nowej grupy inwestorów zainteresowanych dużymi spółkami w Europie i na świecie.

W sierpniu PKO BP wypłacił swoim akcjonariuszom 1,66 mld zł dywidendy z zysku za 2018 r. Nie dzieląc reszty kwoty wypłaconej w ubiegłym roku, zostawił sobie dużą elastyczność co do wielkości przyszłorocznej wypłaty z zysku. To dobra wiadomość dla obecnych i przyszłych inwestorów.



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

„Mała EmiE” – duża wpadka

Parę dni, które minęły od wybuchu afery Emigate, dobrze posłużyły ocenie właściwej skali skandalu w Ministerstwie Sprawiedliwości. Zamiast reklamowanej „farmy trolli” – jak się okazało – działalność jednej twitterowiczki. Zamiast wysypu kłamstw – większość informacji

mówiąc, rozchwiana emocjonalnie. Kimś, kto zmienił o 180 stopni swoją niechęć do niektórych sędziów na lojalną współpracę z tymi, których tak niedawno atakował.

Nie wiadomo, co bardziej rzuca cięć na ministra Zbigniewa Ziobrę – to, że dobrał sobie tak pozbawionych wyobraźni współpracowników, czy to, że – jak twierdzi – o niczym nie wiedział. Linia obrony, że to tylko kłótnia między dwiema grupami sędziów, nie brzmi poważnie. Chociaż faktem jest, że pokazuje, jak bardzo w ten spór wdarły się emocje.

Jeśli jednak ta sprawa nie budzi takiego samego oburzenia po prawej stronie co po lewej, to wynika to z pamięci o kontekście wojny o sądy. Sędziowie spod znaku prezes Małgorzaty Gersdorf w rodzaju sędziego Matczaka grają niewiele mniej ostro i chętnie faulują.

A Platforma, oburzona dziś hejtem na zamówienie, sama wystawia w wyborach Klaudię Jachirę, happenerkę, która w kłamliwy sposób sugerowała, że Jarosław Kaczyński ma teczke tajnego współpracownika SB.

To, czego nie wiemy, to ile jeszcze haków i o jakiej sile rażenia

przekazała „Mała EmiE” stowarzyszeniu Iustitia. I ilu dziennikarzy z prawej strony wdało się w lepkie relacje z twitterowiczką.

Sędziowie walczący z wszelkimi próbami reformy sądownictwa mają powody do triumfu. Zyskali mocne argumenty, dzięki którym mogą przedstawiać się jako skrzywdzeni „sędziowie niezłomni”. Teraz każdą krytykę przyrównywać będą do akcji wiceministra Piebiaka. Nie wolno dać narzucić sobie takiego szantażu moralnego. Wysok w Ministerstwie Sprawiedliwości jest nie do obronienia, ale to nie znaczy, że spór o sądownictwo nie miał realnych podstaw. Dobra pamięć pozwala przypuszczać, że z tej strony też szły informacje do proopozycyjnych mediów, mające zaszkodzić sędziom, którzy poparli zmiany. Czy już zapomnieliśmy, jak „Gazeta Wyborcza” wydrukowała tekst pozwalający ustalić domowy adres sędziego TK Marka Muszyńskiego? Czas pokaże, w jakim stopniu Emigate zaszkodzi rządzącej partii. Na razie jej liderzy mają czas na refleksję, jakie kadry wystawili do zmieniania resortu sprawiedliwości. I jak mroczną otchłanią bywa świat Twittera. © ©

Platforma, oburzona dziś hejtem na zamówienie, sama wystawia w wyborach happenerkę, która w kłamliwy sposób sugerowała, że Jarosław Kaczyński ma teczke tajnego współpracownika SB

podawanych przez wiceministra Łukasza Piebiaka była, jak się wydaje, prawdziwa, choć znalazły się wśród nich dane wrażliwe, takie jak np. informacje o dziecku jednego z sędziów, co budzić musi oburzenie. Jednak to, co w tej sprawie zdumiewa, to ufność i brak ostrożności, z jaką wiceszef resortu wdał się we współpracę z kobietą, która okazała się, delikatnie



FOT. PRAWEL SUPERNAK/PAP

IPN: „ŚCIANY TOTALITARYZMÓW”

– Pakt Ribbentrop-Mołotow oznaczał IV rozbiór Polski. Po II wojnie światowej komuniści chcieli wymazać prawdę o tym tajnym protokole, który narodom Europy Środkowo-Wschodniej przyniósł zniewolenie – oznajmił prezes IPN Jarosław Szarek, otwierając na pl. Piłsudskiego w Warszawie wystawę plenerową „Ściany totalitaryzmów. Polska 1939–1945”. Na ścianie poświęconej okupacji niemieckiej pokazano m.in.: terror wobec ludności cywilnej i Powstanie Warszawskie, a na ścianie poświęconej okupacji sowieckiej: wywózki, Katyń, łagry. © © (jap)

Jak wynika z ujawnionych materiałów, w aferę zamieszani są wysocy rangą urzędnicy resortu sprawiedliwości, m.in. były już wiceminister Łukasz Piebiak oraz sędzia Jakub Iwaniec, były członek zespołu ministerialnego ds. zwalczania mowy nienawiści, oraz Emilia S., występująca w Internecie jako „Mała EmiE”, prywatnie żona sędziego Tomasza Szmydta, dyrektora biura Krajowej Rady Sądownictwa.

Z publikacji i materiałów ujawnionych przez portal Onet.pl oraz m.in. „Gazetę Wyborczą” i TVN24 wiadomo, że urzędnicy resortu sprawiedliwości mieli instruować i wykorzystywać kobietę do publikowania w mediach społecznościowych informacji mających skompromitować część sędziów krytycznie oceniających prowadzoną przez Ministerstwo Sprawiedliwości reformę

Troll z pałacu sprawiedliwości

Wiceminister sprawiedliwości Łukasz Piebiak podał się do dymisji, a sędziemu Jakubowi Iwańcowi cofnięto delegację do tego resortu. To efekt publikacji Onetu, który ujawnił, że urzędnicy dostarczali internetowej hejterce informacje kompromitujące niewygodnych dla nich sędziów

sądownictwa w Polsce, w tym szefa stowarzyszenia Iustitia prof. Krystiana Markiewicza.

Działająca na Twitterze pod nickiem „Mała EmiE” kobieta miała według Onetu nawiązać kontakt z wiceministrem Piebiakiem i sędzią Iwańcem. Za pośrednictwem komunikatorów interneto-

wych mieli jej przekazywać informacje kompromitujące niektórych sędziów. Te dalej sama umieszczała na Twitterze, albo przekazywała niektórym dziennikarzom – ci mieli publikować niekorzystne dla wskazanych sędziów dane. Hejterka w korespondencji z wiceszefem resortu sprawie-

dliwości chwaliła się m.in. tym, że wysłała 2,5 tys. anonimów oczerniających szefa stowarzyszenia sędziów Iustitia.

Po publikacji Onetu i rezygnacji wiceministra Piebiaka szef resortu sprawiedliwości Zbigniew Ziobro przekonywał, że o sprawie nie wiedział. – Jeśli w przyszłości dojdzie do mnie informacja, że którykolwiek z sędziów z jakiegokolwiek strony mógłby uczestniczyć w tego rodzaju procederze, zawsze będę działał tak samo stanowczo – powiedział minister sprawiedliwości.

Opozycja uważa jednak wyjaśnienia ministra sprawiedliwości za niewystarczające i domaga się również jego dymisji. Sprawę bada – po wniosku polityków lewicy – prokuratura. Wyjaśnieniem, czy doszło do nielegalnego wycieku danych osobowych sędziów, zajął się też Urząd Ochrony Danych Osobowych. ©

Wojciech Wybranowski

REKLAMA

kebu

ZAKLINACZ SYNTEZATORÓW

WYSTĄPI W POLSCE!

12 października 2019

Klub Progresja

Warszawa

BILETY: PRESTIGEMJM.COM



Prestige
MIM

REGENT
WARSAW HOTEL

wprost

DO RZECZY

WP

cgm.pl

STRÖER

VIXON

PRESS SERVICE

pap



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Zwycięstwo prowokacji

Poseł Marek Jakubiak opublikował w mediach społecznościowych pismo, które otrzymał od policji w odpowiedzi na swoje poselskie zapytanie. Dotyczyło ono zajęć podczas „marszu równości” w Białymstoku. Policja podała, że liczba osób, które po szeroko relacjonowanych w mediach zamieszkach zgłosiły się jako pobite, zaatakowane lub

do rozstroju zdrowia trwającego ponad siedem dni), ale nie przez osoby poszkodowane.

Skądinąd wiadomo, że ani jeden poszkodowany nie zgłosił się również tego dnia na białostockie pogotowie ani do żadnego ze szpitali. W tej sytuacji jedynymi dowodami „prawicowej przemocy” podczas Parady Równości pozostał internetowy filmik, na którym jeden młody mężczyzna (niby uczestnik blokady) bije drugiego (niby uczestnika manifestacji LGBT), oraz zdjęcie zakrwawionej dziewczyny z rozbitym nosem. Przy czym już kilka godzin po tym, jak materiały te obiegły po wielokroć światowe media, udowodniono, że pobicie na filmie zainscenizowało dwóch youtuberów z kanału dla LGBT i ciosy są markowane, natomiast dziewczyna na zdjęciu to pobita przez policję uczestniczka blokady.

Jednak ktoś, kto by sądził, że w takim razie media przestaną wra-

cać do sprawy rzekomego „pogromu”, zwyczajnie nie dorósł do epoki postmodernizmu. Fakt, że fakt nie miał miejsca, w najmniejszym stopniu nie wpływa na propagandę na nim zbudowaną. W końcu zaangażowało się w nią zbyt wiele zbyt wpływowych autorytetów i środowisk, by przeszkadzał im taki drobiazg jak to, że wszystko, co tak ich oburzyło, zostało wyssane z palca. Każdy dzień przynosi w Polsce i na świecie nowe publikacje, apele i proklamacje, w których „to, co działo się w Białymstoku”, przywoływane jest jako dowód stoczenia się Polski w otchłań faszyzmu. I nie mijemy złudzeń: zmyślony pogrom homoseksualistów będzie trwał w mediosferze, tak jak trwa w niej maybach o. Rydzyka, ofiarowany przez bezdomnego, marsz 60 tys. neonazistów przez Warszawę w Dniu Niepodległości oraz nieśmiertelne, archetypiczne już 4 tys. Żydów z WTC. ©©

Fakt, że fakt nie miał miejsca, w najmniejszym stopniu nie wpływa na propagandę na nim zbudowaną

poszkodowane w jakikolwiek inny sposób, wyniosła zero. Policja odnotowała skrupulatnie, że złożono jedno zawiadomienie o przestępstwie z art. 158 § 1 k.k. (udział w bójce) i jedno dotyczące art. 157 § 2 k.k. (doprowadzenie



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Lewica ma program

Dalibóg w końcu na scenie politycznej w opozycji do PiS pojawiło się ugrupowanie, które ma program. No, może nie tyle program, ile pomysł na jeden z elementów budowy „nowego wspianego świata”

Eurodeputowana Sylwia Spurek, aktywistka Wiosny współpracującej z Lewicą, przedstawiła na Twitterze swój postulat: „Musimy sprawić, by produkcja wyrobów odzwierzęcych była trudniejsza i droższa”.

Tłumacząc z lewicowego na ludzkie: jeśli dojdziemy do władzy, to sprawimy, by produk-

cja mięsa się nie opłacała, a to, co trafi na rynek, było drogie jak cholera.

Już słysząc ten aplauz upadających hodowców bydła, zwłaszcza trzody chlewnej, środowiska bardzo silnego w Wielkopolsce, skąd pani Spurek startowała, właścicieli zakładów przetwórczych i konsumentów.

Nowego wspianego świata, który chciałaby nam stworzyć lewica, jawi się coraz bardziej jak kosztmar z połączenia światów „Roku 1984” i „Folwarku Zwierzęcego”. Eurodeputowana Spurek zatroszczyła się także np. o los dzikich ptaków, na które właśnie

zaczął się sezon łowiecki. „Każdy przyzwoity człowiek powinien głośno protestować, kiedy krzywdzone i zabijane są zwierzęta” – ogłosiła. Los zabijanych dzieci, jak się okazuje, obchodzi ją mniej, bo w innej ze swoich intelektualnych polucji bulwersowała się, że w Polsce odmawia się kobietom prawa do usuwania ciąży. Wiosna deklarowała wprowadzenie prawa do aborcji na żądanie do 12. tygodnia. Notabene taki sam postulat podnosiła inna lewicowa aktywistka Barbara Nowacka, obecnie w Koalicji Obywatelskiej. Lewica bliżej ludzi... A nie, wręcz przeciwnie. ©©



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O kardynalnym błędzie osądu

Nikt, nawet najstarsi włoscy komentatorzy, którzy w polityce widzieli już wszystko, nie jest w stanie pojąć, dlaczego wicepremier i szef Ligi Matteo Salvini w środku lata postanowił popełnić na oczach narodu polityczne samobójstwo.

A wszystko szło świetnie. Poparcie dla eurosceptycznej i bardzo niechętniej migracji Ligi, podobnie jak notowania Salviniego, stale rosło. Z sondaży

wybranych w marcu ubiegłego roku, z mirażem obecnych sondaży. Wrogowie mówią o odbierającej zdolność logicznego myślenia megalomanii.

Salvini wypowiedział koalicję kontestacyjnemu Ruchowi Pięciu Gwiazd, zażądał wotum nieufności dla premiera Conte'go i natychmiastowego rozpisania wyborów. Naturalnie większości parlamentarzystów natychmiastowe wybory są bardzo nie na rękę. Przeraża ich perspektywa spektakularnego zwycięstwa centroprawicy i własnej wyborczej klęski. Jest więc jasne, że zrobią wszystko, by do przyśpieszonych wyborów nie dopuścić.

Efekt jest taki, że Salvini na własne życzenie wyładował na politycznym aucie. Uszykował pułapkę na premiera i Ruch Pięciu Gwiazd, a zaraz potem sam w nią wpadł. Mało tego – naraził Włochów na możliwe 3,5-letnie rządy koalicji szaleńców z Ruchu Pięciu Gwiazd i do cna zideologizowanych postępowców Partii Demokratycznej.

Słusznie mawiają Anglicy, że spieszyć się trzeba tylko przy łapaniu pcheł. A uczeni postępowi mężowie przekonują teraz w mediach ze strachu przed wyborami, że byłyby ciosem w zasady demokracji. Jest więc nie tylko strasznie. Jest też wesoło. © ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

**WIĘCEJ O SYTUACJI POLITYCZNEJ
WE WŁOSZECH I MANIPULACJI
Z WYKORZYSTANIEM MIGRANTÓW
NA STR. 74**

wynikało, że od czasu wyborów w marcu ubiegłego roku słupki skoczyły z 17 niemal do 40 proc. Taki wynik w wyborach pozwala samodzielnie rządzić. Zamiast spokojnie czekać nad brzegiem rzeki, aż zaczną nią płynąć ciała zdesperowanych politycznych wrogów, Salvini wywołał kryzys, co można jedynie tłumaczyć niedowładem organu intelektualnego. Nawet najzagorzalsi zwolennicy podejrzewają, że Salvini pomylił dwie rzeczywistości: realną, czyli układ sił politycznych w parlamencie



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Przytul polityka

Ostatnie tygodnie przed wyborami liderzy partyni spędzają na układankach personalnych. Koalicja Obywatelska, kompletując swoje „listy śmierci”, sięgnęła z tej okazji po głębokie rezerwy. A dokładnie po blogerkę, słynącą z występów z kukiełką Jarosława Kaczyńskiego. „Klaudia Jachira nową Jandą PO. Potwierdza to ogólną tendencję w liberalno-lewicowej »elicie«, gdzie Michnika zastąpił Wojewódzki, Turowicza Lis, Mazowieckiego Schetyna, Geremka Biedroń, Kuronia Owsiak, Tischnera Lemański, Wajdę Vega, a Miłosza i Szymborską, Nurowska z Gretkowską” – stwierdził Rafał A. Ziemkiewicz.

Nie wszyscy jednak w równym stopniu zasłużyli na łaskę Grzegorza Schetyny. „Zapowiada się interesujący bój o Senat. Kolejne info o składzie i porozumieniach, zawieranych przez opozycję, daje nadzieje na sukces. Jedyne, czego brakuje, to jednak kandydatury Romana Giertycha z Warszawy. Prawnicy tej klasy bezcenni” – napisał Bogdan Zdrojewski. „Mało kto zrobił tak wiele dla obrony demokracji i praworządności, co Giertych. Właśnie takich ludzi potrzeba i w Sejmie, i w Senacie! A zwłaszcza w polskim prawie. Nam też brakuje Romana Giertycha” – dodał „Sok z Buraka”. I to jest ten moment, w którym cytaty podane bez autorów, wyglądałyby jak trolling. A jednak nim są.

À propos nazwisk. „Start do Senatu jest moją świadomą i przemyślaną decyzją – tego wymaga odpowiedzialność za Polskę. Nie liczy się dla mnie sam fakt bycia w Sejmie, liczy się wyłącznie wynik całej Koalicji Obywatelskiej. 51 mandatów w Senacie to absolutne minimum” – postanowił Krzysztof Brejza, lider kampanii parlamentarnej KO. „W tym, co Pan napisał, nie ma grama czegokolwiek, co można by uznać za wiarygodne wyjaśnienie. Przykro mi” – nie uwierzył mu jednak Tomasz Lis.

Nic dziwnego, że emocje robią się napięte, w końcu stawka jest wysoka. „Rozmowa, która właśnie przydarzyła mi się na Plantach. – Przepraszam, czy pan jest prawdziwym Gowinem? – Tak. – Czy mogę się do pana przytulić? Bo zawsze chciałam przytulić polityka. Żałuję nie-politycy :)” – wyznał Jarosław Gowin. Prawdziwy. © ©

WYJĄTKOWO TRAGICZNA BURZA W TATRACH

Pięć osób zginęło – cztery po stronie polskiej i jedna po słowackiej – a 157 trafiło do szpitali w wyniku porażień piorunami, do których doszło w czwartek w Tatrach. Rażenia odnotowano głównie w okolicach kopuły szczytowej Giewontu, a także na Czerwonych Wierchach.

W akcji ratowniczej brało udział ponad 180 osób, śmigłowiec „Sokół” TOPR oraz aż cztery jednostki Lotniczego Pogotowia Ratunkowego, samochody terenowe TOPR i GOPR oraz wozy straży pożarnej.

W piątek ratownicy wciąż poszukiwali osób, które mogły zaginąć w górach. Na konferencji prasowej radzili, aby nie lekceważyć sygnałów o zbliżającym się załamaniu pogody – w przypadku czwartkowej burzy wyładowania słychać było co najmniej pół godziny przed tragicznym uderzeniem pioruna – a przed wyjściem na szlak sprawdzać w aplikacjach pogodowych, jaka będzie pogoda.

Szlak na Giewont – który podczas burzy należy do szczególnie niebezpiecznych miejsc ze względu na metalowy krzyż oraz łańcuchy – został zamknięty do odwołania. Burmistrz Zakopanego w związku z tragedią ogłosił trzydniową żałobę. W związku z trudną sytuacją w Tatrach premier Mateusz Morawiecki udał się na południe Polski. ©© (jap)



157 osób

CO NAJMNIEJ TYLU RANNYCH TRAFIŁO
DO SZPITALI

5 osób

CO NAJMNIEJ TYLE OSÓB ZGINĘŁO,
W TYM DWOJE DZIECI





FOT. ADAM BURKOWSKI/REPORTER

CIEMNOŚĆ WIDZĘ

Aktorka i piosenkarka Maria Peszek w najnowszym wywiadzie dla Onetu odważnie wyznaje, jak źle jej się żyje w Polsce i jak wielu poświęceń to od niej wymaga. To znak, że pewnie nowa płyta na horyzoncie i trzeba o sobie jakoś przypomnieć. A jak wiadomo, sprawdzone sposoby są najlepsze. I przewidywalne do bólu. I tak oto pani Peszek mówi, że ma awersję do wspólnot, no chyba że jest to wspólnota LGBT, wtedy spoko. Mówi też, że jest pacyfistką, i uważa, że „nie ma takiej idei, dla której warto poświęcić życie”, no chyba że chodzi o eutanazję, wtedy jak najbardziej okej. Potem opowiada, że czuje się patriotką i nie jest jej obojętne, „jak wygląda ten kraj”. Po czym dodaje, że „jest to jedna z najciemniejszych ojczyzn, jaką można sobie wylosować”. Wylosować to sobie można miejsce w samolocie. Do czego panią Peszek bardzo zachęcamy. I jej będzie lżej, i w ojczyźnie jaśniej.

MUSI BYĆ ŚWIATOWO

Uwaga! Najsłynniejszy detektyw w Polsce Krzysztof Rutkowski wziął ślub, co jest fatalną wiadomością dla wszystkich fanek jego niepowtarzalnej fryzury. Ślub był z pompą, kosztował podobno milion złotych, a panna młoda miała pięć różnych kreacji. Wybranką detektyna jest Maja Pilch, aspirująca celebrytka. Tak bardzo aspirująca, że po ślubie przyjęła nazwisko męża w zmienionej nieco formie. Teraz Maja Pilch jest Mają Rutkowską. Nie Rutkowską, lecz Rutkowską właśnie. Dlaczego tak? Pani Maja postanowiła wytłumaczyć to w telewizji śniadaniowej. – Ta forma Rutkowski bardziej mi się podoba. Brzmi bardziej światowo – stwierdziła. Bez wątpienia! Byk w nazwisku zawsze dodaje prestiżu.

SZCZEROŚĆ W CENIE

Blanka Lipińska to nowa celebrytka, która zastąpiła książkę, będącą kolejną już polską odpowiedzią na „50 twarzy Greya”. Lipińska pisze więc romansidła dla kobiet i rozpoczyna swą przygodę z show-biznesem. Także z kombinacjami z medycyną estetyczną, czego – w przeciwieństwie do większości celebrytek – ani się nie wypiera, ani się nie wstydzi. – By wyglądać tak jak teraz, wydałam kilkadziesiąt tysięcy złotych – przyznała w telewizji śniadaniowej. – Zawsze chciałam mieć szczupłą twarz. Zrobiłam sobie operację wycięcia torebek tłuszczowych z policzków. Nigdy nie będę udawać, że mam dietę zmieniającą rysy twarzy. Jestem zrobiona na tyle, na ile było mnie stać – dodała. Czyli jeśli pani Blanka znów się wzbogaci, to od razu poznamy to po jej twarzy. Chociaż nie, wtedy twarzy raczej nie poznamy.

JAKIM PRAWEM KOMENTUJĄ?

Aktorka Marta Wierzbicka w wywiadzie dla „Glamour” opowiada o tym, jak to się stało, że tak bardzo straciła na wadze. Mówi, że to efekt tego, że ma teraz dobry czas w swoim życiu. – Moja dzisiejsza waga to wypadkowa tego, w jakim momencie życia jestem. A ten jest bardzo dobry – spełniam się zawodowo, mam szczęśliwe życie osobiste. Moje ciało zareagowało w ten sposób na warunki, w jakich żyję. Zaakceptowałam to, kim jestem – powiedziała. Dodała też, że utrata wagi nie była skokowa. – Przede wszystkim moje schudnięcie nie odbyło się w sposób drastyczny. Chudłam systematycznie przez rok. Wiesz, co najbardziej mnie w całym tym zamieszaniu zdziwiło? Postawa innych kobiet, że wyglądam niezdrowo i że powinnam coś zjeść. Zaczęłam się zastanawiać, w jakich w ogóle czasach żyjemy, dlaczego ludziom wydaje się, że mają prawo w ten sposób komentować wygląd innych, oceniać – żali się. Racja! Przecież zdjęcia w bikini wrzuca się na Instagram po to, by ich, broń Boże, nikt nie komentował! ©



FOT. FORUM

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, nasza specjalizacja w sprzedaży pakietów internet+telefon i umiejętności negocjacyjne potwierdzone na LinkedInie przez cały kolektyw zostały dostrzeżone!

Otóż dostaliśmy niedawno telefon od tajemniczego przedstawiciela pewnej firmy, który na obecnym etapie rekrutacji nie mógł zdradzić jej nazwy, z ofertą pracy, o której nie mógł powiedzieć niczego więcej, poza tym, iż

Bogatsi o te doświadczenia już wiemy, o co nie pytać podczas następnej rozmowy. Wtedy po prostu pewnie podpiszemy proponowaną umowę, ale of kors bez sprawdzania, dla kogo, za ile i w jakim wymiarze czasowym. Zupełnie wystarczą nam ambitne cele, młody kreatywny zespół i pozycja firmy jako lidera na rynku.

Skoro już opowiadamy o tym, co słyhać w naszym korporacji, to jeszcze wspomnimy,

więc teraz i wkuwamy te obco brzmiące dla nas wyrażenia. A w dodatku Nowy jeszcze zakazał pisać w mailach „witam” i mamy stosować „dzień dobry”. No naprawdę, cofamy się coraz szybciej do Średniowiecza.

Niepokoï nas co chwilę poruszany postulat decentralizacji tego kraju :/ np. teraz PiS-owska minister Emilewicz chciałaby przenieść do Poznania Polską Agencję Rozwoju Przedsiębiorczości, a znając PiS, to za chwilę wyciągną łapska po kolejne instytucje.

Widzicie to? Trybunał Konstytucyjny – cyk do Jasła. Dwa tygodnie i wszyscy o nim zapominają, nikomu nie będzie się chciało protestować w obronie instytucji z Jasła, już nie mówiąc, że to kawał drogi na protesty.

Albo Sejm i Rada Ministrów do Jarosławia, żeby nie było wątpliwości, kto ostatecznie rządzi w tym kraju. Sąd Najwyższy między Opole a Namysłów. Najwyższą Izbę Kontroli jeszcze kawałek za Biłgoraj. Prezydenta do Opoczna.

A to wszystko w ramach prześladowań opozycji, iżby miała trudniej z protestami, bo komunikacja publiczna w tym kraju jaka jest, każdy widzi. © ©

Niepokoï nas co chwila poruszany postulat decentralizacji tego kraju

jest. No i że nasze doświadczenie sprzedażowe będzie sporym atutem.

Dopytywaliśmy o takie istotne szczegóły, jak praca w młodym, dynamicznym zespole, nastawionym na cele, o owocowe czwartki i możliwość wychodzenia do domu przed 19. Świadomi sytuacji na rynku pracy nie poruszaliśmy tematu wynagrodzenia, ale pytanie o owoce i wyjścia przed zmrokiem pozwoliły rekruterowi zdiagnozować nas jako roszczeniowych millenialsów i odrzucić naszą kandydaturę już na tak wstępnym etapie rekrutacji.

jak to Nowy z Tarnowa usiłował zrepolonizować nasze korporacyjne wyrażenia – skrótowce wywodzące się z zachodniego języka angielskiego. Takie, które rozumie cały cywilizowany świat, a które, jak się okazuje, drażnią podkarpackiego ciemniaka.

Otóż młody nakazał, aby w komunikacji mailowej i słownej nie stosować ASAP, ale „natychmiast”, nie FYI, a „żebyś wiedział”, i że nie chce słyszeć o żadnych deadline’ach i od dzisiaj mamy mówić: „termin”. Z kolei targety nam przemianował na „cele”, a support na „wsparcie”. Siedzimy

f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

REKLAMA



Instytut Pamięci Narodowej zaprasza na promocję książki **Macieja Korkucia „Walcząca Rzeczpospolita 1939–1945”**

Udział wezmą:

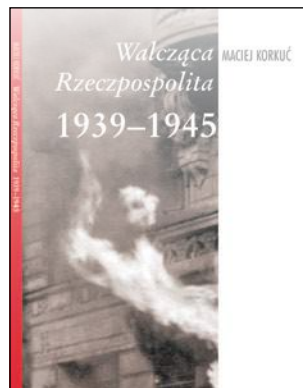
dr Maciej Korkuć
autor, IPN Oddział Kraków

dr Marek Szymanik
kierownik działu naukowego
Muzeum II Wojny Światowej

Prowadzenie: dr Jędrzej Lipski

28 sierpnia (środa) 2019 r., godz. 17:30

Przystanek Historia Centrum Edukacyjne IPN
ul. Marszałkowska 21/25, Warszawa



Patroni medialni:

1939 HISTORIA

d DZIEJE.PL
historia

książki
historia

HIST MAG

RZECZY

Organizatorzy:

IPN
Instytut Pamięci Narodowej

PRZYSTANIEK HISTORIA

Farma trolli. Takie nowe popularne określenie. W polskich słownikach jeszcze go nie ma, ale znaleźliśmy definicję w zagranicznym. Znana firma. Collins. „An organization whose employees or members attempt to create conflict and disruption in an online community by posting deliberately inflammatory or provocative comments”.

Ponieważ zdymisjonowany wiceminister Łukasz Piebiak ani mała Emilia nie wyczerpują znamion bycia „an organization”, zaczęliśmy się zastanawiać, co i kto wyczerpuje. „Newsweek”? „Wyborcza”? NaTemat.pl? Za łatwe. Wreszcie – eureka! – przypomnieliśmy sobie! Kto? O tym poniższy notkocytat.

Jak dowiedziała się »Rzeczpospolita«, w PO powstał plan poprawienia pozycji partii w internecie. Rządzący są przekonani, że oddanie tego pola w kampanii prezydenckiej było jedną z głównych przyczyn porażki Komorowskiego. – Kopacz powiedziała, że zatrudniliśmy 50 hejterów, którzy mają krytykować PiS. Docelowo będzie ich około 100 – zdradza nam jeden z uczestników spotkania w Jachrance”. To fragment tekstu Marcina Pieńkowskiego z czerwca 2015 r. No wreszcie jesteśmy w domu! PO to bez wątpienia organizacja, więc do definicji ze słownika Collinsa pasuje.

W związku z rzekomą farmą trolli sędzia najwyższa, czyli Gośka Gersdorf, oczekuje dymisji Zbyszka Ziobry. My też oczekujemy dymisji. Gośki Gersdorf. Jest nam łatwiej, bo w odróżnieniu od daty odejścia Zbyszka data odejścia Gośki jest znana. 30 kwietnia przyszłego roku. I ani dzień dłużej. A jakby coś kombinowała, to KON-STY-TU-CJA! KON-STY-TU-CJA!

Szczegóły dobrej wiadomości: to już mniej niż 250 dni pracy bohaterskiej Gośki Gersdorf! A gdy odejmiemy święta, niedziele, soboty i te daty, kiedy Gośka Gersdorf siedzi w TVN, to dosłownie wyjdzie ledwie parę dni. No na te parę dni zaciśniemy zęby i jakoś wytrzymamy, prawda?

Zachęcamy Eine Totalopposition do dalszej działalności. Atak na pensje rządu PiS przyniósł obniżkę pensji

wszystkim posłom i ministrom. Atak na loty polityków PiS przyniósł ustawę ciężką dla wszystkich polityków. Atak na rzekome trolle sędziowskie z PiS – narodziny kodeksu, który będzie batem także na sędziów obsobaczających PiS i łamiących zasadę apolityczności. Co dalej? Proponujemy atak na polityków PiS za to, że jedzą. To ani chybi przyniesie powszechny zakaz odżywiania się dla wszystkich parlamentarzystów. Tego chcecie, robaczki?

Tymczasem młoda gwiazda lewicy, obiecujący socjaldemokrata Jerzy Wenderlich, oświadczył, że „Polacy zaczęli się gorzej odżywiać za rządów PiS”. Widzieliśmy ostatnio paru posłów. Oraz europosłów. A nawet ministrów, nie mówiąc już o gwiazdach opozycji. Nie potwierdzamy.

dwaj panowie g

Wiadomo jednak, że gdy Polak głodny (lub przynajmniej gorzej odżywiony), to zły. Może stąd odjazd reżysera Vegi Patryka? Wtajem-

Eugeniusza nazywa się Marek Sawicki. Ten wpływowy baron od dawna agitował przeciw Kłopotkowi, przedstawiając go w oczach partyjnych kolegów jako PiS-owskiego kreta. Koronnym dowodem na PiS-owskość Kłopotka miało być to, że pilnuje on państwowych gęsi za państwowe pieniądze. A jeśli ktoś bierze kasę od Ardanowskiego, to jest PiS-owcem.

Czegoś nie rozumiemy. Całkiem niedawno Sawicki awanturował się, że minister rolnictwa nie chce dać pieniędzy jednemu z jego peezelowskich kompanów na mleko, spółdzielnię mleczną czy coś równie peezelowskiego. Czyli chciał, żeby ten kompan wziął kasę od Ardanowskiego, czyli żeby został PiS-owcem. Co było do udowodnienia.

Marek Jakubiak, browarnik, husarz, narodowiec i wążacz, został bezpartyjnym samorządowcem. I to z Krakowa. Owszem, rzecz zaskakująca. Jednak przyznajmy: Pawła Kukiza zostającego peezelowcem nie przebiję żaden transfer w tym sezonie. Ani Jakubiaka, ani Kowala, ani Poncyła, ani nawet Neymara do Huraganu Morąg, gdyby do takiego doszło.

Z życia czerwonych. Jak pamiętacie, nieoficjalna wiadomość była taka: Robik Biedroń nie kandyduje z list zjednoczonej lewicy do Sejmu, bo jest rezerwą strategiczną, czyli kandydatem na prezydenta Polski. Od wiadomości nieoficjalnych ważniejsze są jednak

Pawła Kukiza zostającego peezelowcem nie przebiję żaden transfer w tym sezonie. Ani Jakubiaka, ani Kowala, ani Poncyła, ani nawet Neymara

niczeni ludzie ze środowiska filmowego opowiadają, że najpierw się odchudził, a dopiero potem mu odbiło – nie odwrotnie. Co tłumaczy fakt nakręcenia filmu „Polityka” oraz groźby Vegi, że teraz zrobi coś o prezydencie Andrzeju Sebastianie. Zawsze wiedzieliśmy, że odchudzanie jest szkodliwe. Dlatego preferujemy kuchnię berlińską oraz śląską.

Ujawniamy. Tajemnica nagłego zakończenia politycznej kariery przez peezelowca Kłopotka

wiadomości sekretne. Z nich zaś dowiedzieliśmy się, że Robikowi nikt prawdy w oczy nie powie: on ma sobie zostać spokojnie w europarlamencie, bo kandydatem lewicy na prezydenta musi koniecznie być kobieta.

À propos prezydentów, ale tych pomniejszych. Dulcessa Gdańska znana z zamiłowania do radośnych pochodów i płaśw w rocznicę 1 września jest przez druhów z Peło usypiana podobnymi kołysankami jak

Robik na lewicy. Że nadejdzie jej czas, a Polska potrzebuje nowego prezydenta. Dulczessa łyka te opowieści jak gęś kluski.

Tymczasem w realu dzieją się rzeczy o wiele ciekawsze. Trójmiejskie wiewiórki odnotowały, że podczas gdy Dulczessa bryluje i ratuje Polskę przed faszyzmem, tak naprawdę Gdańskiem rządzi niejaki Jacek Karnowski, prezydent Sopotu, który często widywany jest w gdańskim ratuszu. To piękna idea platformerskiego Dwójmia-

w Senacie. Nie tracimy jednak nadziei. Wiewiórki mówiły nam nawet, że jacyś desperaci podjęli się zbierania podpisów dla mecenasa Konia w Kórniku w Wielkopolsce. Taka niby-inicjatywa oddolna. Senator Qń z Qrnika? Też brzmi dobrze.

Ludzie Grzegorza Króla Skorpiona Schetyny utrzymują, że w całe to zamieszanie z potencjalnym kandydowaniem mecenasa Romana spod Warszawy to był pic na wodę. W grze był bowiem pewien inny okręg, ale taki, w którym PiS zawsze nakrywa PO czapką, więc Koń się zbiesił.

Zrzucenie mecenasa Konia z sań ma mieć – zdaniem wiewiórek – duże konsekwencje. Roman miał bowiem zaprzysiąc okrutną zemstę Grzegorzowi Skorpionowi. Zemsta ma polegać na

Nie bardzo rozumiemy – jak może być zagrożone coś, czego już nie ma?

sta. Trzecie miasto, czyli Gdynia, jeszcze się trzyma. Wolne Miasto Gdynia!

Trójmiasto lub Dwójmiasto to w ogóle fajne miejsce. Ostatnio popularna jest tam DODA. Nie zwykła wyginająca śmiało ciało Doda, tylko DODA – Deklaracja Obrony Demokracji. Podpisał ją między innymi Lech Bolek Wałęsa. Porozumienie zawarto z uwagi na „dramatyczne zagrożenie demokracji w Polsce”. Nie bardzo rozumiemy – jak może być zagrożone coś, czego już nie ma? Uważnie czytamy „Wyborczą” i słuchamy posłów PeŁo, więc wiemy lepiej.

Mecenas zwany Koniem ogłosił, że po głębokim namyśle nie zgodził się kandydować z okręgu podwarszawskiego do Senatu. Oczywiście chlipiemy w kąciку, bo jak nożem uciął odjęło nam wszystkie te dowcipy o koniu Kaliguli

tym, że na stanowisku przewodniczącego PeŁo osadzony ma być Bogdan Zdrojewski. A operację wymiany szefa przeprowadzi wraz z Romanem jego klient – Staszek Gawłowski.

Tymczasem mamy nowego ministra spraw wewnętrznych. Nominacja Mariusza Kamińskiego zwanego Mariem wywołała popłoch w wielu miejscach naszego pięknego kraju. Dlatego wiadome kręgi postanowiły przyspieszyć pracę nad wydaniem książki, która ma się wkrótce ukazać i przedstawić Maria jako esbeckiego kapusia. Tak, mówimy o kręgach, które wcześniej przedstawiały Krwawego Antoniego Macierewicza jako ruskiego agenta.

Wiewiórki opowiadają, że autorzy wielkopomnego dzieła anty-Mariowego to krąg słynnego „gangu przebiezańców”. To znaczy krąg gości, którzy udawali, że są z Agencji Wywiadu, i nabierali na to różnych ludzi. Teraz mają ciepło, bo zainteresowały się nimi prawdziwy wywiad i prawdziwa policja. Więc koniec będzie żałosny. Niczego innego nie spodziewamy się po książce. ©©



Konserwatorski projekt rewitalizacji obszaru chronionego pola bitwy na Westerplatte

FOT. IGOR STRZOK ATELIER ARCHFORT

Obóz prezydent Gdańska Aleksandry Dulkiwicz od dwóch miesięcy prowadzi akcje przeciw specustawie na temat Westerplatte pod trzema hasłami. Po pierwsze, inicjatywa rządu jest próbą uprzedzenia planów miasta w kwestii zagospodarowania terenu. Po drugie, w całej inicjatywie PiS chodzi o pisanie historii na nowo i upolitycznienie przekazu przyszłej ekspozycji. Po trzecie, chodzić ma w sporze o makiawelistyczne podzielenie społeczeństwa. „Dziś Westerplatte staje się symbolem dzielenia Polek i Polaków, a hasło »patriotyzm« jest zawłaszczane przez jedno ugrupowanie polityczne” – ogłosiła niedawno Magdalena Adamowicz, wdowa po byłym prezydencie Gdańska. „Stop fałszowaniu historii!” – głosił jeden z transparentów KOD.

W całej tej kampanii na rzecz zachowania kontroli miasta Gdańska nad terenami walk sprzed 80 lat starannie unika się informacji, że już raz próbowano zagospodarować muzealnie słynny półwysp. Warto przypomnieć, jak ta inicjatywa powstała, kto był jej autorem i jak potem politycy Platformy ją zniszczyli.

Bez tego nie sposób zrozumieć obecnego sporu.

SZACOWNE ŚMIETNIKO

Władze PRL miały z Westerplatte kłopot. Bohaterska obrona półwyspu heroizowała przedwojenne „burżuazyjne” Wojsko Polskie, ale po mit ten sięgnęła

Jak to z Westerplatte było



Piotr Semka

Specustawa była jedyną drogą do budowy muzeum na Westerplatte. Władze Gdańska raczej paraliżowałyby budowę parku historycznego. Ten konflikt trwa od lat

komunistyczna armia Zygmunta Berlinga, tworząc 1. Warszawską Brygadę Pancerną im. Bohaterów Westerplatte, która szturmowała Gdańsk w 1945 r.

Z inicjatywy kpt. Franciszka Dąbrowskiego w 1946 r. powstał cmentarz obrońców Westerplatte. Władze partyjne postanowiły połączyć obie tradycje. Od-

slonięty w 1966 r. pomnik Obrońców Wybrzeża przedstawiał zarówno marynarza – symbol obrony w 1939 r., jak i kościuszkowca z pepeszą – jako ułkon w stronę LWP zdobywającego te tereny w końcu wojny. W 1971 r., na fali odwilży gierkowskiej, sprowadzono z Włoch i pochowano tu zwłoki mjr. Henryka Sucharskiego.

W 1981 r. na cmentarzu obrońców przywrócono krzyż, usunięty w latach 50. W 1987 r. miejsce to raz jeszcze weszło do zbiorowej świadomości Polaków, przy okazji spotkania papieża Jana Pawła II z 38 żyjącymi wtedy jeszcze westerplaczkami i młodzieżą.

Środowisko weteranów obrony już od lat 50. występowało z postulatem budowy muzeum na terenie walk. Proponowano, by odbudować zrujnowane tzw. nowe koszary i stworzyć w nich placówkę muzealną wraz ze schroniskiem młodzieżowym. Bez skutku. Na Westerplatte turyści mogli oglądać tylko małą ekspozycję w dawnej wartowni nr 1, która powstała w 1974 r. Poza tym nikt nie dbał o zaznaczenie dawnej linii okopów czy torów kolejowych. Niszcząca resztki infrastruktury obronnej.

W 1993 r. ówczesny wojewoda Maciej Płażyński oddał miastu w zarząd większość terenów Westerplatte, co było elementem polityki wzrostu uprawnień samorządów.

Przez kolejne lata, poza coroczną uroczystością 1 września, na naznaczonym historią półwyspie nie działo się zbyt wiele. Dopiero w 2000 r. Mariusz Wójtowicz-Podhorski – historyk, badacz i entuzjasta kultywowania pamięci o walce żołnierzy mjr. Sucharskiego – wraz z grupą innych społeczników założył Stowarzyszenie Rekonstrukcji Historycznej Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte.

Wójtowicz-Podhorski zaczął publikować w prasie alarmistyczne artykuły o stanie dawnego pola walk. W 2003 r. wysłał do prezydenta Pawła Adamowicza duży memoriał. Postulował w nim rekonstrukcję śladów dawnych okopów, wskazywał na możliwość odbudowy infrastruktury obronnej, staranne opisanie miejsc walki i wpisanie terenu do rejestru zabytków.

Żadnej odpowiedzi nie było. Dewastacja trwała. Podobnie żadnej odpowiedzi na analogiczne memoriały nie było od ministrów kultury za czasów rządów Leszka Millera i Marka Belki.

Sprawę degradacji terenu Westerplatte zauważała wówczas nawet trójmiejska edycja „Gazety Wyborczej”. „Śmietnisko i dziki szalet” – tak o stanie półwyspu pisała w maju 2005 r. Władze Gdańska zareagowały na krytykę wielkim



sprzątaniem, ale po jakimś czasie znów zapomniano o miejscu walk.

KRÓTKOTRWAŁE NADZIEJE

W końcu 2005 r. do władzy dochodzi PiS. Nowym konserwatorem zabytków, podległym poprzez wojewodę rządowi, zostaje dr Marian Kwapiński. To pierwszy pomorski urzędnik, który poważnie traktuje zadanie uporządkowania Westerplatte i pozytywnie odnosi się do planów Stowarzyszenia Westerplatte. Zbiera całą istniejącą w temacie dokumentację i zaczyna kooperować z Wójtowiczem-Podhorskim. Założyciel stowarzyszenia zostaje pełnomocnikiem wojewody ds. rewitalizacji Westerplatte. W sierpniu 2006 r. Kwapiński i Wójtowicz-Podhorski zapraszają ówczesnego wiceministra kultury Jarosława Sellina do obejrzenia terenu. Wstrząśnięty skalą dewastacji Sellin rekomenduje z powodzeniem premierowi Jarosławowi Kaczyńskiemu wyasygnowanie środków na rekonstrukcję dawnej składnicy i budowę Muzeum Westerplatte. Ówczesny minister kultury Kazimierz Michał Ujazdowski podejmuje decyzję o podporządkowaniu Muzeum Westerplatte – Muzeum Historii Polski w Warszawie. Szefem placówki zostaje mianowany Wójtowicz-Podhorski.

Ruszą prace koncepcyjne. Zajmuje się nimi architekt gdański Igor Strzok, który już w 1984 r. współpracował

z dr. Krzysztofem Biskupem z Politechniki Gdańskiej przy pierwszych projektach Parku Pamięci Narodowej Westerplatte-Wisłoujście.

We wrześniu 2007 r. zapada w rządzie PiS decyzja, że w ciągu dwóch lat do okrągłej 70. rocznicy wybuchu wojny odrestaurowane zostaną istniejące obiekty, a potem odtworzone niektóre wyburzone, np. willa oficerska, willa podoficerska, północne, zburzone w latach 60., skrzydło nowych koszar i rampa kolejowa dawnej składnicy. Miasto zachowuje neutralność wobec tych pomysłów, ale Paweł Adamowicz, prezydent Gdańska, i marszałek pomorski Jan Kozłowski nie pojawiają się na spotkaniu komitetu obchodów zorganizowanym przez ministra Sellina.

Nawet lokalna „Wyborcza” 9 sierpnia 2007 r. w tekście

pt. „Westerplatte będzie odbudowane” pisała: „Zwiedzając Westerplatte, mamy »przenieść się w czasie« do pierwszych dni września 1939 roku. – Wtedy na terenie kilkudziesięciu hektarów stały dwa budynki koszarowe, wille – oficerska i podoficerska, kasyno, elektrownia, sześć wartowni, kilka umocnionych placówek i niewielka stacja kolejowa – mówi wojewódzki konserwator zabytków Marian Kwapiński. – Większość z nich znajduje się w opłakanym stanie. Wyjątkiem są jedynie wartownia nr 1, placówka Fort i elektrownia.

– Od września wszystko na Westerplatte zacznie się zmieniać – mówi Igor Strzok, architekt przygotowujący projekt rewitalizacji. Już teraz rozpoczyna się odtwarzanie fragmentu słynnego czerwonego muru stanowiącego do 1939 roku granicę polskiej placówki i tym samym granicę polskiej ziemi w Wolnym Mieście Gdańsku. Odbudowana zostanie stacja kolejowa. Z niej turyści wzdłuż torów dotrą do magazynu nr 1, który będzie odbudowany na odnalezionych fundamentach. W muzeum wyeksponowane będą też ruiny pozostałych magazynów i leje po bombach. W schronie placówki Fort znajdzie się miejsce dla ekspozycji militarnych odnalezionych przez Stowarzyszenie Rekonstrukcji Historycznej »Westerplatte«.

Przepraszam za ten przydługawy cytat, ale pokazuje on, jak raptem 12 lat temu

■ możliwe było w Gdańsku ponadpartyjne wsparcie dla parku historycznego.

Gdy wydaje się, że wszystko jest już na dobrej drodze, 21 października 2007 r. PiS przegrywa wybory i rychło oddaje władzę. Początkowo wyglądało na to, że nowa ekipa – Platforma – będzie kontynuować prace. Jeszcze 1 września 2008 r. Donald Tusk potwierdzał wolę budowy muzeum. Jednak Muzeum Westerplatte zostaje zabrane spod kompetencji Muzeum Historii Polski i staje się osobną placówką. Stworzono stanowisko pełnomocnika premiera Donalda Tuska ds. rewitalizacji Westerplatte. Został nim Sławomir Nowak – zaufany Tuska w gdańskiej PO. Platformersi chwalili się nawet, że o ile rząd Kaczyńskiego dał na odbudowę 56–60 mln zł, o tyle nowy rząd da 120 mln. Jednak na spotkaniach zespołu mającego budować muzeum Wójtowicz-Podhorski zaczął z niepokojem słuchać o planach, by obok parku historycznego – na półwyspie – stworzyć marinę dla jachtów, szkołę pod żaglami, restauracje i bary.

Jednak pierwszym znakiem, że odbudowa dawnej składnicy przestaje być priorytetem, była deklaracja Nowaka, iż Wójtowicz-Podhorski przestaje być kierownikiem Muzeum Westerplatte. Kandydatem na nowego szefa ma być asystent Nowaka – Maciej Krupa. Ten w jednym z wywiadów przyznał się wtedy, że mało interesuje się historią. Mimo to deklarował wówczas: „Jestem przekonany, że sobie poradzę. Nie mam doświadczenia, ale moje wykształcenie będzie wystarczające”. Jego zdaniem brak zainteresowania historią to zaleta: „Będę chłodnym okiem patrzeć na konflikty historyków”. Jarosław Sellin protestował przeciw nominacji dość przypadkowej osoby. „Tym powinien się zajmować ktoś, kto zna problematykę i autentycznie interesuje się historią” – mówi poseł.

Niedługo potem nastąpiła zmiana koncepcji. Lider Platformy postanowił skupić wszystkie środki na budowę Muzeum II Wojny Światowej. Szybko zamknięto projekt rewitalizacji Westerplatte, a Wójtowiczowi-Podhorskiemu nie przedłużono umowy. Muzeum Westerplatte zlikwidowano półtora miesiąca po powołaniu i na gwałt zaczęto budować Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku (MIIWŚ). Nowaka jako pełnomocnika premiera ds. muzeum na Westerplatte zastąpił Paweł Machcewicz jako pełnomocnik premiera ds. budowy Muzeum II Wojny Światowej. Miało ono skupić się

na cierpieniu ludności cywilnej w ostatniej wojnie, a nie być – jak ironizowano – „panteonem chwały oręża polskiego”. W tej logice Westerplatte – symbol walki i męstwa – nie pasowało do wizerunku. Projekty Wójtowicza–Podhorskiego i Igora Strzoka wyrzucono do kosza. Aby złagodzić fatalne wrażenie po wysadzeniu projektu w powietrze, Muzeum II Wojny Światowej pod wodzą Machcewicza sporządziło i ustawiło na półwyspie 50 tablic mających tworzyć wystawę plenerową „Westerplatte: Kurort – Bastion – Symbol”. Spośród tablic tylko kilka opowiadało o walce żołnierzy mjr. Sucharskiego. Reszta pokazywała wcześniejsze losy tego zakątka Gdańska.

To pamięć o przerwanej dziele rewitalizacji Westerplatte na równi ze sprzeciwem wobec mającej spore luki ekspozycji MIIWŚ formowanej przez Pawła Machcewicza zdopingowały nowy rząd PiS do działania. Najpierw w grudniu 2015 r. reaktywowano Muzeum Westerplatte, a potem połączono je z Muzeum II Wojny Światowej, co umożliwiło wyznaczenie Karola Nawrockiego w miejsce Pawła Machcewicza na dyrektora nowej placówki.

Poprzedni dyrektor natychmiast rozpoczął kampanię dyskredytowania zmian i nowego szefa muzeum. Do dziś trwa proces o prawa autorskie do wystawy głównej w muzeum. Jednocześnie miasto Gdańsk odwołało z rady muzeum swojego przedstawiciela.

W ślad za tym od jesieni 2017 r. doszło do wyraźnego pogorszenia stosunków z Muzeum Historycznym Miasta Gdańska, które nadzoruje ekspozycje w wartowni nr 1 z MIIWŚ. Odmawiano też zgody na badania archeologiczne ze strony pracowników placówki pod kierownictwem Karola Nawrockiego. W 2017 r. MIIWŚ zwraca się do miasta, przekazując obszernie opracowaną stustronicową koncepcję takich zmian w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego, aby możliwe było kontynuowanie planów budowy muzeum z 2006 r. ale miasto nie podjęło żadnych działań. Natomiast parę miesięcy potem magistrat gdański zaczął działania na rzecz zbudowania małego pawilonu muzealnego na potrzeby rozbudowy ekspozycji w wartowni nr 1 podległej Muzeum Historycznemu Miasta Gdańska. Gdańsk po latach zaniechań zaczyna demonstrować, że sam zajmie się zaniedbanym półwyspem.

Przeforsowanie specustawy odbierającej miastu władzę nad terenem półwyspu

jeszcze bardziej zaostrzyło język polityków PO w Gdańsku. Powstał list protestacyjny przeciw specustawie. Nie było przypadkiem, że wśród sygnatariuszy pisma nie zabrakło dawnego kierownictwa muzeum II wojny, na czele z Pawłem Machcewiczem.

Nowym szefem muzeum na Westerplatte został Mariusz Wójtowicz-Podhorski, a nowym wojewódzkim konserwatorem zabytków – Igor Strzok, autor architektonicznych wizji parku historycznego z lat 2006–2007.

Na ruinach koszar na Westerplatte pracownicy muzeum miejskiego rozlepili slogany: „Westerplatte nie jest na sprzedaż” i „Westerplatte miejscem pamięci, a nie propagandy”. Wypowiedzi radnych Platformy z kręgu Aleksandry Dulkiewicz pozwalają jednak zrozumieć, że nie o żadną partyjną propagandę tu chodzi, ale różne podejścia do wymowy ostatniej wojny.

JEDYNA DROGA

Obóz prezydent Dulkiewicz chce w tym miejscu raczej podkreślania wagi pacyfizmu, a nie dumy z męstwa polskich żołnierzy. Dobrze wyjaśnia to niedawny tweet wiceszefa Rady Miasta Gdańska, Mateusza Skarbka. Przeciwwstawił on sobie dwa napisy. Jeden to „Nigdy więcej wojny”, który ustawiono na Westerplatte jeszcze w latach PRL. Drugi to banner MIIWŚ z plakatem „Poland – first to fight” polskich władz w Londynie z 1942 r., przypominający Anglikom, że to Polska pierwsza stawiała opór Hitlerowi.

Mateusz Skarbek pisze: „»Poland – first to fight« to hasło na poziomie intelektualnym i emocjonalnym osiedlowego osiłka, dla którego agresja i przemoc są wartościami samymi w sobie. »Nigdy więcej wojny« to jedyne przesłanie, z którym warto iść w świat, jako przykład wskazując historię swojego kraju”.

Tak duża różnica spojrzenia na odwagę polskich żołnierzy z 1939 r. pozwala postawić tezę, że specustawa była jedyną drogą do budowy muzeum na Westerplatte. Władze Gdańska raczej paraliżowałyby budowę parku historycznego. Miały na jego stworzenie prawie 30 lat. A gdy chce dokonać tego rząd, prezydent Dulkiewicz rozdziera szaty i przekonuje, że Westerplatte było zawsze w centrum uwagi władz miasta.

Tak nie było i stąd obecny konflikt.

© 2024 Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest członkiem Rady Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku.

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



STRAŻNIK PAMIĘCI

2019

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER GŁÓWNY



PARTNERZY





Z Jackiem Komudą, historykiem,
pisarzem, autorem książki „Westerplatte”
rozmawia Wojciech Wybranowski

Westerplatte chciało się bić dalej

Niemiecki pancernik „Schleswig-Holstein”
w 1939 r. FOT. AP/EAST NEWS

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Na początku września ukazuje się twoja książka „Westerplatte”. Poruszasz w niej temat bardzo drażliwy – konflikt między dowódcami obrony Westerplatte, czyli mjr. Henrykiem Sucharskim a kpt. Franciszkiem Dąbrowskim. Pisziesz też, że sama obrona Westerplatte to wciąż niewyjaśnione zagadki. Na przykład znalezione tam ciała rozstrzelanych polskich żołnierzy...

JACEK KOMUDA: Literatura zawsze żywi się kontrowersją. Sprzeczne postawy ludzi rywalizujących ze sobą, ich starcia, namietności są świetną pożywką dla pisarza. Tak też jest w przypadku bohaterskiej obrony Westerplatte, gdzie trwał dramatyczny spór między dowódcami, a także ścierały się różne postawy – od rezygnacji do heroicznego bohaterstwa. Pisząc „Westerplatte”, oparłem się na najnowszych badaniach historycznych, m.in. na książce Mariusza Borowiaka „Westerplatte. W obronie prawdy”, która

niezle naświetla konflikt, który wybuchł na Westerplatte między mjr. Sucharskim a kpt. Dąbrowskim 2 września 1939 r.

Heroiczna obrona Westerplatte to fakt czy – jak próbują przekonywać niektórzy badacze – tylko jeden z mitów polskiej historii?

Obrona Westerplatte to heroiczna walka do granic wytrzymałości, a członkowie załogi Składnicy byli prawdziwymi bohaterami. Nie załamali się w pierwszych chwilach wojennego stresu, chociaż byli poddani olbrzymiej presji. Podjęli walkę, wiedząc, że są bez szans na zwycięstwo. Nie napisałem powieści, aby umniejszać ich poświęcenie. Westerplatte było miejscem, na którym została skoncentrowana ogromna niemiecka nienawiść tzw. Wolnego Miasta Gdańska. Mieszkający tam Niemcy, także za sprawą propagandy Rzeszy, patologicznie wręcz nienawidzili

tego polskiego skrawka wybrzeża nad Bałtykiem. Dlatego chociaż Westerplatte jesienią 1939 r. nie funkcjonowało już jako składnica materiałów wojskowych, to był to punkt zapalny, skrawek polskiej ziemi potwierdzający prawa II Rzeczypospolitej do Gdańska. Żołnierze w polskich mundurach w Składnicy byli dowodem na to, że Polska od Bałtyku odepchnąć się nie da; zbierali na sobie potężną niemiecką agresję i nienawiść.

Jak się ona przejawiała?

Nasi żołnierze w Gdańsku byli narażeni na szykany, bicie, awantury. Niemcy z przepływających okrętów czy statków pluli w ich stronę, rzucali przekleństwa, krzyczeli, że ich wszystkich powieszą. Oczywiście Senat Gdańska nie miał żadnej władzy nad półwyspem, ograniczało go porozumienie polsko-gdańskie z 1928 r., więc przedstawiciele Wolnego



jest bardzo niejasna. Co wiemy z całą pewnością? Kapitan Franciszek Dąbrowski kazał zdjąć białą flagę i kontynuować walkę. Major Sucharski prawdopodobnie dostał ataku epilepsji, on zresztą wtedy był już bardzo chory, został więc przez podkomendnych, czyli Dąbrowskiego, Grodeckiego i kpt. Ślabego, przywiązany do łóżka i odosobniony. Pozbawiono go na kilka dni wpływu na dowodzenie. Trzeba jednak trochę usprawiedliwić Sucharskiego, major miał wielkie problemy zdrowotne, które ukrywał przed przełożonymi, a funkcja dowódcy Westerplatte wykańczała go psychicznie, żył w nieustającym stresie, wiedząc, że Niemcy zmobilizują wszelkie możliwe środki, aby zająć placówkę. W dodatku 31 sierpnia dowiedział się, że następnego dnia dojdzie do ataku, a w takiej sytuacji nie może on z polskiej strony spodziewać się żadnej odsieczy. Dlatego niemiecki nalot stał się chyba tą kropką, która przelała czarę. Co mnie zastanawia: Sucharski wiedząc o planach niemieckiego ataku, nie powiedział o nich żadnemu ze swoich podkomendnych.

Dlaczego?

Być może jako dowódca nie chciał się paniki. Pisząc książkę, nie chciałem robić z majora kozła ofiarnego, ale przynajmniej trochę go zrozumieć. Sucharski wiedział, że jeśli Niemcy już 1 września zdobędą Westerplatte, to oczywiście ich propaganda odpowiednio to wykorzysta i nagłośni – pokaże, jak słabo bronili się Polacy w Gdańsku. Jednakże wiedział też, że długo się nie utrzyma, bo nikt mu w tym nie pomoże. Polecenie, które otrzymał od ppłk. Wincentego Sobocińskiego, brzmiało: „Bronicie się 12 godzin. Potem masz wolną rękę”.

Piszesz, że 2 września nie tylko wybuchł bunt kpt. Dąbrowskiego, który złamał rozkaz o kapitulacji i nakazał żołnierzom walczyć dalej, lecz także że tego dnia rozstrzelano kilku żołnierzy – obrońców Westerplatte.

To jest największa tajemnica Westerplatte. Wszystkie wzmianki o tym zdarzeniu, które pozwałyby zrozumieć, co tak naprawdę się stało, dlaczego i kto został rozstrzelany, zostały zniszczone. Prawdopodobnie byli to ludzie lojalni wobec Sucharskiego, którzy odmówili wykonywania rozkazów kpt. Dąbrow-



JACEK KOMUDA
„WESTERPLATTE”
FABRYKA SŁÓW
2019

skiego i podjęcia dalszej walki. Sytuacja bardzo delikatna, bo teoretycznie według prawa wojskowego to kpt. Dąbrowski był wówczas buntownikiem. Profesor Paweł Wieczorkiewicz powiedział w jednym z wywiadów, że prawdopodobnie zlikwidowano wówczas tych żołnierzy, którzy nie chcieli strzelać do Niemców. Mam tu jednak spore wątpliwości, ponieważ w trakcie dalszych walk o Westerplatte Dąbrowski nigdy nie kazał rozstrzelać żadnego z panikarzy, którzy odmawiali walki, ale uwięził ich w starym bunkrze. Obawiam się, że tajemnica śmierci polskich żołnierzy, których ciała Niemcy znaleźli na Westerplatte 8 września koło placówki Elektrownia, nigdy nie zostanie wyjaśniona, nie zachowały się bowiem żadne materiały w pamiętnikach czy aktach. A żywi świadkowie woleli o tym milczeć.

Konflikt między kpt. Dąbrowskim a mjr. Sucharskim zaczął się jednak jeszcze przed niemieckim atakiem na Westerplatte.

Dąbrowski i Sucharski różnili się prawie wszystkim. To byli ludzie z innych sfer, o kompletnie innych osobowościach. Oczywiście byli też oficerami, więc żaden z nich nie pokazywał publicznie, że się nie zgadza. Sucharski wywodził się z rodziny chłopskiej, był synem chłopca z Gręboszowa pod Tarnowem. Z kolei Dąbrowski był synem gen. Romualda Dąbrowskiego i Elżbiety z domu Broulik, węgierskiej baronówny. Wydawać by się mogło, że to właśnie on, z racji pochodzenia, powinien być zdystansowany wobec żołnierzy, sztywny i nieprzystępny, tymczasem – jak wynika ze wspomnień westerplatczyków – było zupełnie odwrotnie. To Sucharski pozował na ważną figurę, wysokiego rangą oficera z lepszych sfer, za to Dąbrowski był oceniany jako „swój chłop”. Być może dlatego, gdy się zbuntował i nakazał kontynuowanie walki, większość żołnierzy stanęła za nim.

2 września obrońcy Westerplatte chcieli walczyć, a 7 września przyjęli z ulgą rozkaz mjr. Sucharskiego o kapitulacji?

Absolutnie nie! Część żołnierzy panikowała, obawiała się niemieckiej zemsty, część była po prostu zmęczona i liczyła, że teraz wróci do domów, ale byli na Westerplatte placówki, które kategorycznie chciały dalej walczyć, na przykład

Miasta mogli wejść na teren Składnicy tylko w szczególnych okolicznościach i pod nadzorem polskiego oficera. Dlatego polscy żołnierze i placówka byli, zwłaszcza w ostatnich miesiącach przed wojną, praktycznie cały czas poddawani inwigilacji.

Mówisz, że nie poddali się presji psychicznej, a jednak 2 września wśród żołnierzy pojawiło się załamanie. Major Henryk Sucharski był, jak piszesz, gotów nawet wywiesić białą flagę i poddać placówkę.

Największym szokiem był potężny niemiecki nalot, którego na Westerplatte się nie spodziewano, a przynajmniej nie zakładano, że czeka ich tak niszczycielskie uderzenie z powietrza. Rzeczywiście, mjr Sucharski zamierzał ogłosić kapitulację, wywiesił białą flagę, a wtedy wśród oficerów wybuchł – nie bójmy się go tak nazwać – bunt. Ta sprawa do dziś

■ placówka Przysań ppor. Zdzisława Kręgielskiego, który zresztą Sucharskiego bardzo nie lubił, chciała bić się dalej. Jednak gdyby polscy żołnierze kontynuowali walkę, straty byłyby dużo większe, Niemcy bowiem już zabrali się do planowego burzenia poszczególnych wartowni – na przykład zniszczyli dwójkę, mocno ostrzeżliwi z haubic koszary.

Kapitulacja rzeczywiście była tak honorowa, jak uczyły o niej PRL-owskie podręczniki historii?

Tak. To prawda, Niemcy naprawdę zachowali się honorowo, aczkolwiek dochodziło do różnych nieciekawych zdarzeń. Notabene cała scena znana z fotografii, gdy mjr Henryk Sucharski otrzymuje szablę od niemieckiego dowódcy Friedricha G. Eberhardta, jest upozowana na użytek niemieckiej propagandy. Po ogłoszeniu kapitulacji kazali wszystko sfilmować, by pokazać, jak poddaje się główny punkt polskiego oporu w Gdańsku. Natomiast trzeba uczciwie przyznać, że oficerowie niemieccy wobec obrońców Westerplatte zachowywali się z wielką kurtuazją, zajęli się rannymi, gratulowali też Polakom dzielnej postawy. Pamiętajmy jednak, że akurat tak się złożyło, że wszyscy niemieccy dowódcy, którzy tam byli, czyli gen. Eberhardt, kmdr Gustav Kleinkamp, ppłk Karl Henke, nawet później byli uznawani za rycerskich ludzi – podobnie jak Dąbrowski, Grodecki, Kręgielski i Słaby. Dżentelmeni trafili na dżentelmenów, co w kampanii wrześniowej było raczej wyjątkiem. Wyłamał się z ich szeregów mjr Sucharski, który był tak przerażony, że ogłosił, na użytek niemieckiej propagandy, iż Westerplatte poddaje się, gdyż ucierpiało moralnie w wyniku bombardowania z 2 września i potężnego ostrzału prowadzonego przez pancernik „Schleswig-Holstein”. Co akurat było nieprawdą, bo pancernik poza swoim wyglądem niewiele szkodził Westerplatte.

Obrona Wizny czy obrona Westerplatte?

Jedno i drugie. Chociaż gdybym był młody i gniewny, powiedziałbym, że Wizna nie miała na szczęście swojego Sucharskiego. Westerplatte pokazało, że Polacy nie będą się poddawać, że będą bronić krwią każdego skrawka naszej ziemi. Przecież tak naprawdę to na Westerplatte padły pierwsze strzały II wojny światowej, kiedy to kpr. Edmund Szamlewski z placówki Wał w okolicy stacji kolejowej otworzył ogień



Major Henryk Sucharski FOT. WIKIPEDIA



Kapitan Franciszek Dąbrowski FOT. WIKIPEDIA

do Niemców. Żołnierze Westerplatte nie wahali się ani chwili, strzelali do szwabów jak do kaczek.

Dziś znów toczy się bój o Westerplatte, tym razem między władzami Gdańska a władzami Rzeczypospolitej.

To, co się dzisiaj dzieje na Westerplatte, i fakt, że miejsce bohaterstwa polskiego żołnierza zostało zniszczone i zaniedbane, jest haniebne. Tak ważny dla polskiej historii półwysep jest dziś ruiną. Najpierw zresztą zniszczyło go wojsko komunistyczne, które urządziło sobie tam poligon do wysadzania niewypałów. Nawet Niemcy po 1939 r. bardziej dbali o Westerplatte niż późniejsze komunistyczne władze. Dzisiaj, w III Rzeczypospolitej, nadal jest w ruinie, choć to nie tylko pomnik naszej historii, lecz także świetna atrakcja turystyczna. Dziwię się władzom Gdańska, które o to miejsce nie potrafiły i chyba nie chcą zadbać.

Niestety Westerplatte stało się symbolem politycznej batalii. Wynika to z tego, że przy każdej kolejnej rocznicy wybuchu II wojny oczy całego świata są tam zwrócone, więc ten, kto nim dysponuje, może przy okazji nabić sobie kilka punktów politycznego potencjału. Bardzo przykre jest zawłaszczanie bohaterstwa westerplatczyków na cele politycznej awantury. Osobiście spotykałem się z różnymi absurdami w tej całej historii. Jeżdżąc po muzeach w Gdańsku, usłyszałem nawet kpiny, że dziś w Trójmieście ten, kto uważa, że obroną Westerplatte dowodził kpt. Dąbrowski, jest PiS-owcem, a kto że Sucharski – ten jest za PO.

Twoja książka koncentruje się na walce o Westerplatte czy raczej osobistych relacjach obrońców placówki?

Przede wszystkim jest to powieść o obronie skrawka polskiego Wybrzeża. W pewnym sensie występuje w niej bohater zbiorowy. Piszę bowiem nie tylko o konflikcie Sucharski-Dąbrowski, który oczywiście musiałem pokazać, lecz także o walce, rozterkach, odwadze zwykłych szeregowców i podoficerów broniących tej placówki. De facto jest to książka o żołnierzach, którzy przeciwstawili się Niemcom pierwszego dnia wojny. Poza tym chciałem przypomnieć, jak w ogóle wyglądało życie na Westerplatte i relacje jego obrońców z Wolnym Miastem Gdańskiem. Tak jak wspominałem wcześniej, między polską załogą a Niemcami była ściana nienawiści. Mam wrażenie, że Wolne Miasto Gdańsk było najbardziej zajadłą i antypolską częścią świata w 1939 r., westerplatczycy, gdy musieli po coś jechać do Gdańska, wychodzili po cywilnemu, żeby nie paść ofiarą szykan ze strony władz czy policji niemieckiej. Nie zostać opluci, pobici czy znieważeni przez „wolnych gdańszczan”.

To jest kolejna książka, po „Hubalu”, dotykająca tematyki kampanii wrześniowej. Tymczasem czytelnikom dałeś się przecież poznać jako współczesny anty-Sienkiewicz. Skąd taka zmiana tematyki?

Przyznam się, że byłem trochę zmęczony I Rzeczypospolitą. Ona jest piękna, ciekawa, świetnie buduje naszą tożsamość narodową i geopolityczną, jednak II wojna jest dla współczesnych Polaków dużo bardziej dramatyczna. Chciałem pokazać w książkach najbardziej dramatyczne momenty polskiej historii, musiałem więc sięgnąć po wrzesień 1939 r.

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



Walczyłem nad Bzurą!
Poruszający wywiad ze 105-letnim
weteranem kampanii 1939 r.

Maciej Rosalak – **Westerplatte walczy!**
Jacek Komuda – **Sucharski kontra Dąbrowski**
Roger Moorhouse – **Jak Anglia i Francja zdradziły Polskę**
Zaremba kontra Karbowski – **Debate nad Brygadą Świętokrzyską**
Krzysztof Masłoń – **Nowak-Jeziorański: mściwy i bezwzględny**
Sławomir Koper – **Miłosna zbrodnia we Lwowie**
Mikołaj Iwanow – **Sowiecki agent w powstańczej Warszawie**
Rafał A. Ziembkiewicz – **Chałat i pejsachówka**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Wojciech Wybranowski

Kukiz'15 zaczyna się rozsyptywać, rozłamy widać także w Konfederacji i rolniczej partii Zgoda. Niektórzy rozstają się już nawet, zanim oficjalnie zdążą się połączyć w koalicji

Do połowy ubiegłego tygodnia Państwowa Komisja Wyborcza zarejestrowała ponad 30 komitetów wyborczych, które będą mogły wystawić kandydatów w jesiennych wyborach parlamentarnych. Wśród nich także takie, których nazwy niewiele mówią wyborcom, np.: KW Polskiej Partii Ochrony Zwierząt, KW Piast – Jedność Myśli Europejskich Narodów czy KWW Jedna Polska – Ruch Oddolny. Nie ma wśród nich komitetu reprezentującego ugrupowanie, które w wyborach przed czterema laty okazało się jednym z największych zaskoczeń, z impetem weszło do Sejmu i zdaniem wielu komentatorów przez długi czas miało szansę być języczkiem u wagi po jesiennych wyborach. Chodzi o ruch Kukiz'15 założony i kierowany przez popularnego muzyka rockowego.

– Paweł Kukiz przestał być przez wyborców postrzegany jako samodzielny byt polityczny, co oznacza, że stracił dla nich wartość, którą miał w 2015 r. Tą wartością była pewna apolityczność, chęć zmieniania systemu – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy” dr Jacek Kłoczowski, politolog z Ośrodka Myśli Politycznej.

Ugrupowanie „antysystemowców” nie wystartuje samodzielnie w wyborach, za to Kukiz i kilku jego współpracowników znajdzie się na listach Polskiego Stronnictwa Ludowego – Koalicji Polskiej. Wśród prawicowych wyborców dominuje przekonanie, że start Kukiza z list ludowców jest największym, niekoniecznie pozytywnym, zaskoczeniem tej kampanii wyborczej.

KUKIZ „ZAORANY”

– Dla niektórych koalicja Kukiz'15 i PSL może być zaskakującym sojuszem. Jesteśmy ponad podziałami. Mamy nową, wspólną ofertę programową dla



Na prawicy

wyborców – przekonywał w radiowych „Sygnałach Dnia” Stanisław Tyszka, wicemarszałek Sejmu i dziś najbliższy współpracownik Pawła Kukiza.

Sporo negatywnych emocji wśród obserwatorów wzbudziła konwencja PSL w Płocku, podczas której przedstawiono

nazwiska „jedynek” reprezentujących blok PSL-Koalicja Polska w nadchodzących wyborach. Znaleźli się wśród nich obok Pawła Kukiza, startującego z list ludowców w Opolu, także m.in. Tyszka (Rzeszów) i należąca do Kukiz'15 posłanka Agnieszka Ścigaj. W trakcie



Przed wyborami do Parlamentu Europejskiego prawicowcy ugrupowania, m.in. Janusza Korwin-Mikkego i Grzegorza Brauna, zawiązały Konfederację. Przed wyborami do Sejmu konfederacji się pokłócili – odeszli m.in. Piotr Liroy-Marzec, Marek Jakubiak i Kaja Godek FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS

bez zmian

politycznego show Kukiz zaśpiewał jeden ze swoich wielkich przebojów ku zadowoleniu siedzących na sali wieloletnich działaczy aparatu partyjnego PSL, żywiołowo reagował też na wystąpienie lidera ludowców Władysława Kosiniaka-Kamysza.

– Trzeba wybrać nową drogę – drogę centrum, drogę dialogu, drogę pojedynania – mówił Kukiz i przekonywał, że blok PSL-Koalicja Polska idzie z „kagankiem oświaty”. – Idzie do ludzi, idzie oświecać ich w ich prawach obywatelskich, w ich prawach, które mają nasi odpowiednicy

w Niemczech, we Francji, w Wielkiej Brytanii, wszędzie w cywilizowanej Europie – twierdził.

Tymczasem internauci przypominali, że jeszcze niedawno Paweł Kukiz nazywał PSL „organizacją przestępczą”, a ludowcy zapowiedzieli wytoczenie mu procesu. W lipcu, krótko przed porozumieniem z ludowcami, muzyk przeprosił ich za swoje słowa. „Chciałem bardzo serdecznie przeprosić PSL. Bo przez cztery lata pan prezes i PiS mieli absolutnie wszystkie instrumenty, by potencjalnych przestępców zatrzymać. Skoro nikogo nie zatrzymano, nikt nie siedzi, to znaczy, że się bardzo mocno myliłem w tej ocenie. Jeszcze raz przepraszam” – tłumaczył dziennikarzom Kukiz.

Szybko okazało się, że w koalicji i ruchu Kukiz'15 trzeszczy. Po konwencji PSL-Koalicji Polskiej poseł Kukiz'15 Łukasz Rzepecki poinformował, że zrezygnował z pierwszej pozycji na liście Koalicji Polskiej w Koninie. Dlaczego? Bo jego wyborcy mieszkają w Sieradzu.

Zresztą już na samą wieść o pierwszych rozmowach Kukiza z PSL jego ruch zaczął pękać w szwach. Decyzję o odejściu z klubu podjęli wówczas m.in. posłowie Elżbieta Zielińska, Jerzy Kozłowski, Bartosz Józwiak i Tomasz Jaskółka. „Paweł w 2015 r. stworzył świetny ruch, pełen ludzi z pasją i wiarą w zmianę Konstytucji z 1997. Uważam, że ta zmiana z PSL nie będzie możliwa i dzisiaj wystąpiłam z klubu” – napisała na Twitterze Zielińska. Secesjoniści założyli koło poselskie Unia Polityki Realnej. W proteście przeciwko porozumieniu z PSL z klubu Kukiza odeszli też posłowie: Paweł Skutecki, Jerzy Kozłowski, Norbert Kaczmarczyk, Jerzy Jachnik i Andrzej Maciejewski.

Rozpad dotknął ugrupowanie Kukiza także w strukturach terenowych. Protestując przeciwko sojuszowi z PSL, z dalszej aktywności w tym ugrupowaniu zrezygnowali liderzy oddziałów ruchu w województwach świętokrzyskim, poznańskim i konińskim. Lider ruchu Kukiz'15 w Warszawie – Michał Sawicki – napisał na Facebooku: „Oznacza to też, że nie wystartuję w wyborach ani nie będę zbierał podpisów na postkomunistyczny PSL. Walczyłem trzy długie lata bez wytchnienia za ruch Kukiz'15, a ten został bez żadnego sentymentu zaorany”.

– Mam wrażenie, że Kukiz powinien pilnie szukać pomysłów na nowe utwory muzyczne i kolejne płyty, bo o ile może dostanie się do Sejmu, o tyle jego szanse

► na zbudowanie czegoś wokół siebie znacząco zmalały – ocenia dr Kloczkowski.

KONFEDERACI W TARAPATACH

Eurosceptyczna Konfederacja Wolność i Niepodległość, zarejestrowana przed wyborami do Parlamentu Europejskiego, miała być najważniejszą po prawej stronie sceny politycznej alternatywą wobec PiS. W wyścigu o mandaty europejskie sukcesu jednak nie odniosła – zdobyła 4,55 proc. głosów. I po wyborach w partii zaczęły się zgrzyty i rozłamy. Ugrupowanie opuścili poseł Piotr Liroy-Marzec wraz z działaczami stowarzyszenia „Skuteczni” oraz poseł Marek Jakubiak, szef niewielkiej partii Federacja dla Rzeczypospolitej. Liroy-Marzec i Jakubiak mieli założyć własną koalicję, ale zanim do tego doszło – pokłócili się.

Kilkanaście dni temu z kolei Konfederację opuścili znana działaczka pro-life Kaja Godek i aktywiści fundacji Życie i Rodzina. – Był bardzo ostry konflikt między Kają a Grzegorzem Braunem [jednym z liderów Konfederacji – przyp. red.] o miejsca na listach. Chodziło o Warszawę, Rzeszów i Lublin – mówi „Do Rzeczy” jeden z działaczy Konfederacji.

Godek w oświadczeniu dla mediów napisała o swoim rozczarowaniu działaniami obecnych liderów Konfederacji: „Osobiście do końca apelowałam do panów z Konfederacji o rozsądek i uszanowanie tego, jak ważna jest obrona życia dzieci i potraktowanie tego postulatu serio przez formację chcącą się mienić pravicową i być alternatywą dla rządów bezideowych”.

Utrata Kai Godek zniechęciła do wspierania Konfederacji także znanego podróżnika i pisarza Wojciecha Cejrowskiego. „Pytają państwo, na kogo głosować. Na razie wiem tylko na kogo NIE głosować. Na pewno NIE warto na Konfederację – po tym, jak wywalili Kają Urszulę Godek, bo im pro-life źle działa na wyniki. [...] Ja na miękkich nie głosuję” – napisał w Internecie.

W połowie sierpnia Kaja Godek i Marek Jurek ogłosili powołanie Komitetu Wyborczego Prawica mającego „reprezentować środowiska katolickie i niezależną pravicę”. KW Prawica ma być katolicko-konserwatywnym blokiem skupionym wokół partii Marka Jurka Prawica Rzeczypospolitej.

– To, co się u nas obecnie dzieje, kto jeszcze jest, a kto już wyszedł, kto przychodzi, a kto odchodzi, jest największą tajemnicą działaczy w Warszawie. Mamy taki

galimatias, kociokwik, że nikt się już w tym nie orientuje. O wspólnym programie trudno nawet mówić – opowiada nam jeden z warszawskich działaczy Konfederacji.

W ostatnim tygodniu do ugrupowania Winnickiego, Korwin-Mikkego i Brauna dołączyli przedstawiciele środowisk rolniczych, którzy znajdują miejsca na listach komitetu wyborczego tej partii. Wśród nich „jedyneką” na siedleckiej liście Konfederacji ma być Krzysztof Tołwiński, były wiceminister skarbu państwa. – Jesteśmy bardzo radzi z tego dnia, z tej chwili, kiedy dołączają do nas nowe środowiska rolnicze. Po wielu miesiącach rozmów, po wzajemnym poznawaniu się, Konfederacja zostaje wzmocniona o nowy filar – mówił na konferencji prasowej Krzysztof Bosak, jeden z liderów Konfederacji.

Rolnicy przyszli, ale partię zaczęli opuszczać dotychczasowi działacze związani z partią KORWiN. Jak informował jako pierwszy portal Dorzeczy.pl, część do-

Własny komitet założył były korespondent TVP i TVN Mariusz Max Kolonko. Jednak nie jest pewne nawet, czy uda mu się go zarejestrować

tychczasowych aktywistów, w tym osoby odpowiedzialne za kierowanie strukturami Konfederacji w terenie, opuściły ugrupowanie, sprzeciwiając się podporządkowywaniu partii Jakubowi Kuleszy [przeszedł z ruchu Kukiz'15 – przyp. red.] i coraz większym wpływem w nim narodowców. Secesjoniści zadeklarowali przejście w szeregi Skutecznych Liroya-Marca.

– Zawsze jest elektorat do „wzięcia” na prawo od partii pravicowej w Sejmie, a dziś taką jest PiS. Pytanie tylko, czy ten elektorat będzie zainteresowany ofertą partii składającej się z różnych, niekiedy ideowo sprzecznych środowisk politycznych. I czy w stopniu pozwalającym na przekroczenie progu wyborczego – mówi prof. Maciej Drzonek, politolog z Uniwersytetu Szczecińskiego. Ekspert w rozmowie z „Do Rzeczy” zaznacza, że o ewentualnym poparciu dla Konfederacji może zadecydować wizyta Donalda Trumpa w Polsce. – Pytanie, co Donald Trump powie, czy będzie towarzyszył mu Mike Pompeo i czy nie skieruje on jakiegoś listu do polskiego rządu nawiązującego do ustawy 447 –

mówi prof. Drzonek, przypominając, że wiosenne poparcie dla Konfederacji wiązało się z protestami przeciwko działaniom środowisk amerykańskich domagających się od Polski zwrotu żydowskiego mienia bezspadkowego.

CORAZ WIĘCEJ NOWEGO

W minionym tygodniu poseł Piotr Liroy-Marzec oficjalnie poinformował na konferencji o utworzeniu nowego komitetu wyborczego – Skuteczni. W jego skład weszli także działacze, którzy opuścili struktury partii KORWiN, Zgoda i ruchu Kukiz'15, m.in. była sekretarz krajowa, szefowa struktur mazowieckich partii KORWiN, była szefowa biura prasowego partii KORWiN czy były dyrektor finansowy biura tej partii. – Jesteśmy pozbawieni wszystkich tych przywar starych partii politycznych, otwarci na współpracę ludzi, którzy są ideowi, którzy są skuteczni w swoich działaniach – mówił w Sejmie Liroy-Marzec.

Do jego ugrupowania dołączyła też część dotychczasowych działaczy partii Zgoda oraz mało znanej Partii Kierowców, która w wyborach do europarlamentu wspierała Konfederację.

Rolnicza Zgoda założona przez Michała Kołodziejczaka, lidera AGROunii i organizatora głośnych rolniczych blokad w Warszawie, miała być – jak zapowiadali jej działacze – nową, konserwatywno-ludową siłą polityczną. Jej byt praktycznie skończył się, jeszcze zanim się zaczął. 25 lipca Kołodziejczak zarejestrował partię w warszawskim sądzie, a dwa tygodnie później ogłosił, że się z niej wycofuje. „Okazało się, że niektóre osoby, z którymi współtworzyliśmy ten projekt, nie są tak naprawdę zainteresowane walką o nasz program, a jedynie realizacją swoich partykularnych interesów” – napisał na Facebooku.

Własny komitet wyborczy założył też Mariusz Max Kolonko, były korespondent TVP i TVN w USA. Ugrupowanie o nazwie KWW Revolution miało walczyć głównie o głosy Polaków w Stanach. Podpisy poparcia zaczęło zbierać też w Polsce. Kiedy jeden z internautów zauważył, że zbiórka podpisów jest prowadzona, zanim PKW zarejestrowała komitet, co jest nielegalne, Max Kolonko odpisał mu w sieci: „Idź się je...ać”. Nie wiadomo, czy Kolonko w ogóle uda się zarejestrować komitet, PKW wezwwała go bowiem do poprawienia wniosków formalnych – nazwa musi bowiem być zgodna z ustawą o języku polskim.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Z Ryszardem Czarneckim, europosem PiS
rozmawia Maciej Pieczyński

Mamy w rękach mocne karty

MACIEJ PIECZYŃSKI: Parlament Europejski opozycja szturmowała jednym szerokim frontem, od SLD przez PO aż do PSL. Skończyło się nieciekawie. W wyborach do Sejmu startuje podzielona, w kilku blokach. W takiej formie będzie łatwiejszym przeciwnikiem?

RYSZARD CZARNECKI: Odpowiem, trawestując piękny wiersz ks. Jana Twardowskiego: „Spieszmy się kochać koalicje, tak szybko odchodzą”.

Mam rozumieć, że Ryszard Czarnecki kocha Koalicję Obywatelską? To ciekawe.

Nie tyle kocham, ile darzę wielką sympatią opozycję, która walczy przede wszystkim sama ze sobą i sama sobie

„Pakt senacki” działać może jak miecz obosieczny. Proszę sobie wyobrazić wyborców PSL, którzy dowiadują się, że jednak ich partia – nawet jeśli tylko do Senatu – idzie ramię w ramię z Biedroniem. Myślę, że to może zniechęcić elektorat ludowców nawet w kontekście wyborów do Sejmu. Podpisując senacki cyrograf z lewicą, Kosiński-Kamysz ryzykuje, że jego ugrupowaniu zabraknie głosów niezbędnych do przekroczenia sejmowego progu 5 proc. Podobna może być reakcja wyborców Kukiza na wieść, że w praktyce pan muzyk idzie do Senatu ręką w rękę z SLD i Czarzastym.

Podział opozycji na różne bloki sprawia, że jest po prostu więcej podmiotów wyznających ideologię „anty-PiS”

podstawia nogi. Lubię opozycję, która nie jest w stanie wypracować żadnej poważnej alternatywy programowej i politycznej dla propozycji formułowanych oraz wprowadzanych w życie przez Zjednoczoną Prawicę.

Może jednak taka podzielona opozycja przynajmniej zyskuje wiarygodność? Jej wyborcy wiedzą przecież, że głosują nie tylko na „anty-PiS”, ale i na konkretny program Lewicy, Koalicji Obywatelskiej czy PSL-Koalicji Polskiej...

Podział opozycji na różne bloki sprawia, że jest po prostu więcej podmiotów wyznających ideologię „anty-PiS”. To jest ich spoiwo. Dla nich to jednak gorzej – bo teraz rozpocznie się rywalizacja o pierwszeństwo na opozycji. To będzie krwawa wojna podjazdowa. Plus nieubłagana ordynacja według systemu d'Hondta, która premiuje wielkie formacje i karze rozdrobnione.

Szerszy front pozostał w przypadku wyborów do izby wyższej parlamentu. Pakt senacki ponownie połączy lewicę i środowisko Platformy. A być może i PSL.

Pakt senacki, podobnie jak w przypadku Koalicji Europejskiej w wyborach do PE, tworzony jako „front anty-PiS”, wielu Polakom zapewne przypomina czasy komunizmu i Front Jedności Narodu. Jako historyk podzielam te skojarzenia.

Tak czy inaczej – udało im się ponownie połączyć. Zdaniem części komentatorów właśnie w Senacie zjednoczona opozycja może PiS zagrozić.

A czym ryzykuje Paweł Kukiz, podejmując współpracę z PSL?

Mam głębokie przekonanie, graniczące z pewnością, że antysystemowiec Paweł Kukiz, który zdobył poparcie, zwłaszcza ludzi młodych, dzięki hasłom walki z partokracją, dzięki fundamentalnej krytyce właściwie wszystkich partii w Polsce stał się dzisiaj śmiertelnym wrogiem tego Pawła Kukiza, który łąsi się do najbardziej systemowej partii w całej historii III RP. Żadne inne ugrupowanie nie było tak często u władzy jak PSL. Ludowcy byli w pięciu rządach: dwa razy zawierali koalicje z SLD, dwa razy z PO i jeszcze byli w gabinecie Mazowieckiego. Ideowy antysystemowiec nie powinien z taką partią się wiązać. Romans z PSL to polityczne seppuku albo harakiri Pawła Kukiza. Parafrazując „Dziady” Mickiewicza: Kukiz z Konrada stał się Gustawem – antysystemowy Kukiz obumiera, a na jego miejsce rodzi się nowy, który za cenę jedynki na liście wyborczej w Opolu zjada własny język i zaprzecza wszystkiemu, co do tej pory głosił... Jeszcze jedno skojarzenie literackie tu się nasuwa – cytując Mikołaja Gogola: „Stare jeszcze nie umarło, nowe jeszcze się nie narodziło, ale jedno i drugie zagraża żyjącym”. Prawdę mówiąc, nie chcę jednak występować w roli politologa oceniającego rzadkie wzloty i częste upadki opozycji. Wolę zajmować się tym, czego dokonał znajdujący się u władzy obóz patriotyczny, którego mam zaszczyt być reprezentantem. Mamy w rękach

bardzo mocne karty. Możemy pochwalic się zarówno tym, czego – spełniając wyborcze obietnice – dokonaliśmy przez cztery ostatnie lata, jak i szerokim zakresem konkretnych planów i propozycji dla Polaków na przyszłość.

Z mojego punktu widzenia, jako europosła, szczególnie ważne są osiągnięcia w polityce międzynarodowej. Przez ostatnie cztery lata Polska stała się realnym, sprawnym rozgrywającym w Europie Środkowo-Wschodniej. Wokół Warszawy skupiły się kraje z trzech subregionów – państwa bałtyckie, V4, czyli Grupa Wyszehradzka, oraz kraje bałkańskie. Wcześniej były zatamowane, rozgrywane z jednej strony przez Rosję, z drugiej przez Niemcy, z trzeciej zaś strony przez Brukselę. Nasz region, ta „nowa Unia” pod naszym przewodnictwem, umacnia sojusz z USA. To wielki postęp w porównaniu z rządami PO-PSL, które stawiały na sojusz z Niemcami, w jakiejś mierze z Francją, ale zapominały przy tym o sąsiadach. Pamiętamy choćby spektakularną zdradę premier Ewy Kopacz, która wystawiła do wiatru Węgry, Czechy i Słowację, dokonując nie spodziewanej wolty w sprawie polityki migracyjnej, łamiąc wcześniej zawarte uzgodnienia i zgadzając się na przyjęcie w dwóch fazach 11 tys. uchodźców spoza Europy, głównie zresztą muzułmanów.

Węgry też nas nieraz wystawiały do wiatru, choćby w kontekście poparcia dla Donalda Tuska na drugą kadencję szefa Rady Europejskiej. W polityce nie ma przecież sentymentów.

Możemy się różnić. Owszem, przecież z Węgrami różnimy się w różnych sprawach. To nie oznacza jednak, że należy od razu dokonywać tak spektakularnej zdrady sojusznika w kwestii, która akurat jest naszym zdecydowanie wspólnym interesem. Na szczęście obecnie rządzący Polską obóz niepodległościowy naprawił błędy poprzedników. Udało nam się wypracować formułę, dzięki której Europa Środkowo-Wschodnia jest dziś silniejsza.

Nie chce pan rozmawiać o opozycji, ale ja bym jeszcze poruszył temat pańskiego kolegi z ław Parlamentu Europejskiego, Roberta Biedronia...

Niech pan uważa z tym koleżeństwem.

Nie kolegujecie się?

Na szczęście tylko mijamy się na korytarzach PE. Ten pan zwrócił się z pisemnym apelem do zagranicznych

europosłów, aby nie głosowali na Polaków – deputowanych PiS kandydujących na stanowiska przewodniczących i wiceprzewodniczących PE. To zdarzyło się pierwszy raz w dziejach polskiej obecności w Unii, pomijając wybryki pani von Thun und Hohenstein.

Zdaniem wielu komentatorów – także tych przychylnych opozycji – Biedroń się skompromitował, łamiąc daną obietnicę i nie rezygnując z mandatu europosła. Aleksander Kwaśniewski wierzy jednak w lidera Wiosny i twierdzi, że może on jeszcze stać się kandydatem opozycji na prezydenta.

Widziałem w polityce różne wańki-wstańki. Polityków, którzy – wydawałoby się – dokonali już autopogrzebania się, potem zaś wracali na scenę niczym zombi.

Pytanie: Czy Biedroń będzie takim zombi?

Mało kto dziś pamięta, ale – gdy był jeszcze prezydentem Słupska – nie otrzymał absolutorium z rąk rady miejskiej. Biedroń dokonał wówczas cudu wskrzeszenia PO-PiS, ponieważ politycy obu, tak przecież zwaśnionych partii, ramię w ramię głosowali przeciwko niemu. Mało kto wówczas przypuszczał, że skompromitowany polityk jakiś czas potem wprowadzi siebie i paru swoich ludzi do Parlamentu Europejskiego... Przy czym nie wydaje mi się, żeby fakt, że Biedroń okłamał swoich zwolenników, w jakiś szczególny sposób przeszkodzi w jego dalszej karierze. Wyborcy lewicy są przyzwyczajeni do łamania obietnic wyborczych. Nie takie rzeczy wybaczała swoim politykom. Teraz może być podobnie.

Niektórzy twierdzą, że PiS może przegrać wyłącznie sam ze sobą. I czy aby ten proces się właśnie nie zaczął? Najpierw afery związana z lotami byłego już marszałka Marka Kuchcińskiego...

To nieprawda, że możemy przegrać tylko sami ze sobą. Przytakiwanie takim głosom byłoby z naszej strony dowodem pychy. Tymczasem my wolimy inne słowa na literę „P”. Nasze credo to „3 razy P”: Pokora, Powściągliwość, Pra- ca. Na sytuację wokół lotów marszałka Kuchcińskiego zareagowaliśmy tak, jak należało zareagować. Marszałek podał się do dymisji – choć nie musiał, bo nie złamał ani prawa, ani dotychczasowego obyczaju – a my przeprosiliśmy... Takie standardy wcale nie były normą za poprzednich rządów.

Jednak Marek Kuchciński, zamiast zniknąć w niesławie, dostał jedynkę na liście wyborczej w Krośnie. PiS zawsze głosił maksymalizm moralny. Uchybień w tej sferze nie sposób łatwo wybaczyć. Wam po prostu mniej wolno.

Oczywiście, to prawda, że nam mniej wolno – sami to mówimy. Jednak przecież Marek Kuchciński przestał być drugą osobą w państwie. Tym samym pokazał, że interes państwa polskiego, wizerunek parlamentu, którym kieruje,

artykuł opisujący przypadki kobiet kolaborujących w czasie wojny z Niemcami zilustrował zdjęciem Polek prowadzonych przez Niemców na rozstrzelanie.

Z jakiegoś powodu jednak Piebiak został nakłoniony do złożenia dymisji.

Zachował się honorowo, tak jak wymagało tego – jego zdaniem – dobro drużyny, której jest reprezentantem. Nie walczył za wszelką cenę o pozostanie

Pozycja Ursuli von der Leyen wisi na włosku.

A konkretnie – na polskim włosku

są dla niego ważniejsze niż osobista kariera polityczna czy ego. Ponadto jednak jako pierwszy w historii marszałek Sejmu z tej ziemi zrobił naprawdę bardzo wiele dobrego dla mieszkańców Podkarpacia. Dlatego też jest naturalnym liderem krośnieńskiej listy. Poza tym przygotowujemy projekt ustawy, która ostatecznie ureguluje zasady lotów najważniejszych osób w państwie oraz osób im towarzyszących. Nowe regulacje sprecyzują „reguły gry” w tym obszarze – o czym nasi poprzednicy w ogóle nie myśleli. Reasumując: wolno nam mniej, ale i tak korygujemy z nawiązką wszystko, co może zbulwersować opinię publiczną, nawet jeśli jest zgodne z prawem.

Teraz jednak wybuchła o wiele poważniejsza afery. Były już wiceminister sprawiedliwości Łukasz Piebiak miał kierować „farmą trolli”, prowadzić zorganizowaną akcję mającą na celu zbieranie „kompromatów” na sędziów, krytycznych wobec obecnej władzy i wprowadzanych przez nią reform. Publikacja Onetu na ten temat wywołała polityczne trzęsienie ziemi. Piebiak został zdymisjonowany, ale sprawa jest rozwojowa.

Pan wiceminister honorowo podał się do dymisji. W ten sposób sprawa została zamknięta. Co zaś do medium, które zajęło się tą sprawą, to usiłowało również zrobić „afery” z faktu, że w ostatnich dniach na zaproszenie miejscowych kapłanów powiedziałem od ołtarza kilka słów podziękowań dla rolników z okazji dożynek w kościele w Kamieńcu Wrocławskim w gminie Czernica. Tylko przypomnę, że całkiem niedawno tenże portal Onet musiał spektakularnie przeproszać za to, że

na stanowisku. Podobnie zresztą jak wcześniej marszałek Kuchciński.

Czy w Parlamencie Europejskim widać wreszcie jakąś „konserwatywną rewolucję” czy – jak kto woli – „dobrą zmianę”?

Mamy do czynienia z nietypową sytuacją – aż około dwóch trzecich europarlamentarzystów to ludzie nowi, którzy zasiadają w ławach PE po raz pierwszy. Wcześniej było to zazwyczaj około połowy posłów. To już świadczy o pewnych fundamentalnych zmianach. Obecny skład jest bardziej różnorodny niż w poprzednich kadencjach. Ten parlament jest wyraźnie bardziej ideologiczny niż ten w poprzedniej kadencji – jest więcej konfliktów, ale przez to więcej do powiedzenia mają ci, którzy wcześniej musieli milcząco słuchać tego, co ustaliły dwie największe frakcje.

Wciąż nie wiadomo, jaką rolę komisarzy dostaniemy. Ursula von der Leyen to w końcu nasz człowiek w Brukseli czy wciąż takiej tezy postawić nie możemy?

Przeciwko kandydaturze nowej szefowej Komisji Europejskiej głosowała nawet większość jej rodaków, co wcześniej się nie zdarzało w przypadku niemieckich polityków. Pozycja Ursuli von der Leyen wisi na włosku. A konkretnie – na polskim włosku. Wiadomo przecież, że gdyby nie poparcie 26 europosłów PiS, nie zostałaby przewodniczącą Komisji, bo wybrano ją ledwie dziewięćmioma głosami. A to właśnie wydaje się być na przyszłość bardzo dobrą gwarancją bliskiej współpracy pomiędzy Warszawą a Brukselą...



Rafał A. Ziemkiewicz

Paweł Kukiz, wchodząc na listę wyborczą i do przyszłego klubu parlamentarnego PSL, popełnił polityczne samobójstwo

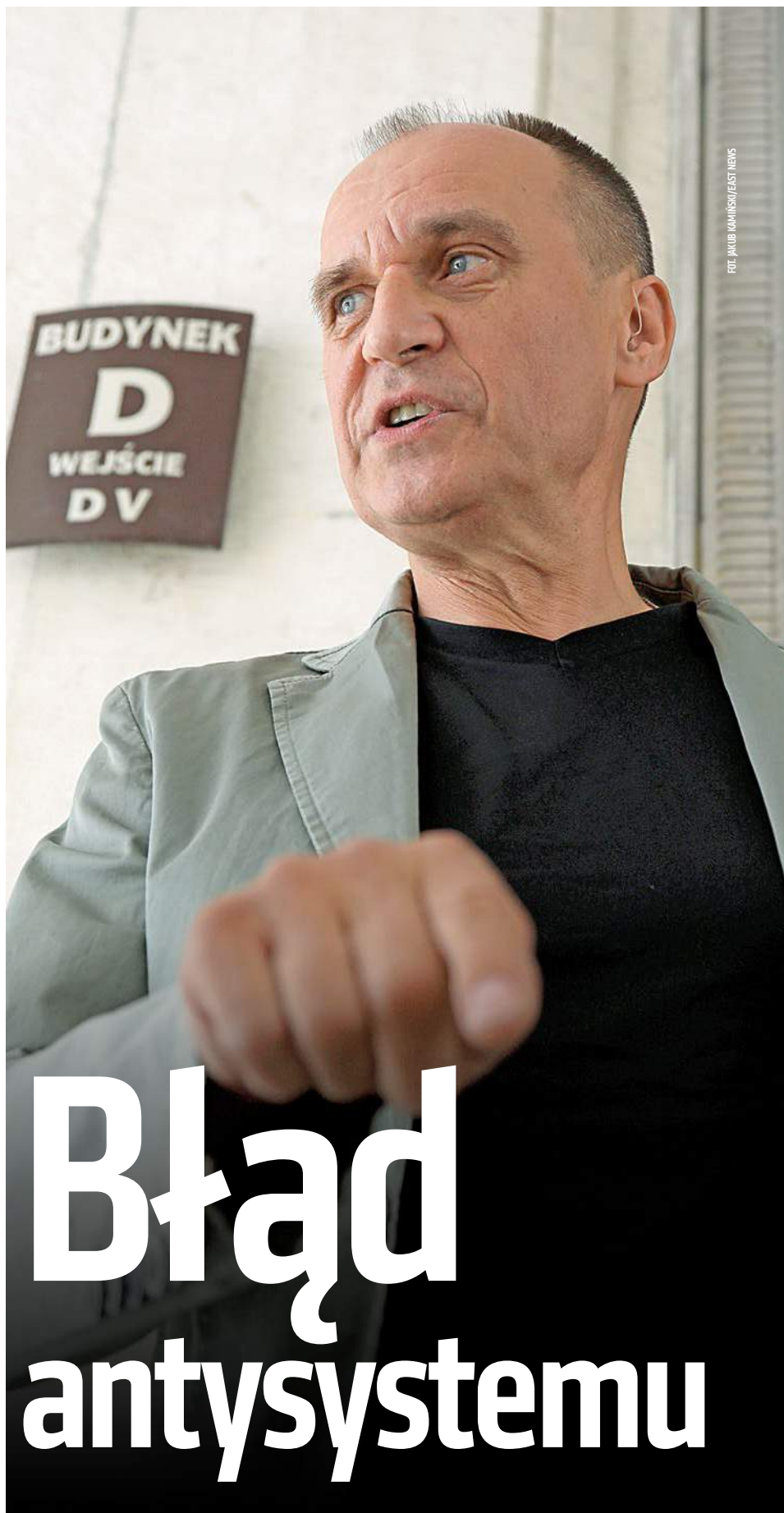
W cieniu upadku Kukiza jakby umknęła kłótnia w Konfederacji – ubiegającej się o głosy tego samego „antysystemowego” elektoratu – z której odeszła w atmosferze wzajemnych oskarżeń Kaja Godek. Jednocześnie po przeciwnej stronie sceny politycznej praktycznie skończył się nie tylko efemeryczny żywot partii Wiosna, której jedynym celem okazało się umożliwienie Robertowi Biedronowi „ustawienie się” w Brukseli – lecz także pretendującej latami do roli „ideowej” lewicy partii Razem.

Na dwa miesiące przed wyborami wygląda więc na to, że w Polsce – parafrazując hasło tej ostatniej – „inna polityka nie jest możliwa”. Na scenie pozostały PiS i PO, obsługujące emocje postkolonialnego podziału na „tubylców” i „kreoli”, oraz na granicy progu egzystencji partie będące właściwie grupami interesu, pilnujące wpływów dawnych nomenklatur peerelewskich – PSL i SLD. Jedyną alternatywą pozostają jałowe gesty: nie iść na wybory, oddać głos nieważny albo, jeśli komuś poza tą czwórką uda się przejść pełną procedurę rejestracji, zagłosować na ugrupowanie, która nie wejdzie do Sejmu, a jeśli nawet wejdzie, to odegra w nim taką samą rolę, jak Kongres Nowej Prawicy w poprzednim Parlamencie Europejskim. Czyli – żeby nie było nieporozumień – żadną.

Czy naprawdę oznacza to, że „żadnych marzeń”? Że system, z ordynacją proporcjonalną i metodą D’Hondta, zaporowymi warunkami układania list kandydatów oraz finansowaniem zasiedziały partii politycznych z budżetu, jest nie do ugryzienia? A polaryzacja, zbudowana przez główne media, zbyt silna i zbyt angażująca emocje, by ktokolwiek przebił się z innym przesłaniem niż antypisowskie albo antymagdałenkowe?

ELEKTORAT MNIEJSZEGO ZŁA

Przecież jednak sondaże pokazują wyraźnie istnienie sporego elektoratu, który na tę czwórkę głosuje tylko jako na



FOT. JACUB KAMINSKI/EAST NEWS

mniejsze zło i który różnymi sposobami sygnalizował przez ostatnie cztery lata gotowość poparcia „czegoś nowego”. Czy należy przyznać, że to tylko elektorat fantomowy, pojawiający się wyłącznie w sondażach, a w istocie niegłoszący (jak swego czasu teoretyczni wyborcy „partii emerytów” czy „partii bezrobotnych”)? Czy może jednak uznać, że siła systemu siłą systemu, ale do jego „rozszerzelniania” zabrali się nie najlepsi zawodnicy, z niedobrymi pomysłami, i po prostu zawiedli?

Ruch, którego stworzenie zapowiadał Paweł Kukiz, ale który, na dobrą sprawę, pozostał bytem wirtualnym, wydawał się kolejną już szansą na zbudowanie „trzeciej siły” – wcześniej była Nowoczesna, a jeszcze wcześniej – Ruch Palikota, w fazie agonicznej przechrzczone na Twój Ruch. Te dwie ostatnie inicjatywy przeszły bardzo podobną drogę. Rodziły się i odnosiły sukcesy jako ugrupowania kojarzone z fachowcami od biznesu, obiecujące pragmatyzm, dystans wobec wojny politycznych plemion. A potem ich przekaz ulegał gwałtownej zmianie, technokratyczny wizerunek lidera ustępował miejsca radykalnej ideologii (w wypadku Palikota i Petru – skrajnie lewicowej) i poparcie stopniowo spadało, a obiecwana „trzecia siła” rozpuszczała się w PO.

Droga Pawła Kukiza wydaje się analogiczna, z tą tylko różnicą, że większość jego posłów, wbrew niemu samemu, zasiłała obóz PiS. Gdy w szczytowym momencie swojej politycznej kariery, czyli na samym jej początku, Kukiz zebrał 20 proc. głosów oddanych w pierwszej turze wyborów prezydenckich, mniej więcej połowę z nich zabrał Bronisławowi Komorowskiemu. Jego ówczesny przekaz wymykał się plemienemu podziałowi, hasła zmiany ordynacji wyborczej, wzmocnienia referendum etc. odczytywano jako sygnały zwrócenia się ku obywatelowi.

Jednak tylko jako sygnały. Wyborcy, w przeciwieństwie do samego Kukiza, nie przywiązali się do JOW-ów czy obligatoryjnych referendum, nie widząc w nich panaceum na swoje bóle (skądinąd rozsądnie – system JOW funkcjonuje na wiele rozmaitych sposobów w wielu krajach, w tym i takich, których na pewno nie należy uznawać za wzór). Wyborcy ci szukali partii, która, tak jak wcześniej Palikot i wczesny Petru, dawałaby nadzieję na politykę praktyczną, skierowaną na konkrety, zamiast młócki na tożsamości i ideologiczne imponderabilia. Sam Kukiz niestety nie zrozumiał

przyczyn swego sukcesu i uczynił z JOW-ów i referendum swoje polityczne fetyzmy. Gdy dzisiaj próbuje przedstawić swą klęskę jako sukces, bo PSL „przyjął jego postulaty” i dopisał je do swego oficjalnego programu, jest to groteskowe – przecież każdy wie, że oficjalne programy to lipa, a w wypadku PSL ten prawdziwy to wziąć ministerstwa rolnictwa i środowiska naturalnego. Gdyby za korzystne dla tego celu PSL uznał przyciągnięcie Kai Godek albo Grzegorza Brauna, dopisałyby do programu konstytucyjny zakaz aborcji bądź intronizację Chrystusa na Króla Polski, i dokładnie tyle samo by z tego wynikało.

Poza wszystkimi wyliczonymi już tydzień temu przez Łukasza Warzechę błędami Kukiza, które sprawiły, że zmarował on kadencję i z gejmczendzera sprzed czterech lat zmienił się w klienta i nadwornego śpiewaka PSL, decydujące było zawiedzenie owej nadziei na jakąś inność, jakąś nową niepolityczną politykę. Do pewnego momentu Kukiz snuł wizję animowania i koordynowania przez jego klub poselski oddolnych ruchów społecznych, wyrastających w wiele nurtów i platform, negocjujących między sobą kompromisy w sprawach ważnych dla obywateli – z nim samym jako patronem i rzecznikiem, a nie dyktatorem. Potem z dnia na dzień uwierzył, że będzie przywódcą takim jak Jarosław Kaczyński, który wszystko wie lepiej, o wszystkim decyduje sam, a swych posłów i sympatyków traktuje jak dowódca wojsko. Słowem, z trybuna ludowego patronującego samoorganizacji społecznej zmienił się w polityka jak inni – tyle że pozbawionego politycznego talentu i niezbędnych cech osobowości.

BRAK WIARYGODNYCH

Politykom i komentatorom wydaje się to niezrozumiałe, ale sporą część istniejącego jeszcze do niedawna elektoratu Kukiza stanowili wyborcy, którzy przedtem głosowali na Petru, wcześniej na Palikot, a jeszcze wcześniej na Korwin-Mikkego. Mało tego, ostatnio wielu z nich na jakiś czas przeniosło swe wskazania na Wiosnę Biedronia (też wtedy deklarującą dystans wobec obu plemion). Według kryteriów stosowanych w świecie politycznym to miotanie się ze skrajności w skrajność – ale ci wyborcy są wbrew pozorom konsekwentni. Po prostu wypatrają kogoś, kto zająłby się ich realnymi problemami. I nie znajdują, bo co na

kogoś takiego postawią – odpływa on ku jednej ze stron plemiennej wojny, opartej na tożsamościowych emocjach. Czyż to nie zdumiewające, że temat, na który jako na najważniejszy wskazuje w sondażach 87 proc. wyborców, usprawnienie służby zdrowia, praktycznie w sporze politycznym PiS-PO nie istnieje?

Jeśli mimo to PiS i PO ze swoimi postkomunistycznymi satelitami skutecznie dzielą między siebie prawie całą scenę polityczną, to dlatego że niczego, przynajmniej niczego wiarygodnego, w kwestii służby zdrowia i innych spraw praktycznych nie proponuje nikt. Ostatnia nadzieja elektoratu poszukującego drogi ucieczki z polityki plemiennej i zideologizowanej, którą był Biedroń (jakkolwiek naiwne wydają się nam takie nadzieje, one istniały i znajdowały odzwierciedlenie w dwucyfrowych sondażach), nie potrzebowała wielu miesięcy, by się skompromitować i utwierdzić Polaków w przekonaniu, że po lewicy nie mogą się spodziewać niczego innego niż albo starych komuchów, albo paranoi w rodzaju walki o osobne ubikacje dla trzeciej i następnych płci.

Dotyczy to również Konfederacji, która po upadku Kukiza żyje nadzieją na przejęcie jego wyborców. Otóż raczej nie przejmie, bo zamiast – jak dawna UPR – mówić o podatkach i odwoływać się do zdrowego rozsądku, postanowiła być „PiS-em na sterydach”, partią ultra-Polaków i ultrakatolików, zdominowaną przez narodowców. Niestety jednak nie przez tych narodowców od Dmowskiego, Sejdy i Rybarskiego, z ich szerokim programem aktywizacji i awansu społecznego oraz budowy republikańskich struktur, tylko przez takich, których zachwyciła tradycja grup narodowo-radykalnych z lat 30., zupełnie dziś martwa i jałowa intelektualnie.

PO zawdzięczała swoje dawne sukcesy bynajmniej nie temu, że spełniała oczekiwania lewicowo-liberalnego salonu, tylko dlatego, że obiecała i dała „ciepłą wodę w kranie”. PiS zawdzięcza swój sukces nie temu, że wypowiedział owemu salonowi wojnę, tylko temu, że obiecał i dał tzw. bezpieczeństwo socjalne. Mimo to cały dyskurs polityczny i medialny kręci się nie wokół konkretnych, lecz wokół sporu ideologicznego. W takim sporze miejsca na trzecią siłę faktycznie nie ma. Jednak nie musi to wcale znaczyć, że nie ma go w Polsce w ogóle.

Morze tandety



Łukasz Warzecha

Polskie morze żyje dziś ze sprzedaży usług pośledniej jakości. I to się nie zmieni, bo klasa średnia wybierze zagranicę

Jedzie się rowerem przyjemną drogą przez las, przejeżdżając wcześniej przez kilka kameralnych jak na polskie nadmorskie warunki miejscowości. W dzień powszedni przyjemność jazdy po lesie zakłócają jednak niosące się na wietrze metry nieokreślone odgłosy: jakieś kucie, walenie, warkoty. W końcu dociera się do zagrodzonej bramą poprzecznej drogi z płyt, prowadzącej w kierunku morza, wokół której stoi kilka busów, niektóre na białoruskich numerach, oraz gdzie czasem roją się ludzie w roboczych strojach, rozmawiający po polsku, ukraińsku, rosyjsku. To wjazd na budowę gargantuicznego hotelu Gołębiowski w Pobierowie w gminie Rewal.

Samo Pobierowo miało w 2013 r. niewiele ponad 1,1 tys. mieszkańców (i do dziś raczej ich nie przybyło), zaś gigantyczny hotel ma mieć 1,1 tys. pokoi na 2,5 tys. osób. Mógłby więc w sobie zmieścić wszystkich mieszkańców Pobierowa i zostałyby jeszcze wiele wolnych miejsc. Trudno sobie wyobrazić, jaki wpływ na krajobraz i lokalną infrastrukturę będzie miał tak olbrzymi obiekt. Kameralność Pobierowa na pewno ucierpi. Wiadomo, że będzie przebudowana droga, prowadząca z miejscowości do hotelu. W związku z wycinką drzew gmina Rewal już musiała zapłacić Lasom Państwo-

wym niemałe pieniądze. Zresztą hotele Gołębiowski (dotąd stały w Mikołajkach, Karpaczu, Wiśle i Białymstoku) są standardowo – i nie bez racji – oskarżane o psucie krajobrazu i gigantomanie.

Żeby było ciekawiej, pozwolenie na budowę kolosa w Pobierowie wydał za swojego urzędowania były już wójt gminy Robert Skraburski, który – ot, zaskoczenie – dostał po opuszczeniu funkcji samorządowej stanowisko dyrektora hotelu, na razie w budowie. Oczywiście były wójt, za którego kadencji gmina Rewal popadła zresztą w ogromne długi, nie widzi w tym niczego niestosownego.

Hotel da gminie pewne wpływy do napiętego budżetu, głównie z opłaty klimatycznej, ale inwestycja może się okazać pasożytem zamiast kurą znoszącą złote jajka. Ten rejon polskiego Wybrzeża, poza letnikami z niedalekich województw, którzy po prostu nie chcą jeździć dalej lub ich na to nie stać, przyciągał zawsze relatywnym spokojem w porównaniu z najbardziej obleganym Pomorzem Gdańskim. Kolos część tego uroku zniszczy bezpowrotnie. Nie da zarazem zarobić biznesom, które dziś obsługują turystów, bo w tego typu obiektach goście mają wszystko na miejscu. Nie będą wychodzić poza teren hotelu.

Ceny pobytu w hotelach Gołębiowski w sezonie sięgają od ponad 500 do

niedługo 700 zł za dobę w dwuosobowym pokoju i z punktu widzenia przeciętnego nadmorskiego letnika są po prostu absurdalnie wysokie. Za niemal dwa razy mniej można wynająć domek letniskowy. Prawdopodobnie nie będą również atrakcyjne dla Niemców spędzających na tej części polskiego Wybrzeża wakacji, którzy nie przyjeżdżają przecież do Polski po to, żeby płacić tutaj jak w swoim kraju.

Tak więc były wójt gminy zafundował jej inwestycję, z której korzyści dla dotychczasowego układu wakacyjnej turystyki będą wątpliwe, za to nie pozostawiają wątpliwości korzyści dla pana Skraburskiego i inwestora. Takie zjawisko – luksusowo-prestżonalne obiekty, w żaden sposób niewpasowane w klimat miejsca, za to żerujące na jego renomie i atrakcyjności – nie jest rzadkością. Ot, choćby wspomniany inny gigant Gołębiowski w Karpaczu czy hotel Król Kazimierz w Kazimierzu nad Wisłą. Tyle że dysproporcja pomiędzy Gołębiowskim w Pobierowie a skalą miejscowości jest chyba rekordowa.

Jest jednak zasada, którą hotel Gołębiowski w Pobierowie złamie: reguła dwumiesięcznego sezonu nad polskim morzem. Tej skali inwestycja, aby była opłacalna, musi działać cały rok. Dlatego ogromną część jej klientów zawsze

FOT. ŁUKASZ OSTASZ/REPORTER

tworzą nie indywidualni wczasowicze, ale uczestnicy różnego rodzaju korporacyjnych wyjazdów: szkoleń, wyjazdów integracyjnych itd. Ci goście przyjeżdżają przez 12 miesięcy, ale nie zmieniają w niczym rytmu funkcjonowania turystyki w gminie Rewal, typowego dla całego polskiego Wybrzeża.

REGUŁA DWÓCH MIESIĘCY

Ten rytm obejmuje niemal wyłącznie dwa wakacyjne miesiące: lipiec i sierpień. I choć w ostatnich latach nieco się to rozciąga na czerwiec i wrzesień, to wciąż zasada rządząca turystyczną ekonomią Wybrzeża wydaje się jasna: nachapać się jak najwięcej przez dwa miesiące, a potem zamknąć interes.

Ledwo trzy lata temu zdarzyło mi się być na granicy Chłapowa i Władysławowa na przełomie sierpnia i września. Sytuacja była wręcz karykaturalna: w pierwszym dniu września zniknęła znaczna część sezonowych bankomatów, zamknięto trzy czwarte lokali gastronomicznych, różnego rodzaju wypożyczalni i stoisk, pozwijano namioty z tandetą, pozamykano nawet część sklepów spożywczych. Z dnia na dzień trudno było znaleźć miejsce, gdzie dałoby się wypić kawę.

Właściciele kwater i nadmorskich interesów, z którymi rozmawiałem, tłumaczą to zawsze tak samo: utrzymywanie biznesu dłużej niż najwyżej do końca września, a i to rzadko, nijak się nie opłaca. Koszty przewyższają wpływy. Właścicielka agroturystyki, w której spędzałem urlop w tym roku, opowiada, że jakimś rozwiązaniem byłoby przyjęcie w sprawie wakacji letnich rozwiązania podobnego jak w przypadku ferii: zróżnicowanie terminów w zależności od regionu Polski, tak aby cały sezon wakacyjny obejmował nie dwa (trzy, jeśli wliczyć studentów), lecz cztery miesiące. To faktycznie sprzyjałoby rozszerzeniu oferty i choćby częściowemu zastąpieniu biznesów sezonowych trwałymi.

Wydaje się jednak, że sprawa jest bardziej złożona. W przeciwieństwie do polskich gór, które od dawna funkcjonują turystycznie w rytmie całorocznym, czy kultowych miejsc, takich jak wspomniany wcześniej Kazimierz nad Wisłą, miejscowości nad polskim morzem od zbyt dawna działają w trybie dwumiesięcznym, żeby samo rozciągnięcie letnich wakacji w czasie wystarczyło. Trudno na przykład trafić wśród sezonowo otwartych biznesów na

mające lokalnych właścicieli. Ci pochodzą zwykle z niedalekich, dużych miast, a czasami z bardzo odległych regionów Polski, zaś nadmorska aktywność jest dla nich tylko chwilową odskocznią i okazją do szybkiego zarobku.

Problem w tym, że na ogół jest to aktywność bardzo pośledniego gatunku, obliczona na jak największy zysk jak najmniejszym kosztem – bez zwracania uwagi na jakość. Co nie dziwi, bo założenie jest takie, że letnicy i tak przyjadą, nie ci, to inni. Ich celem nie jest więc budowanie marki – inaczej niż w miejscach, do których się wraca i odwiedza na przykład jedną lubianą restaurację. W tej sferze mieszczą się i okazjonalna nadmorska gastronomia (lepiej nie zaglądać do kuchni), i wypożyczalnie gokartów na pedały albo – co jest nową modą – elektrycznych skuterków, i stragany z wszelkiego rodzaju tandetą, produkowaną w Chinach za grosze, a sprzedawaną z wielokrotnym przebieciem. Inna sprawa, że podobne myślenie, w dużej mierze zasadne – zawsze ludzie przyjadą – wpływa na spadek jakości również tam, gdzie turystyka działa cały rok – choćby w Zakopanem i okolicach.

Jeśli nad morzem szuka się trochę bardziej wyrafinowanej usługi, to jest problem. Gdy w okolicach Kamienia Pomorskiego potrzebowałem w pełni wyposażonego serwisu rowerowego, okazało się, że czegoś takiego po prostu tam nie ma. Częściowo uratował mnie przedsiębiorca z Dolnego Śląska, który od ośmiu lat sezonowo pod Rewalem handluje rowerami i naprawia je w podstawowym zakresie. W swoim mieście zaś prowadzi w pełni wyposażony sklep i serwis. Ostatecznie jednak się okazało, że trzeba było z rowerem jechać aż do Szczecina. Zagadką pozostaje, dlaczego – mimo zatrzęsienia rowerów na nadmorskich szlakach podczas wakacyjnego sezonu – żadna z dużych sieci sklepów sportowych ani żadna z profesjonalnych firm handlujących rowerami i je serwisujących nie uruchomiła punktu na Wybrzeżu. To samo dotyczy innych nadmorskich okolic. Nisza biznesowa jest ewidentna.

Można odnieść wrażenie, że skoro nad morzem od lat jest tak samo i jakoś idzie, to nikt – ani przedsiębiorcy, ani właściciele kwater, ani samorządy, których rola mogłaby tutaj być decydująca – nie jest zainteresowany zmianą stanu rzeczy. Taka sytuacja nie jest jednak bez konsekwencji.

Klientela będzie się zmieniać. Znad polskiego morza odpływa systematycznie klasa średnia. To ludzie, którzy wolą wydać nieco większe pieniądze na relatywnie wygodne all-inclusive w Egipcie, Turcji czy Tunezji. Jeśli zaś mają ambicję spędzać czas aktywniej i lubią urządzać sobie wakacje sami, to za porównywalne albo nawet, przy odrobinie szczęścia, mniejsze pieniądze pojadą na Słowację, do Czech, Słowenii, na Węgry czy do Chorwacji. Poziom usług jest tam nieporównywalnie wyższy niż nad polskim morzem. Nieznane są też tam instytucje, takie jak osiedla domków letniskowych stłoczonych tak, że przypomina to obóz pracy, a ludzie siedzą sobie na głowach – doprawdy trudno pojąć, jak ktokolwiek może czerpać przyjemność z wakacji w takich warunkach.

DLA KOGO?

Dzisiaj polskie morze biznesowo żyje w dużej mierze dzięki ludziom, których stać na wyjazd pierwszy lub drugi raz dzięki transferom socjalnym. To z kolei sprzyja rozkwitowi usług pośledniej jakości. Druga grupa to klienci miejsc takich jak budowany w Pobierowie hotel, ale ci, jako się rzekło, funkcjonują na ogół w swego rodzaju zamkniętym obiegu i nie są źródłem większych korzyści dla sezonowych biznesów. Oni nie pójda na rybę i frytki do pobliskiego baru, ale pojadą raczej 50 km do najbliższej eleganckiej restauracji, żeby zaspokoić swoją próżność.

Ten mechanizm sprawia, że brak na polskim Wybrzeżu impulsu do rozbudowywania atrakcji, nawiązujących do jego fascynującej historii. Tego typu miejsca przyciągają bowiem głównie właśnie klasę średnią. Są wyjątki, takie jak działające od kilkunastu lat w ramach prywatnego Muzeum Obrony Wybrzeża muzeum w dawnym pruskim Forcie Gerharda w Świnoujściu, niedawno otwarta przez to samo stowarzyszenie podziemna trasa w dawnej Baterii Vineta czy znakomity prywatny Helski Kompleks Muzealny, zorganizowany przez stowarzyszenie Przyjaciele Helu. To jednak rodzinny, zaś regionalna tradycja od Dziwnowa do Władysławowa jest co do zasady ledwie dostrzegalna. To powolny, ale nieunikniony proces degeneracji, który zmienia stopniowo te miejsca w zunifikowany, tandetny, sezonowy namiot z chińszczyzną.

Śmierć milionera



Łukasz Zboralski

Noc, jezioro, szybka łódź motorowa. Ostatnią osobą, która widziała jednego z najbogatszych Polaków żywego, była płynąca z nim 27-letnia kobieta

Jezioro Kisajno koło Giżycka na Mazurach. Blisko 19 km kw. powierzchni wody. Miejsce to przyciąga nie tylko zwykłych żeglarzy czy letników, przed laty teren nad brzegiem Kisajna wybrali na swoją letnią rezydencję polscy milionerzy. Na ok. 200 ha mieli do dyspozycji nie tylko prywatną plażę czy własne wejście do portu, lecz także nawet pole golfowe i lądowisko dla helikoptera.

Ogromna posesja na Mazurach to nic nadzwyczajnego. Piotr Woźniak-Starak pochodził z rodziny, której majątek wyceniany jest na blisko 6 mld zł. W kraju bogatsi od nich są jedynie Kulczykowie i rodzina Solorzów. Piotr był synem Anny Woźniak-Starak i pasierbem Jerzego Staraka, który stworzył prawdziwe imperium farmaceutyczne.

BIZNES NA LEKACH

Jerzy Starak jeszcze w PRL otworzył firmę polonijną zajmującą się m.in. produkcją keczupu i kosmetyków. Po przemianach w 1989 r. zaangażowany był we wprowadzanie na polski rynek zagranicznych koncernów. Wśród nich był producent żywności dla dzieci Nutricia czy koncern Colgate-Palmolive. Podstawą wielkiego biznesu Staraka stały się jednak były państwowe zakłady Polpharma w Starogardzie Gdańskim. Był to czołowy w kraju wytwórca leków z udziałem w rynku na poziomie 13 proc. Rząd AWS postanowił ten zakład sprywatyzować. W lipcu 2000 r. ówczesny minister skarbu państwa Emil Wąsacz podpisał umowę sprzedaży 52,3 proc. akcji przedsiębiorstwa. Większość (42,4 proc.) kupiła spółka Spectra Management kontrolowana przez Staraka, a 10 proc. trafiło do Prokom SA – firmy Ryszarda Krauzego. Za firmę zapłacono ponad 231 mln zł. Obecnie Polpharma wyceniana jest już na miliardy złotych.

W prywatyzacji Ministerstwu Skarbu Państwa doradzała wówczas firma Polish Institute of Management. To ona też odpowiadała za negocjacje z biznesmenami.

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Dzisiaj w sieci można znaleźć jedynie stronę internetową, która wygląda, jakby zatrzymała się w poprzednim wieku. Nie działają na niej żadne zakładki. Czerwony napis głosi „The service is under modifications”.

Tuż po sprzedaży firmy minister skarbu wyliczał powody prywatyzacji w odpowiedzi na pytanie posła Jana Kulasa. Zdaniem przedstawiciela resortu argumenty były trzy: spełnienie wymogów konkurencji w ramach UE, umocnienie pozycji lidera na polskim rynku i rozwój eksportu.

Nie wszystkim to przekonało. Za pierwszych rządów PiS w Ministerstwie Skarbu badano, jak przeprowadzona została prywatyzacja. Raport pokontrolny stał się podstawą zawiadomienia do prokuratury. Ówczesny minister Wojciech Jasiński w 2007 r. zawiadomił śledczych o podejrzeniu popełnienia przestępstwa. Badano, czy nie wystąpiły zaniedbania urzędników i czy państwo nie powinno za firmę dostać dużo więcej pieniędzy. Sprawą zajęła się gdańska prokuratura apelacyjna. Śledczy badali też wybór doradcy procesu prywatyzacyjnego.

W tym samym roku nastąpiło jednak przesilenie polityczne. Premier Jarosław Kaczyński podał rząd do dymisji. A w kolejnych wyborach wygrała PO i swój gabinet stworzył już Donald Tusk. W maju 2008 r. „Rzeczpospolita” ujawniła, że prokuratury umorzyły jedną trzecią ze śledztw po kontrolach prywatyzacji wykonanych przez poprzedniego ministra skarbu. Wśród umorzonych spraw była także ta dotycząca Polpharmy.

Jerzy Starak rozwijał lekowy biznes. Gdy od dawna miał już w rękach firmę sprzedającą Polakom m.in. etopirynę, polopirynę, scorbolamid czy ranigast, sięgnął po następną. W 2012 r. Polpharma wchłonęła warszawską Polfę, produkującą np. biseptol i allertec. Polacy kupują od Staraka dziś nie tylko leki, lecz także jedzenie (olej kujawski). Ma udziały w Zakładach Tluszczykowych Kruszwica i znanym producencie herbat oraz preparatów ziołowych – Herbapolu Lublin. Z kolei do Anny Woźniak-Starak, byłej modelki pracującej dla magazynu „Moda Polska”, należy znana restauracja Belvedere, mieszcząca się w Łazienkach Królewskich w Warszawie. Tylko w ubiegłym roku restauracja przyniosła niecałe 2 mln zł zysku. Anna Woźniak-Starak funkcjonuje też w rejestrze KRS firmy ochroniarskiej Arimax.

DROGA FILMOWCA

Piotr Woźniak-Starak średnią szkołę ukończył w Szwajcarii. Młodzieńcze zain-

teresowania wskazywały, że chce związać się z przemysłem reklamowym. Studiował komunikację w Bostonie na Emerson College. Uczył się też grafiki w Parsons School of Design w Nowym Jorku. W tym ostatnim mieście był też na stażu w dwóch agencjach reklamowych.

Ostatecznie postanowił działać jednak w branży filmowej. Jego głównym biznesem stała się założona w 2008 r. firma Watchout Studio. Jak wynika z analizy sprawozdań finansowych dokonanej przez portal Money.pl, biznesmen włożył w tę firmę nie tylko sporo własnej pracy, lecz także pieniędzy. Wielokrotnie udzielał spółce pożyczek. W sumie przekazał jej w ten sposób kilka milionów złotych. Przygody w ubiegłym roku przekroczyły 16,5 mln zł, ale rok zakończył się stratą w wysokości blisko 3 mln zł. Głównie dlatego, że studio przygotowywało właśnie nowe produkcje. W listopadzie na ekrany kin wszedł film „Ukryta gra”, w którym zagrał Bill Pullman („Dzień Niepodległości”, „Zagubiona autostrada”). Jego akcja osadzona będzie w czasach zimnej wojny i osnuta wokół porwania przez Amerykanów genialnego matematyka, który ma pokonać w szachach sowieckiego mistrza. To najdroższy projekt Watchout Studia – budżet produkcji przekroczył 15 mln zł. Studio skończyło też niedawno pracę nad kontynuacją serialu „39 i pół”, zatytułowaną „39 i pół tygodnia”, która od września zacznie być emitowana w niedzielne wieczory w TVN.

Woźniak-Starak pokazał, że produkcja filmów nie była tylko kaprysem bogatego dziecka. To w jego studiu narodził się pomysł filmu o Zbigniewie Relidzie. Scenariusz też powstał właśnie tam. „Bogowie” okazali się znakomitym filmem, który w 2014 r. przyciągnął do kin najwięcej widzów – 2,2 mln. Watchout Studio zarobiło na tym obrazie 4 mln zł i zwróciło całość dofinansowania do Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. Chociaż warto zauważyć, że budżet filmu, nawet z dwumilionową dotacją PISF, się nie domykał i pieniądze Polpharmy jednak pomogły.

Biznesmen udowodnił, że „Bogowie” nie byli szczęśliwym zbiegiem okoliczności. I że amerykańskie podejście producenckie, w którym czuwa się nad pomysłem i reżyserskim, który ma go zrealizować, działa też w Polsce. Kolejny film „Sztuka kochania. Historia Michaliny Wisłockiej” również okazał się sukcesem. W 2017 r. był trzecim najchętniej oglądanym filmem w polskich kinach (1,8 mln widzów).

W sobotę 17 sierpnia Piotr Woźniak-Starak wypłynął w nocy motorówką na jezioro Kisajno. Płynęła z nim 27-letnia kobieta. O tym, co się działo w ciemności na wodzie, wciąż niewiele wiadomo. Oboje mieli wypaść z motorówki podczas manewru skrętu.

REJS W CIEMNOŚĆ

Podejrzuje się, że Woźniak-Starak mógł płynąć bez tzw. zrywki – linki przymocowanej do ręki, która unieruchamia silnik motorówki, gdy sternik z niej wypadła. Wówczas po wypadku motorówka mogła zacząć kręcić się wkoło. To poważne niebezpieczeństwo dla ludzi za burtą.

Wiadomo, że – jak zaznaczyła warminsko-mazurska policja – w nocy zakazane jest pływanie po jeziorze Kisajno. I Starak-Woźniak ten zakaz złamał.

W niedzielę nad ranem policja odebrała zgłoszenie o dryfującej po jeziorze motorówce. Gdy patrol tam dojechał razem z ratownikami, w unoszącej się na wodzie łodzi motorowej nikogo nie było. Na brzegu odnaleziono 27-latkę. Kobieta – która pracowała jako kelnerka w mazurskiej restauracji, ale miała też patenty żeglarskie i była instruktorem – opowiedziała, że dopłynęła tam po wypadnięciu z łodzi. Oceniała, że pokonała ok. 100 m.

Poszukiwania 39-letniego milionera trwały pięć dni. Zaangażowane były policja, Mazurskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe, Wojska Obrony Terytorialnej oraz Grupa Specjalna Płetwonurków RP. Korzystano z sonarów i robotów do prac wodnych.

W czwartek przed południem znaleziono ciało. Krótko po tej informacji prokuratura potwierdziła, że to zwłoki poszukiwanego. Koledzy z Watchout Studia opublikowali w Internecie pożegnanie: „Był ciepłym, niezwykłym człowiekiem, o otwartym sercu, a jednocześnie zawodowym filmowcem, który potrafił zrealizować swoje wizje artystyczne, porywając za sobą miliony widzów”.

Prywatnie Piotr Woźniak-Starak był mężem dziennikarki Agnieszki Woźniak-Starak. Wyszła za niego w 2016 r., rok po tym, jak rozwiodła się z motocyklistą wyścigowym, którego żoną była przez osiem lat. Ślub z milionerem wzięła w Wenecji. W rocznicę ślubu zamieściła na Instagramie czarno-białe zdjęcie. Piotr Woźniak-Starak stoi na motorówce w weneckim kanale, chłodzi się wachlarzem. Obok zdjęcia podpis: „Mój mąż, moja miłość, mój najlepszy przyjaciel”.

Łódź sfrustrowana

FOT. TOMASZ MARCZEWSKI/ADAM STOLC

Z prof. Piotrem Szukalskim, demografem i gerontologiem z Uniwersytetu Łódzkiego rozmawia Błażej Torzański



BŁAŻEJ TORZAŃSKI: Z najnowszego raportu GUS wynika, że Łódź wyludnia się najszybciej z polskich miast. W ciągu ostatniego roku ubyło 5 tys. łódzian, przez ostatnie 10 lat – kilkadziesiąt tysięcy. Ludzie uciekają z Łodzi?

PROF. PIOTR SZUKALSKI: Nie uciekają, tylko się w niej nie osiedlają i Łódź ma ujemny przyrost naturalny. Zgonów od urodzeń jest w ciągu roku więcej o cztery, pięć tysięcy. Umieralność w Łodzi jest najwyższa w Polsce.

Łódzianie żyją średnio 72 lata, łódzianki 80, o trzy lata krócej aniżeli kobiety z Podkarpacia. W Łodzi żyje się najkrócej?

Co najmniej od 20 lat. Łódzianie umierają na choroby układu krążenia, udary, wylewy i nowotwory.

Z czego to wynika? Z zanieczyszczenia środowiska? Z poziomu opieki medycznej?

Przez lata Łódź włókiennicza miała jeden z najniższych w Polsce poziomów wykształcenia, a to bardzo silnie wpływało na świadomość zdrowotną. Ludzie dobrze wykształceni zapytani, jak dbają o zdrowie, mówią o zdrowym odżywianiu i byciu w ruchu. Słabo wykształceni na to samo pytanie odpowiadają, że – jeśli mają problemy ze zdrowiem – idą do lekarza i przestrzegają jego zaleceń. Jeśli dodamy do tego wysokie zanieczyszczenie, a starsi żyli w nim przez dziesiątki lat, to się te problemy skumulowały.

Nadal wielu łódzian pali w Śródmieściu węglem i śmieciami, bo nie mają centralnego ogrzewania. Wytwarzają się silnie rakotwórcze benzopireny.

Mieszkam w Śródmieściu i zimą, przy niskiej temperaturze, często czuję duszący dym walący z kominów budynków mieszkalnych. Ludzie palą, czym mogą. To jest jedno ze źródeł największej umieralności w Polsce.

Jakie są inne? Słaba opieka geriatryczna?

Tego nie demonizowałbym, w całej Polsce opieka geriatryczna jest na niskim poziomie. Jest wiele klinik, więc dostęp do lekarza nie jest gorszy aniżeli w Krakowie czy Gdańsku. Jest jeszcze jeden, demograficzny czynnik wysokiej liczby zgonów: struktura wieku.

W ostatnim biuletynie o demografii alarmuje pan: Polska jest krajem starych ludzi! Jedna czwarta Polaków ma przynajmniej 60 lat. Łódź w tej statystyce znowu jest na pierwszym miejscu.

Spośród dużych ośrodków miejskich to Łódź jest miastem, w którym proces starzenia się jest najbardziej zaawansowany: na koniec 2018 r. 31,6 proc. łódzian przekroczyło 60. rok życia. Niekorzystna struktura wieku w połączeniu z wysoką umieralnością daje wysoką liczbę zgonów.

Złych statystyk Łódź ma więcej, także niski wskaźnik urodzeń.

Relatywnie niewiele kobiet decyduje się na ciążę w najlepszym wieku do

rodzenia dzieci: 25–35 lat. Mają też małą skłonność do posiadania potomstwa.

Najpierw chcą robić karierę?

Przyczyna jest bardziej dalekosiężna. Już badania międzywojenne pokazywały, że w typowym domostwie w Łodzi było mniej ludzi aniżeli w innych miastach. Tłumaczono to tym, że większość kobiet jest aktywna zawodowo. W innych ośrodkach, np. na Śląsku, kobiety siedziały w domu przy mężu górniku i miały czas, aby zaopiekować się trojgiem czy pięciorgiem dzieci. Nie miało to najmniejszego wpływu na poziom życia rodziny. W Łodzi kobiety musiały zarabiać. A przecież zawsze było ich zdecydowanie więcej od mężczyzn, bo przyciągała je praca w przemyśle włókienniczym. W demografii znane jest pojęcie dziedziczenia zachowań. Jeśli wychowałeś się w rodzinie, w której było mało dzieci, urodziłeś się jako dziecko pozamałżeńskie, w nieformalnym związku albo rodzice się rozwiedli, to gwałtownie zwiększa się prawdopodobieństwo...

... powielenia tego schematu?

Właśnie, bo dla ciebie to jest norma. Coś, czym nie ma powodu się przejmować. Od kilku dekad w warunkach miejskich tych, którzy mają pięcioro dzieci, wytyka się palcem. Dzieci są mniej skłonne do posiadania potomstwa, powielają wzorce rodziców. Rodzice byli do tego zmuszeni ekonomią. Ich dzieci uznają to za normalne zachowanie.

W Łodzi nie ma też – w przeciwieństwie do Podkarpacia czy Podlasia – wielopokoleniowych rodzin ani silnych więzów między krewnymi. A to one pozwalają przetrwać nawet w najcięższych czasach.

Już przed wojną mieliśmy więcej rozwodów, narodzin dzieci pozamałżeńskich, faktów dowodzących mniejszej spójności więzi rodzinnych. Rzadko trzy pokolenia mieszkają pod jednym dachem. Dzieci szły na swoje. Babki pracowały na innych zmianach aniżeli ich córki. Ludzie mijali się, rzadziej widywali i pomagali sobie, a to utrudniało budowanie więzi międzypokoleniowych.

Jakie są jeszcze przyczyny kurczenia się Łodzi? Łódź nie ma siły przyciągania. Absolwenci szkół średnich z Piotrkowa Trybunalskiego, Sieradza czy ze Skierniewic częściej wybierają studia w Krakowie, Warszawie czy we Wrocławiu.

Rzeczywiście, Łódź ma słabą siłę przyciągania. Nieporównanie słabszą od Warszawy czy Krakowa, miast, które są atrakcyjne także dla ludzi z innych regionów. Przyczyn tego stanu jest wiele, wśród nich jest także komunikacja. Z Wieruszowa czy Wielunia, południowych krańców woj. łódzkiego, łatwiej dojechać do Wrocławia.

Zdaniem prof. Jacka Wesołowskiego, architekta i urbanisty z Politechniki Łódzkiej, Łódź jest komunikacyjnie „odcięta” od cywilizacji. To radykalny pogląd.

Z Kutna łatwiej dojechać do Poznania aniżeli do Łodzi.

Dlaczego Łódź nie jest atrakcyjna?

Dla ludzi, którzy odwiedzają Łódź na weekend, jest bardzo atrakcyjna. Coraz więcej jest turystów z całego świata.



Profesor Piotr Szukalski. FOT. MARIAN ZUBZYŃSKI

O wiele trudniej tu żyć. Łodzi dorabia się też głębie.

Tak jak w stwierdzeniu Bogusława Lindy sprzed czterech lat: „Dzisiaj to miasto jest umarłe, to miasto meneli”?

Młodzi, decydując się na studia, często chcą także dorobić, poza tym myślą o tym, co później, po studiach, a od lat słyszą, że w Łodzi są bezrobocie, bieda, niskie wynagrodzenia.

Czytają też rankingi szkół wyższych i wiedzą, że łódzkie uczelnie nie są w ich czołówce. Najbardziej znany ranking „Perspektyw” plasuje w 2019 r. Politechnikę Łódzką na ósmym miejscu, a Uniwersytet na 20.

I dochodzą do wniosku, tak jak w moich czasach, w końcu lat 80., że są lepsze miejsca do studiowania.

Łódź ma pomysł na zmianę wizerunku?

Przez lata Łódź nie miała jasnej strategii budowania swego wizerunku. Przez dziesiątki lat dorabiano jej głębie i teraz, nawet jeśli coś się zmienia, trudno odwrócić ten trend. Kiedy Bogdan Zdrojewski został w czerwcu 1990 r. prezydentem Wrocławia, realizował w telewizji program o tym, jak zmieniać Wrocław, aby był atrakcyjny. W tych programach stałe pojawiało się jedno – że miasto musi mieć centrum. To się w przestrzeni publicznej przebiło, bo ludzie zrozumieli, że jeśli przyjeżdża inwestor zagraniczny, to po kilkunastu godzinach rozmów biznesowych chciałby wieczorem odpocząć: przejść się na spacer, posłuchać muzyki, napić alkoholu, czuć się miło i bezpiecznie.

Ale przecież powstaje Nowe Centrum Łodzi. Niestety, bez wizjonerstwa poprzednich władz miasta, bez symbolu zmian Łodzi: Bramy Miasta zaprojektowanej przez światowej sławy architekta Daniela Libeskinda. Bez centrum kongresowo-festiwalowego według projektu Franka Gehry'ego, autora Muzeum Guggenheima w Bilbao. Powstają natomiast architektoniczne klocki, siedziby korporacji.

Nie da się ukryć, powstaje architektura powalająca brzydota. Nie ma w tym wizji. Nie ma też pomysłu na rewitalizację. Na to, jak zaaranżować przestrzeń, aby przyciągała ludzi. Nie ma aktywnego zarządzania miastem. Jest to jednak bezpieczniejsze od megalomańskich wizji sprzed kilkunastu lat.

Nie zgadzam się z pańską oceną wizji poprzedniej władzy, ale spytam inaczej: Czy nad Łodzią wisi klątwa?

Nie, ale Łódź jest miastem postrzeganym jako przegrane. Jest pełne sfrustrowanych ludzi, którym się wydaje, że przegrali. To zjawisko narasta. Widzę to choćby w tramwajach. We wszystkich innych miastach, a sporo jeżdżę po Polsce, kiedy ktoś kogoś niechcący potrąci, sprawę załatwia się krótko, słowami: „przepraszam” i „nie ma sprawy”. W Łodzi takie drobniaczki zadziwiająco często prowadzą do pyskówek, bluźgów, szarpanin. Czuję w łódzianach agresję.



Agnieszka Niewińska

Pięć sukni, 200 gości i galaretką z prosecco. Państwo Rutkowscy wzięli ślub z przytupem. Twierdzą, że na imprezę wydali milion złotych. Czy wydatek ma szansę się zwrócić?

Kwiaty przyjechały prosto z Holandii, ogród przy pałacu w podwarszawskim Rozalinie ozdobiono tysiącem świec. Panna młoda – choć już w ubiegłym roku dobierała suknię ślubną na oczach widzów TVN Style – nie mogła zdecydować się na jedną. Wystąpiła w pięciu kreacjach. Inną miała na sobie podczas ceremonii, inną założyła do pierwszego tańca. Nawet krojenie tortu wymagało odrębnej, mocno wydekoltowanej sukni. Pan młody też nie ograniczył się do jednego garnituru. Można było go oglądać w czerni i w bieli. Zadbął również o fryzurę. „Kwadratowy jeź” – jak nazywa noszone przez siebie uczesanie – w dniu ślubu wyjątkowo prosto trzymał się na głowie.

Na ślub zaproszonych zostało 200 gości. Podano im m.in. konfitowaną gęś, krem z kalafiora z wanilią czy sorbet cytrynowy z galaretką z prosecco. Impreza, zgodnie z deklaracjami państwa młodych, kosztowała ok. 1 mln zł. Z takim przytupem żenił się Krzysztof Rutkowski, zwany detektywem.

ŚLUBNY LANS

Wybranką jego serca – już czwartą – została psycholog i detektyw Maja Plich, z którą jest związany od ośmiu lat. Mają syna – Krzysztofa. Od ubiegłej soboty są już panem i panią Rutkowski, bo żona Rutkowskiego zdecydowała się przyjąć jego nazwisko i życzy sobie, by go nie odmieniać. Na kanapie „Dzień dobry TVN”, gdzie para gościła kilka dni po zaślubinach, wyjaśniała, że Rutkowski brzmi bardziej światowo, a żeńska forma nazwiska – Rutkowska – od początku nie za bardzo jej się podobała.

Przed uroczystością media donosiły, że będzie ona miała prywatny charakter, a wśród gości znajdują się rodzina i najbliżsi znajomi. Jednak jeszcze przed zaślubinami zrobiło się o nich głośno. – Nie chcie-

FOT. RAVEL DĄBROWSKI/SE FEST NEWS



Celebryta się żeni

liśmy ujawniać niczego przed ślubem, ale zaproszenie, które wysłaliśmy do jednego z gości, trafiło do niego rozcięte skalpelem i znalazło się w mediach – opowiada „Do Rzeczy” Krzysztof Rutkowski. – Jeśli się jest detektywem Rutkowskim, to nie da się wziąć ślubu po cichu – tłumaczy.

– Krzysztof Rutkowski ma nosa do autopromocji, doskonale rozumie świat mediów. Dla niego nie ma złej reklamy, ważne, żeby o nim mówili – ocenia Joanna Gepfert,

specjalistka w dziedzinie wizerunku. – Zainteresowanie ślubem Rutkowskich było umiejętnie podsycane. Zdjęcia z uroczystości para obiecała na wyłączność jednemu z tabloidów, pozostali fotoreporterzy mogli co najwyżej podglądać przez płot, co tylko dodało wydarzeniu tajemniczości i zwiększało zainteresowanie nim. Ostatecznie jeszcze przed ukazaniem się ekskluzywnego materiału zdjęcia z przyjęcia wyciekły do sieci, a już po ślubie Rutkowsy odbyli

tournée po mediach, zdradzając kolejne szczegóły. Efekt jest taki, że wszędzie ich pełno.

Po uroczystości państwo Rutkowsky chętnie dzielili się szczegółami imprezy. Krzysztof Rutkowski pochwalił się, że w kopertach od gości znaleźli ok. 300 tys. zł. Oszacował, że drugie tyle są warte prezenty. Państwo młodzi dostali m.in. odkurzacz wart 7 tys. zł, a jeden z dealerów samochodowych sprawił Rutkowskiemu zegarek z karbo- nu. – Mamy ciężarówkę różnego rodzaju najlepszych alkoholi. Nawet jedna butelka z 1966 r. Whisky z certyfikatem – przechwalał się w Radiu Zet.

Do TVN Maja Rutkowski zabrała wszystkie ślubne kreacje, które wyeksponowano na manekinach. Zdradziła, że piękny wygląd zawdzięcza klinice, którą zareklamowała na wizji.

Nawet wydarzenia nocy poślubnej nie były tabu. Tej drugiej, bo wesela zakończyło się nad ranem. – Druga noc poślubna była bardziej upojna, namiętna, aż cały drzę – zdradził Rutkowski. – Jeszcze czuję te uściski, dotyki – rozmarzył się przed mikrofonem.

WESELE Z LUDŹMI W KOMINIARKACH

Pałac w Rozalinie, gdzie odbył się ślub Rutkowskich, przypominał obłożoną twierdzą. – O nic się nie baliśmy. Chcieliśmy, żeby nasi goście czuli się bezpiecznie. Krzysztof Rutkowski ma wielu wrogów, moje działania sprawiły, że wielu przestępców trafiło do więzienia na 25 lat. Wielu odebraliśmy samochody, majątki. Ci ludzie mogą chcieć się zemścić. Obiekt w Rozalinie zabezpieczyliśmy już trzy dni przed ślubem. Ktoś przecież mógł chcieć go np. spalić – tłumaczy nam Rutkowski. Ochroniarze Rutkowski Patrol pilnowali terenu ubrani w kominiarki i z długą bronią w ręku. Przed bramą stały też zaparkowane terenowe samochody przypominające opancerzone pojazdy.

– To nie detektyw Rutkowski, tylko cyrk Rutkowski, kabaret jakiś – komentuje Roman Mańka, który w 2017 r. wraz z Łukaszem Ziają wydał wywiad rzekę z Rutkowskim o porwaniach, którymi ten się zajmował. – Nie dziwi mnie to jednak. O Rutkowskim sprzed lat można powiedzieć, że prowadził sprawy, które zakończyły się sukcesem, mogły się nawet pokusić o stwierdzenie, że był fachowcem. Zdecydował jednak, że chce być celebrytą, a nie detektywem. To się zbiegło ze sprawą

Magdaleny Żuk, która zginęła tragicznie w Egipcie. Rutkowski postawił nawet słuszne tezy, nikt ich do dzisiaj nie obalił, ale to, co wyprawiał przy okazji tej sprawy, przechodziło ludzkie pojęcie. Po co były te zdjęcia pani Plich w oknie, przez które wyskoczyła dziewczyna? Po co te konferencje prasowe z ludźmi w kominiarkach za plecami Rutkowskiego? Rutkowski poszedł do telewizji, by rozmawiać o tej sprawie, a zamiast tego oświadczył się na wizji. Żenada! – konstatuje Roman Mańka. I dodaje: – Jeśli chce być celebrytą, to jego wybór, ale przy okazji ośmieszył nas, autorów książki. Ją samą zabił jeszcze przed premierą. Po tych jego medialnych występach trudno było tę publikację traktować poważnie. Niektóre media przestały mnie nawet zapraszać do audycji – żali się.

Do księgarń miały trafić kolejne odcinki wywiadów z Rutkowskim, ale nigdy się nie ukazały. – Nie wydaję książek z niepoważnymi ludźmi i żałuję, że zdecydowałem się na pracę nad tą, która się ukazała – ocenia dziś Roman Mańka. – Opublikowaliśmy ją tylko dlatego, że dotyczyła bardzo trudnych, ciekawych spraw mających miejsce w czasie, kiedy Rutkowski był jeszcze poważnym detektywem, walczył z gangsterami, a nie, tak jak teraz, członkiem kabaretu.

Dzisiaj Krzysztof Rutkowski wedle prawa nie jest już nawet detektywem. Uprawnienia stracił lata temu, ale w mediach wciąż funkcjonuje jako detektyw. Jest absolwentem Technikum Mechanizacji Rolnictwa w Sochaczewie. Przyszłości z maszynami rolniczymi jednak nie związał. W latach 80. służył w milicji i ZOMO.

Na przełomie lat 80. i 90. pracował w agencji ochroniarskiej Sekuritas. W 1990 r. otworzył biuro detektywistyczne Rutkowski – w Warszawie, potem w Wiedniu, gdzie mieszkają z byłą żoną Anną. Szukał skradzionych samochodów, ścigał porywaczy i szantażystów. Pomagały mu kontakty, które miał wśród policjantów. Angażował się w głośne sprawy: nękanie Edyty Górniak, porwanie Krzysztofa Olewnika, a w ostatnich latach w zaginięcia Iwony Wiczonek, kilkumiesięcznej Madzi z Sosnowca, Ewy Tylman w Poznaniu. I choć swoje akcje sprawnie nagłaśniał, to największą popularność przyniosła mu współpraca z TVN i serial „Detektyw” emitowany w latach 2001–2006. Widzowie mogli obserwować jego brawurowe akcje. Nieraz przekraczał granice prawa, ale trudno było go zatrzymać, bo

w latach 2001–2005 był posłem Samoobrony, legitymował się paszportem dyplomatycznym.

W 2006 r. ze szczytu trafił na dno, został zatrzymany przez ABW i aresztowany w związku z podejrzeniem m.in. o pranie brudnych pieniędzy. W areszcie spędził 10 miesięcy. Kiedy odzyskał wolność, jego detektywistyczny biznes był zrujnowany. Wyszedł jednak z opresji i choć wyrokiem z grudnia 2013 r. w sprawie karnej dotyczącej uczestnictwa w śląskiej mafii paliwowej skazano go na półtora roku pozbawienia wolności, dziś jego firma „Rutkowski” Biuro Detektywistyczne Security-Service sp. z o.o. wciąż jest na rynku.

Od osób, które śledzą działalność firmy Rutkowskiego, słyszymy, że dziś gros jego spraw to ściąganie drobnych długów i sprawy niewiernych małżonków.

Rutkowski: – To bzdury. Ludzie je opowiadają z zazdrości. Ja się konkurencji nie boję, bo ja nie mam konkurencji. Cały czas prowadzimy duże sprawy. Właśnie jadę do Świętochłowic na marsz ku pamięci zamordowanego Łukasza Porwoli- ka. Wyjaśnienie tej sprawy to w 70 proc. nasz udział.

– Dzięki medialnemu rozgłosowi wciąż wiele osób zwraca się do niego o pomoc, ale to głównie kobiety w średnim wieku myślące o rozwodzie – podtrzymuje swoją opinię nasz rozmówca.

JAK PAN I PANI SMITH?

Rozgłosu może być coraz więcej, bo – jak mówi Joanna Gepfert – państwo Rutkowsky mają większy potencjał promowania się w mediach i przyciągania zainteresowania kolorowych pism niż sam detektyw. – Jego małżonka też nie stroni od mediów, wie, co trzeba zrobić, żeby zaistnieć. Niektórzy widzą ją jako dziewczynę Bondy. Innym para przywodzi na myśl skojarzenia z postaciami pana i pani Smith. Duety zazwyczaj budzą większe emocje, są ciekawszym tematem dla kolorowych mediów. Dobrym przykładem są tu chociażby Małgorzata Rozenek i Radosław Majdan – zwraca uwagę Gepfert.

Kiedy Rutkowsky zdradzą wszystkie weselne sekrety, przyjdzie pewnie czas na opowieści o poślubnym weekendzie w Atenach. Świeżo upieczony małżonek nie wykluczył, że postarają się tam o kolejnego potomka. I mało prawdopodobne, żeby po powrocie nie zdali z tego relacji.



Piotr Gociek

„Mindhunter” jest w tej chwili najlepszym produktem Netflixa. Serialem dla dorosłych, serialem o rzeczach poważnych

Na skraju otchłani

Kiedy spoglądasz w otchłani, ona również patrzy na ciebie” – twierdził Fryderyk Nietzsche. Czym grozi balansowanie nad otchłanią, agent Holden Ford przekonał się w finale pierwszego sezonu serialu „Mindhunter”. Sezon drugi rozpoczyna się dokładnie w tym miejscu: młoda gwiazda FBI, pierwszy badacz seryjnych morderców, doznaje ciężkiego ataku paniki po spotkaniu z jednym z nich. Kiedy analizujesz otchłani – kontynuujemy, trawestując Nietzschego – również i ona może analizować ciebie.

W pierwszym sezonie serialu (oglądaliśmy go w roku 2017) widz wraz z raczkującym Biurem Spraw Behawioralnych FBI poznawał elementarzystów seryjnych morderców. Wywiady przeprowadzane przez Holdena Forda i jego partnera Billa Tencha pozwalały na odkrycie i usystematyzowanie kluczowych punktów na nieznanym terytorium. Mówimy o czasach, kiedy na ten temat nie wiadano prawie nic – głównie dlatego, że nikomu nie przyszło jeszcze do głowy, by takiej wiedzy w ogóle szukać. Nawet termin „seryjny zabójca” nie został jeszcze ukształtowany, choć oczywiście samych seryjnych zabójców nie brakowało. Zmiany na lepsze w rzeczywistości następowały

jeszcze wolniej, niż pokazuje to „Mindhunter”, którego akcja rozpoczynała się w roku 1977.

Sezon drugi przenosi nas do początku lat 80. Scenariusz sprytnie łączy kilka wątków, intrygująco rozbudowując mikroświat, który poznaliśmy w poprzednich odcinkach. Pionierzy nauk behawioralnych z FBI zdobywają uznanie przełożonych, większe fundusze i mogą wyprowadzić się z ciasnej piwnicy do większego biura, ale wykonywana praca kładzie się coraz większym cieniem na ich prywatnym życiu. Przyjrzyjmy się im kolejno.

POTWORY ŻĄDNE SŁAWY

Agent Holden Ford (Jonathan Groff) nie jest już nowicjuszem, zamienił się w nadmiernie pewnego siebie „proroka własnej wiary” – do tego stopnia wierzy w skuteczność nowej metody (profilowania), że odrzuca inne sugestie podpowiadane przez tradycyjne śledztwa. Agent Bill Tench (Holt McCallany) to wciąż w tym duecie ten bardziej opasany i ułożony (przełożeni

kazali mu nawet mieć oko na Forda), przywiązany do tradycyjnej policyjnej roboty i dużo lepiej rozumiejący wewnętrzne mechanizmy rządzące policją i FBI, a także polityką. Bostońska psycholog Wendy Carr (Anna Torv), która wybrała trudną drogę kariery w zdominowanym przez mężczyzn świecie Quantico, pragnie wyrwać się z biurowej. Przygotowywanie kwestionariuszy i naukowa analiza pozyskiwanych przez innych danych nie wyczerpują jej ambicji. Chciałaby sama włączyć się w wywiady ze schwytanymi mordercami, chciałaby pracować poza murami siedziby FBI.

W pierwszych odcinkach nowego sezonu (trzy z nich wyreżyserował współtworzący serię David Fincher) bohaterowie skupiają się na nierozwiązanej sprawie sprzed lat. Rodzina Otero (Wichita, stan Kansas) zginęła we własnym domu (ojciec, matka i dwoje dzieci). Nie był to napad rabunkowy, sprawca działał cierpliwie, metodycznie i zostawił ślady sugerujące, że jego działanie może się powtórzyć. I powtórzyło się: w listach wy-



★★★★★

„MINDHUNTER”, SEZON 2

USA 2019, WYST. JONATHAN GROFF, HOLT MCCALLANY, ANNA TORV, DYSTR. NETFLIX



Bill Tench to w ducie serialowych agentów ten bardziej opanowany i ułożony FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„Pewnego razu... w Hollywood”), ale był w stanie nakłonić swych wyznawców do słowności do wszystkiego. Nawet rozmowę z agentami FBI potrafi przekuć w element swojej legendy. Inny z przesłuchiwanego zbrodniarza to młody chłopak, który najpierw miał być ofiarą groźnego pedofila, a potem zamienił się w jego współnika i regularnie dostarczał mu „świeży towar”, obserwując potem, jak jego „opiekun” znęca się nad ofiarami. Te relacje to zupełnie nowy świat dla badaczy z nowego biura FBI.

Mamy i manipulacje po drugiej stronie. Nowy przełożony agentów Forda i Tencha oraz pani psycholog Carr widzi w działalności ich wydziału okazję do zabyśnięcia przed szefami, dla których z kolei głośne sprawy zakończone sukcesami są elementem politycznych rozgrywek. Jednocześnie nawet śledztwa w sprawach szokujących (nie tylko skął), takie jak łowy na mordercę dzieci z Atlanty, są wykorzystywane w lokalnych gierkach o władzę. Burmistrzowi miasta nie zależy na prawdzie, tylko na wizerunku Atlanty i nowych inwestycjach. Będzie więc manipulował dochodzeniem i zaangażowaniem FBI w sposób dla siebie dogodny.

GRZECH PYCHY

Tak dochodzimy do serii zbrodni, która napędza fabułę drugiej części drugiego sezonu „Mindhunter”. Do łowów na człowieka porwującego i zabijającego czarnoskóre dzieci w Atlancie. I do drugiego głównego tematu tego sezonu, którym jest pycha.

Pychą grzeszy agent Ford, któremu wydaje się, że pozjadał wszystkie rozumy, i który próbuje dopasowywać fakty do teorii, a nie tworzyć teorii na podstawie faktów. W pychę popada jego partner agent Tench, który jest przekonany, że da

radę połączyć wyczerpującą i wymagającą nieustannych wyjazdów pracę z troską o rodzinę. Pycha wpędzi psycholog Carr w kłopoty zawodowe i prywatne. Pycha będzie popychać także tropionych przez FBI morderców do ryzykownej gry z mediami i ze stróżami prawa.

Grzesząc pychą, często bywamy zaślepieni, a ludźmi zaślepienymi łatwiej manipulować, pycha wreszcie kroczy przed upadkiem. Bohaterów „Mindhunter” czeka czyściec – każdego jego własny. Nie wiem nawet, na ile nazwać ten serial kryminałem. Chociaż rzecz jest o krwawych zbrodniach, okrutnych mordercach i trudach dochodzeń, to przede wszystkim mamy do czynienia z opowieścią psychologiczną i obyczajową. Scenarzyści „Mindhunter” nie upraszczają świata. Sceny z Atlanty zahaczające o sprawy rasowe i polityczne są mistrzowskie i nie redukują konfliktów do prostych klisz. Warto podkreślić, że w odróżnieniu od wielu innych popkulturowych produkcji „Mindhunter” nie gloryfikuje seryjnych morderców i nie przedstawia ich jako obiektów godnych fascynacji. Nie ma wątpliwości: to potwory w ludzkiej skórze, przerażające drapieżniki, niebezpieczne, zepsute i złe.

KAŻDY MOŻE BYĆ MORDERCĄ

Jednocześnie wnioski z badania ich działalności, motywów, inspiracji są głęboko niepokojące. Bohaterowie „Mindhunter” gromadzą wiedzę, osiągają sukcesy w poszczególnych śledztwach, dokonują nowych istotnych ustaleń. A jednocześnie podstawowe pytanie, co właściwie zmienia osobę ekscentryczną czy lekko zaburzoną w psychopatę mordującego seryjnie, pozostaje bez odpowiedzi. Czy potencjalnym kandydatem na zbrodniarza jest każde dziecko, które zamyka się w sobie i moczy w nocy łóżko? To pytanie do agenta Tencha. Czy samotne życie i nadmierne oddanie pracy połączone ze szczególną pewnością siebie, z przeświadczeniem o własnej wyjątkowości jest drogą ku psychicznej zapaści? To pytanie do agenta Forda. Czy chroniczna niemożność ułożenia sobie osobistego życia i zawodowa ambicja to objawy czy przyczyny kłopotów? To pytanie do psycholog Carr: Czy potrafimy odróżnić narodziny dobra od narodzin zła? To pytanie do nas wszystkich.

Jako że poszukiwania odpowiedzi trwają, mamy gwarancję sukcesu kolejnych sezonów „Mindhunter”. David Fincher chciałby, by łącznie powstało ich pięć.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



August Zamoyski odkuwający rzeźbę w swojej paryskiej pracowni, w tle widoczny portret Serge'a Lifara, początek lat 30. XX w.

FOT. LIGIER PIOTR/MNW



Z Ewą Ziemińską, kuratorką wystawy „Zamoyski ocalony” rozmawia Tomasz Rowiński

Wyteśkniony etap polski Zamoyskiego

TOMASZ ROWIŃSKI: Kończąca się wraz z wakacjami wystawa rzeźb Augusta Zamoyskiego, prezentująca kolekcję zakupioną do zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie, nosi tytuł „Zamoyski ocalony”. Czy to znaczy, że był zapomniany, np. w PRL?

EWA ZIEMIŃSKA: Ten tytuł ma wiele znaczeń. Powstał w trakcie mojej rozmowy z Andrzejem Watem, polskim historykiem sztuki mieszkającym w Paryżu, który odegrał wielką rolę w ocaleniu spuścizny Augusta Zamoyskiego. Dzięki jego staraniom do zbiorów Muzeum Literatury w Warszawie trafiło archiwum artysty przekazane przez wdowę Hélène Peltier-Zamoyską.

W polskiej historii sztuki August Zamoyski zajmował zawsze ważne miejsce jako jeden z wybitnych polskich rzeźbiarzy XX w. Mimo to ze względu na rozproszenie jego dzieł po świecie – tworzył głównie we Francji i w Brazylii, a ze względu na arystokratyczne pochodzenie twórcy wystawy prezentujące twórczość Zamoyskiego w Polsce do lat 90. odbywały się sporadycznie.

Przełomowa była wystawa zorganizowana w 1993 r. w warszawskim Muzeum Narodowym przy udziale wdowy po artyście. Trzeba także przypomnieć, że dzieła Zamoyskiego znalazły się już przed wojną w zbiorach Muzeum Narodowego. Pierwszą rzeźbą, która została zakupiona, była „Ewa”. Dzisiaj stoi na dziedzińcu

przed wejściem głównym muzeum. Jest to granitowy akt pokazywany na biennale w Wenecji w 1936 r. i już w grudniu tego roku zakupiony bezpośrednio od artysty przez naszą instytucję. W latach 20. i 30. XX w. Zamoyski był znany w Polsce, a także we Francji, gdzie brał udział w wystawach i polskich, i międzynarodowych. Zdobył uznanie krytyki oraz publiczności. Po II wojnie światowej trafiło do zbiorów Muzeum Narodowego kilka kolejnych jego rzeźb i był to wynik nietypowej współpracy. Zamoyski zaraz po wybuchu wojny w 1939 r. przyjechał specjalnie do Polski, by ukryć swoje dzieła. Znajdowały się one wówczas w jego rodzinnym majątku w Jabłoni. Postanowił rzeźby kamienne zatopić w stawie. Pod koniec lat 40., kiedy Zamoyski mieszkał w Brazylii, dostał list od mieszkańców Jabłoni, że staw wysycha i rzeźby zaczynają wyłaniać się spod lustra wody – to musiało wyglądać niezwykle filmowo. Artysta zwrócił się wówczas do dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie Stanisława Lorentza z prośbą o pomoc w odzyskaniu rzeźb. W zamian zaoferował, że część wydobytych z wody dzieł odda warszawskiemu muzeum.

August Zamoyski, jak już powiedziałam, jest bardzo ważną postacią w historii polskiej rzeźby, dlatego wiele lat, z ogromną determinacją, my – historycy sztuki

i muzealnicy, zarówno z MNW, jak i Centrum Rzeźby w Orońsku oraz Muzeum Literatury w Warszawie – staraliśmy się, aby jego dzieła wróciły do Polski. Tym bardziej że niezależnie od tego, gdzie tworzył, zawsze to robił z myślą o ojczyźnie. Wielokrotnie dawał temu wyraz w listach i pamiętnikach. Pisał: „Wszystko, co wyrzeźbię, należy do państwa polskiego”, jest jego „własnością moralną, narodową”. Nie zostawił po sobie testamentu, ale pragnął, aby cała kolekcja znalazła miejsce właśnie w Muzeum Narodowym w Warszawie.

Co jest zatem niezwykłego w zakupionej w styczniu kolekcji?

Zakupiona kolekcja jest wyjątkowa nie tylko dlatego, że gromadzi wybitne rzeźby, lecz także dlatego, że jest reprezentatywna dla całej twórczości Zamoyskiego. W tym sensie można powiedzieć, że jest kompletna, choć oczywiście nie obejmuje wszystkich prac artysty.

Losy kolekcji odzwierciedlają burzliwą biografię jej twórcy. Wielokrotnie zmieniała miejsce w związku z licznymi podróżami i przeprowadzkami artysty. Z kolekcją łączą się także emocje samego Zamoyskiego, który troszczył się o zachowanie artystycznego dorobku. Niechętnie pozbywał się rzeźb, a kilka razy nawet odkupował sprzedane prace od właścicieli. W kolekcji są prace pochodzące ze wszystkich okresów jego twórczości – od tych najwcześniejszych, które tworzył jako młody chłopak w rodzinnej Jabłoni pod okiem wiejskich stolarzy i kowali, do rzeźb z ostatnich lat życia, w tym „Zmartwychwstania”, które przygotowywał na swój nagrobek w Saint-Clar-de-Rivière we Francji.

To dzieło zostało ukończone?

Tak, mamy w kolekcji studium przygotowawcze, mamy gipsowy model i powstał też odlew z brązu. Stał on na nagrobku artysty w Saint-Clar-de-Rivière, w miejscu, gdzie Zamoyski od połowy lat 50. miał swój dom, pracownię, a także ogród, w którym chciał zostać pochowany. Artysta zaplanował nie wielkie wzniesienie i tam umieszczona została rzeźba. Przedstawia ona ludzką postać powstającą z grobu, tworzącą łuk, tylko ręce i stopy opierają się na ziemi. Pod tym łukiem, jak pragnął artysta, miały przechodzić promienie słoneczne. Tak to też wyglądało aż do czasu przeniesienia grobu artysty na cmentarz miejski. To przeniesienie było konieczne, ponieważ

spadkobiercy postanowili kilka lat temu dom sprzedać.

Co czyni z Zamoyskiego wybitnego artystę?

Zamoyski szukał inspiracji w wielu kierunkach sztuki, ale zawsze próbował iść własną drogą. Był członkiem grupy Bunt, współtworzył ugrupowanie ekspresjonistów polskich, czyli formistów. Wieloletnia przyjaźń łączyła go z Witkacym. W dziełach Zamoyskiego widać inspirację kubizmem francuskim oraz ekspresjonizmem niemieckim. W Berlinie podczas swojego pobytu, także za sprawą swojej pierwszej żony, słynnej tancerki Rity Sacchetto, miał możliwość poznać bliżej twórczość artystów z tego ugrupowania. Kontakt z aktualną sztuką europejską pozwolił mu wypracować własny styl. Okres formizmu, charakterystyczny dla jego sztuki w pierwszej i drugiej dekadzie XX w., zakończył spektakularnie, niszcząc część swoich dzieł. Oczywiście gest ten, będący swoistym manifestem, wpisywał się w styl życia zakopiańskiej bohemy artystycznej, której Zamoyski był wówczas częścią.

Ku jakiej twórczości był to zwrot?

Po tym okresie Zamoyski zwrócił się ku rzeźbie klasycznej, a także spojrzął na nowo na twórczość Augusta Rodina i jego sposób widzenia aktu kobiecego. To był też czas, kiedy od 1924 r. Zamoyski na stałe zamieszkał w Paryżu, na Montparnasse miał pracownię. Kolejne zwroty w twórczości związane są dość wyraźnie z wydarzeniami w biografii rzeźbiarza i wyjazdem do Brazylii w 1940 r., gdzie przebywał do połowy lat 50. Tam dość szybko wszedł w środowisko artystów związanych z Akademią Sztuk Pięknych w São Paulo i Rio de Janeiro. Założył pracownię „kucia bezpośredniego” w kamieniu przy akademii. Pojawiły się także zamówienia, trzy rzeźby Zamoyskiego znajdują się do dziś w przestrzeni publicznej w Brazylii.

Jest choćby pomnik Chopina?

Tak, jest pomnik Fryderyka Chopina, ufundowany przez Polonię i ustawiony w piątą rocznicę wybuchu II wojny światowej na czerwonej plaży w Rio. W Belo Horizonte znajduje się akt kobiecy, a przed Muzeum Sztuki Nowoczesnej, w Rio de Janeiro, pomnik Assisa Chateaubrianda, potentata medialnego, który był fundatorem muzeum. Trzeba także po-

wiedzieć o ostatnim okresie w twórczości artysty, w którym dominuje filozofia chrześcijańska. Zamoyskiego zajmowały wtedy takie tematy jak zmartwychwstanie, wniebowstąpienie, niesienie krzyża czy krzyż ludzki. To są zresztą tytuły jego prac powstających od końca lat 50. do śmierci w roku 1970. Z tego okresu pochodzi pomnik kard. Adama Sapiehy, który znajduje się w Krakowie przed kościołem Franciszkanów, jego szczegóły Zamoyski uzgadniał z Karolem Wojtyłą.

Ta część twórczości była do dziś znana najslabiej. Dlaczego?

W Polsce najlepiej była znana twórczość Zamoyskiego z lat 20. i 30. i wiąże się to także z jego aktywnością wystawienniczą w naszym kraju. Dostęp do prac z okresu pobytu w Brazylii w znaczny sposób ograniczała odległość. Obecnie, gdy kolekcja Zamoyskiego znajduje się w Polsce, otwierają się przed nami nowe perspektywy badania jego twórczości. Wraz z rzeźbami został także zakupiony warsztat artysty, jego narzędzia. Dzięki nim mamy możliwość zapoznać się z procesem twórczym rzeźbiarza. W Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie znajduje się archiwum artysty – cenne dokumenty: korespondencja, fotografie archiwalne, taśmy filmowe, teksty i notatniki Zamoyskiego. 5 grudnia w Muzeum Literatury zostanie otwarta wystawa prezentująca część rzeźb z naszej kolekcji wraz z bogatym archiwum ze zbiorów tego muzeum.

W jak sposób Zamoyski pracował?

Zamoyski lubił pracować w twardych materiałach. Często sam wybierał w kamieniołomach materiał rzeźbiarski. Interesowały go bazalty, dioryty czy granity, niezwykle trudne w obróbkę kamienie. Zdawał sobie sprawę, że twarde skały narzucają formę rzeźbiarzowi, stawiają granice, których nie da się pokonać ani siłą, ani zręcznością. Był bardzo silnym mężczyzną, trenował swoje ciało, uprawiał wiele sportów, brał udział w zawodach, regularnie biegał. Znanych jest też kilka fotografii archiwalnych, gdzie z dumą prezentuje swoją umięśnioną nagą sylwetkę.

Uważał, że rzeźba jest zanurzona w kamieniu, a rzeźbiarz wydobywa ją ze skały.

Było to nawiązanie do renesansowych teorii i znamy dzieła Zamoyskiego, które świetnie pokazują tę ideę

■ w praktyce. W „Pochylonej” czy „Zanurzony”, rzeźbach mogących wydawać się nieukończonymi, mamy wrażenie wydobywania figury z kamienia, który miejscami jest jak gdyby nieobrobiony przez rzeźbiarza.

Czy jego techniką pracy kierowała jakaś idea?

Zamoyski był zwolennikiem teorii „kucia bezpośredniego”, czyli rzeźbienia bez przygotowawczego szkicu. Nie był tej teorii całkowicie wierny, jednak ważne było też dla niego samodzielne odkuwanie rzeźb, a nie była to wcale częsta praktyka, wówczas część prac za rzeźbiarzy wykonywali kamieniarze.

Zamoyski studiował filozofię w Heidelbergu. Swojej teorii poświęcił kilka tekstów, a także serię wykładów wygłoszonych w Polsce, kiedy pojawił się w kraju na kilka miesięcy w 1956 r. Korzystał przy tym nie tylko z założeń intelektualnych, lecz także z doświadczeń, które wyniósł z prowadzenia założonej przez siebie szkoły „kucia bezpośredniego” w São Paulo. W tym czasie prowadził rozmowy z Politechniką Warszawską, by tam stworzyć podobnego typu katedrę. Tych planów nie udało się zrealizować, ale wówczas Zamoyski zaproponował współpracę w formie stypendium dla młodych zdolnych rzeźbiarzy. Ci przyjeżdżali do niego do Francji na warsztaty. Jednym ze stypendystów był Józef Fuks.

Jak to się stało, że Zamoyski został artystą?

Zamoyski był arystokratą i decyzja o zostaniu artystą wcale nie była łatwa. Był też jedynym synem swojego ojca, który widział w nim dziedzica oraz przyszłego zarządcę majątku. Młody Zamoyski został wysłany na studia ekonomiczne do Fryburga – właśnie po to, by w przyszłości przejąć majątek. Ważną rolę – moim zdaniem – w podjęciu decyzji o wyborze drogi artystycznej odegrała wspomniana już Rita Sacchetto, pierwsza żona artysty, tancerka pochodzenia włosko-austriackiego, twórczyni szkoły tańca formistycznego w Zakopanem, sporo starsza od Augusta. Wspierała go, prowadziła albumy dokumentujące jego dzieła, wklejała recenzje prasowe. Z powodu ich małżeństwa stosunki Zamoyskiego z rodziną zostały zerwane. Relacje przywrócono dopiero po rozstaniu z Ritą i pojawieniu się w życiu Zamoyskiego Manety Radwan, śpiewaczki operowej o pochodzeniu arystokratycznym.



„Rhea, czyli w półmroku tego świata, Ziemia, Ceres” 1943–1944, Rio de Janeiro. FOT. PIOTR JAMSKI/MNW



„Ich dwoje V – Wzlot 1919” (rzeźba odkuta ok. 1927 r. w Paryżu) FOT. PIOTR JAMSKI/MNW

Jak to się stało, że kolekcja została zakupiona do zbiorów MNW?

August Zamoyski nie zostawił po sobie testamentu, ale pragnął, jak już wspominałam, aby cała kolekcja znalazła miejsce w Polsce, w Muzeum Narodowym w Warszawie. Na zlecenie Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego dokonano ekspertyzy stanu prawnego i fizycznego kolekcji zgromadzonej we Francji. Wskazywała ona na potrzebę pilnego uregulowania kwestii własności, aby zabezpieczyć kolekcję przed rozproszeniem oraz zapewnić jej właściwe warunki przechowywania, opieki i promocji twórczości rzeźbiarza.

Prezentowana w Muzeum Narodowym w Warszawie kolekcja została pozyskana z pocysterskiego opactwa w Sylvanès na południu Francji oraz z niewielkiego Muzeum Zamoyskiego, utworzonego opodal w Prieuré des Granges. Hélène Peltier, czwarta żona Augusta, przekazała całą spuściznę po mężu dominikaninowi, o. André Gouze-mu, który chciał w odrestaurowanym pocysterskim opactwie stworzyć centrum artystyczno-muzyczne i kierował Stowarzyszeniem Przyjaciół Opactwa w Sylvanès. Opactwo jest położone z dala od zabudowań mieszkalnych w Pirenejach, a do małego muzeum, znajdującego się w gęstych lasach, nie ma nawet utwardzonej drogi. Niezwykle odosobnienie tak wybitnych dzieł sztuki, ich ułożenie w trudno dostępnych przestrzeniach, u wielu osób budziło obawy o dalsze losy rzeźb.

Dzień 15 stycznia 2019 r., kiedy to w ambasadzie RP w Paryżu podpisano umowę na zakup całej kolekcji Augusta Zamoyskiego przez Muzeum Narodowe w Warszawie, uznać można za przełomową datę w dziejach twórczości artysty. Od tego dnia dla jego spuścizny zaczyna się – wyteśniony przez niego za życia – etap polski.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Ewa Ziemińska – historyk sztuki, absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego i Instytutu Badań Literackich PAN. Kuratorka wystaw i autorka katalogów im towarzyszących. Od 2003 r. pracuje w Muzeum Narodowym w Warszawie w departamencie rzeźby.



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

Nagroda dla twórców kultury
stojących na straży prawdy i umiłowania
wolności. Jej laureatem może zostać osoba,
której działalność wpisuje się w hasło:
„A jednak coś po nas zostanie”.

IV EDYCJA NAGRODY

Laureaci NAGRODY
poprzednich edycji:

III EDYCJA 2018
FRANCISZEK PIECZKA
(NA ZDJĘCIU)

II EDYCJA 2017
EWA BŁASZCZYK

I EDYCJA 2016
STANISŁAWA CELIŃSKA
JAN POLKOWSKI
ANTONINA KRZYSZTOŃ



NA ZGŁOSZENIA KANDYDATÓW CZEKAMY DO 30 WRZEŚNIA

SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

MECENASI KONCERTU:



PARTNERZY:



PATRONI MEDIALNI:





FOT. MATERIAL PHASONE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Almodóvar zdział maskę



★★★★★

**REŻ. PEDRO
ALMODÓVAR**
„BÓL I BLASK”
(„DOLOR
Y GLORIA”)
HISPANIA 2019

wyst. Antonio
Banderas,
Asier Etxeandía,
Penélope Cruz

Przekonanie, że znacznie ciekawszy od dzieła jest jego autor, szerzy się jak pożar na stepie. Ma to swoje konsekwencje: coraz więcej utworów literackich i filmowych przybiera formę (auto)biografii. Zwykle dosyć załganej.

Twórca „Drżącego ciała” był jednym z prekursorów i beneficjentów tego trendu. Ekshibicjonizm Hiszpana objawiał się jednak w dość specyficzny sposób. Prostota zawsze przegrywała u niego z efekciarstwem, autentyzm ze sztuczością. Jedynym zwierciadłem, w którym lubił się przeglądać Almodóvar, było wkłeso-wypukłe lustro z lunaparku. Nieźle się przy tym bawił, a publiczność, gdy oswoiła się z konwencją, bawiła się razem z nim. Skandalista i ekscentryk stał się gwiazdorem kina autorskiego.

Błażeńsko-kiczowata stylistyka z czasem zaczęła reżyserowi ciążyć. Wydoroślał czy po prostu zauważył, że krzykliwy postmodernizm wychodzi z mody? Rozwiązanie tej zagadki pozostawmy specjalistom. Przepustką do nowej epoki miało być kino gatunków, w którym Almodóvar – admirator filmowej klasyki – miał się czuć jak ryba w wodzie. Ten powrót do korzeni zakończył się jednak porażką. Hiszpan się miotał się – od thrillera („Skóra, w której żyję”) przez farsę („Przelotni kochankowie”) do melodramatu („Julietta”), by w końcu dostrzec – na przekór basującym mu krytykom – że znalazł się w ślepym zaułku.

Figura reżysera, pozbawionego weny, pojawiła się już „Złym wychowaniu”. Teraz demony powróciły ze zdwojoną mocą, bo Salvador – główny bohater „Bólu i blasku” –

jest znacznie starszy, a w dodatku schorowany. Ma problemy nawet z zawiązaniem sznurowadeł, lecz stracił wiarę w medycynę. Woli na własną rękę faszerować się antydepresantami i lekami przeciwbólowymi, niż znów stanąć przed obliczem lekarza.

Animacje, obrazujące dolegliwości Salvadora, są zabawne, lecz tym razem Almodóvar unika ekstrawaganckich szarży i obscenicznych dowcipów. Po raz kolejny składa hołd swojej matce – prostej kobiecie, która chciała, by został księdzem. Wątek Jacinty, rozbudowany ponad miarę, sprawia, że film chwilami traci rytm i tempo. Bardziej zajmujące jest rozliczenie bohatera „autofikcji” z przeszłością. Tą bliższą, gdy w szalonych latach 80. stał na czele madryckiej bandy utalentowanych hedonistów, i tą odległą, gdy jak grom z jasnego nieba spadła nań pierwsza homoerotyczna fascynacja.

„Ból i blask” to najbardziej szczerzy z filmów Almodóvara, lecz pod zdjętą maską nie ujrzemy jego twarzy, lecz kolejną maskę. Cień, jaki rzuca Banderas z plakatu, odczytuję jako sygnał, że dobiegający siedemdziesiątki reżyser z nałogu, którym jest dla niego kino, leczyc się nie zamierza. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „OPOWIEŚĆ O TRZECH SIOSTRACH”

Film z konkursu tegorocznego festiwalu w Berlinie, obsypyany nagrodami w Turcji, gdzie został wyprodukowany. Najnowsze dzieło reżysera i scenarzysty Emina Alpera, dotąd twórcy dwóch bardzo dobrze przyjętych filmów („Za wzgórzem” i „Blokada”). Turecka prowincja lat 80. XX w. Młode dziewczęta wysyłane są do miasta na

służbę do bogatszych rodzin. Uznane za nieprzydatne, odesłane (z różnych powodów) z powrotem do domu, muszą wspierać się, by przetrwać. ©© **Piotr Gocięk**

• „Opowieść o trzech siostrach”,
reż. Emin Alper, wyst. Cemre Ebuluzi,
Ece Yüksel, Helin Kandemir, Turcja 2018

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

• „Na zawsze razem”,
reż. Mikhaël Hers, Francja 2018

• „Grzeczni chłopcy”,
reż. Gene Stupnitsky, USA 2019

• „Złodziej i oszustka”,
reż. Matt Aselton, USA 2019

Na straży DNA

Walka o zaszczytny tytuł polskiej stolicy zbrodni nabiera rumieńców. Sandomierz odpięła wściekłe ataki Warszawy, czując na plecach gorący oddech Wrocławia. Wizerunek dolnośląskiej metropolii stara się uczynić jeszcze mroczniejszym Mariusz Gawryś. Trzeba przyznać, że reżyser wyciągnął wnioski z porażki, którą był przekombinowany dreszczowiec „Sługi boże”, i nawrócił się na prostotę. Najślabsze w „Sługach wojny” są tytuł, plakat i zwiastun (odwrotnie niż w produkcjach amerykańskich).

Zamiast charakterystycznego dla rodzimych kryminałów grzebania się w przeszłości dostajemy intrygę na wskroś nowoczesną, eksploatującą

modne tematy: bioterroryzm, handel organami, wyłudzenie „wrażliwych” danych. Są też akcenty feministyczne. Komisarz Samborski, „najlepszy pies w mieście”, dostaje wciry od damy w czerni, rozczarowuje jako kochanek. Poza tym od czasów „Ekstradycji” nad Wisłą niewiele się zmieniło:



★★★★★

REŻ. MARIUSZ GAWRYŚ
„SŁUGI WOJNY”
POLSKA 2019

wyst. Piotr Stramowski,
Maria Kania,
Paweł Królikowski

politycy nadal są głupi, a dziennikarze – sprzedajni. Na szczęście dostępu do naszego DNA bronią funkcjonariusze o rogatych duszach Kmiciców, dla których przepisy i procedury istnieją po to, by je łamać. W sumie jest nieźle, a gdyby pseudo-chandlerowskie odżywki zastąpić dialogami z prawdziwego zdarzenia, byłoby wręcz dobrze. Do trzech razy sztuka? ☹☹

Wiesław Chęłminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

O DZIECIAKU, KTÓRY LATAŁ

Grunt to rodzinka. Choć w filmie „Shazam!” ujrzyć prastarego czarnoksiężnika, ożywione grzechy główne oraz sporo tradycyjnych motywów z opowieści o superbohaterach (latanie, nadludzką siłę, kuloodporność etc.), to wszystko sprowadza się do rodziny. Mały Billy to trochę taki Harry Potter – otrzymał



★★★★★

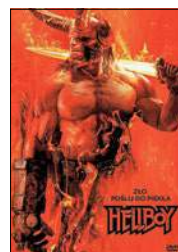
REŻ. DAVID F. SANDBERG
„SHAZAM!”
USA 2019,
DYSTR.
GALAPAGOS

wyst. Zachary Levi, Djimon Hounsou,
Michelle Borth

moc, utracił rodzinę, a teraz próbuje odnaleźć swoje miejsce w życiu (czytaj: nową rodzinę i nowych przyjaciół). Jego fantastyczne alter ego – Shazam – nie jest łatwe w prowadzeniu, bo nic nie jest łatwe, kiedy jest się tylko sierotą z Filadelfii. To film dla dzieciaków, ale z sercem, z ducha disneyowskim, choć nakręcony przez konkurencyjną wytwórnię. Jego rodzinne przesłanie najlepiej oddaje treść naklejki na zderzaku samochodu rodziny opiekującej się Billym: „Jestem rodzicem zastępczym – a ty jakie masz supermoce?”. Reszta przesłania: gdy okażesz dziecku miłość i cierpliwość, wychowasz dobrego człowieka, a jeśli chłód i pogardę, stworzysz potwora. Ciąg dalszy nastąpi.

CHŁOPAK Z PIEKŁA RODEM

Zamiast domknięcia trylogii po dwóch filmach Guillermo del Toro czerwony mruk z piekła rodem, czyli Hellboy, doczekał się kinowego restartu. Nie było warto. Del Toro znalazł sposób na przekucie komiksów Mike’a Mignoli w trochę surrealistyczne baśniowe opowieści w duchu Neila Gaimana. Były w tych filmach oryginalność, czarny humor i zachwycająca warstwa wizualna. Czyli wszystko to, czego nie ma w nowym filmie Neila Marshalla. „Hellboy” pod jego ręką zamienił się w absurdalnie dosłowny horror kategorii „B”, którego nie ratują nieliczne żarty. Poćwiartowana przed wiekami czarodziejka powraca do żywych i pragnie pomsty. Hellboy może ją zniszczyć lub się z nią sprzymierzyć. Ot, wszystko: fabuła rozspjuje się na krwawe epizody. Brak też pomysłu na relacje między bohaterami. Del Toro potrafił sprawić, że przejmowaliśmy się ich niedolą, oglądając nową wersję, wzruszamy ramionami. ☹☹



★★★★★

REŻ. NEIL MARSHALL
„HELLBOY”
USA 2019,
DYSTR. MONOLITH

wyst. David Harbour, Milla Jovovich,
Ian McShane

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „ANCESTORS LEGACY”

Słusznie narzeka się w środowisku polskich graczy, że niewiele jest na rynku produkcji, które były osadzone w realiach Europy Środkowo-Wschodniej. Ta sytuacja, na szczęście się zmienia. Gliwickie studio deweloper-skie stworzyło bowiem ciekawego RTS-a w starym stylu, wykorzystując

tego budowanie bazy i walkę małymi oddziałami, osadzonego w klimacie wczesnego średniowiecza. Dzięki temu, poza kampanią Anglosasów, wikingów i Germanów, możemy, tak jak Mieszko I, zjednoczyć plemiona Słowian albo zbudować potęgę państwa Piastów.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★

PS Grafika wypadła naprawdę przyzwoicie. ☹☹ **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** RTS
- **Platforma:** PC/PS4/XONE
- **Producent, dystrybutor:** Destructive Creations/Cenega
- **Klasyfikacja wiekowa PEGI:** 18+

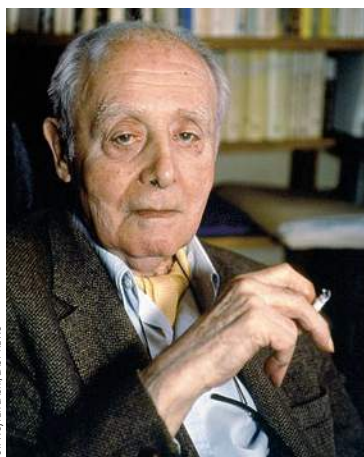
MOJA PÓŁKA

Kawalerzysta **potrzebny od zaraz**KRZYSZTOF
MAŚLÓN

Leż on w życiu napisał listów! Kolejną porcję korespondencji Jerzego Giedroycia zawiera nowy numer „Blok-Notesu”, rzadko i nieregularnie wydawanego przez Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza, tym razem powstałego we współpracy z Association Institut Littéraire „Kultura” w Maisons-Laffitte. Wśród tekstów pomieszczonych w blisko 50-stronicowym „tołstym żurnalu” znajdują się listy wymieniane przez redaktora „Kultury” z historykiem prof. Tadeuszem Manteufflem oraz z Marią Danilewicz-Zielińską (1907–2003), literaturoznawczynią, długoletnią kierowniczką Biblioteki Polskiej w Londynie, stale obecną na łamach „Kultury”.

W 1973 r., gdy po śmierci męża po raz drugi wyszła za mąż, wyprowadziła się na stałe z Anglii do Portugalii. Nie wpłynęło to na współpracę z Jerzym Giedroyciem, który – jak to miał w zwyczaju – obarczał ją przeróżnymi zadaniami, od najbardziej oczywistych próśb o recenzję przez zlecenie opracowania wielkiej trzypomowej bibliografii, obejmującej publikacje „Kultury”, „Zeszytów Historycznych” i działalność wydawniczą Instytutu Literackiego, do raczej karkołomnych próśb w rodzaju: „Czy zna pani kawalerzystę, który brał udział w walkach z Budionnym, trochę zna Rosję i potrafi pisać? Bardzo mi taki jest potrzebny”.

Nie brak w korespondencji tej ostrych sądów, po latach niewydających się sprawiedliwymi, za to ciekawymi – zawsze. Oto na początku 1971 r. w odpowiedzi na propozycję pani Marii, że napisałaby dla „Kultury” obszernie omówienie dwutomowej edycji pod redakcją Stanisława Lorentza „Walka o dobra kultury. Warszawa 1939–1945”, Giedroyc odpowiada: „Co do Lorentza, to nie biorę go do



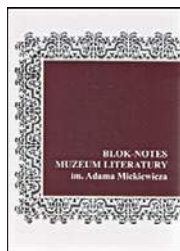
FOT. NOTECZKA/EST NEWS

ręki. Nie odmawiam mu różnych zasług, jego rola po bohaterskim okresie wojny i pierwszych lat powojennych wręcz ponura. No a teraz ta dywersja z zamkiem. Wątpię, by miała pani ochotę pisać głównie o cieniach. Więc może lepiej nie”. I w tym miejscu odwołać się trzeba do przypisu: „Giedroyc uważał, że decyzja o odbudowie ma charakter wyłącznie propagandowy, co kompromituje osoby działające w Obywatelskim Komitecie Odbudowy Zamku Królewskiego (w tym Stanisława Lorentza, który był wiceprzewodniczącym). Stanowisko »Kultury« sformułował Juliusz Mieroszewski (ps. Londyńczyk): »W Redakcji Kultury jesteśmy zdania, że Zamek Królewski w Warszawie winni odbudować ci, którzy wysadzili go w powietrze, tzn. Niemcy. Wsadzenie zamku nie miało nic wspólnego z operacjami wojskowymi, a czyn ten stanowi przykład barbarzyństwa i wandalizmu hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy« („Kultura” 1971, nr 3/282).

Maria Danilewicz-Zielińska, autorka wydanych w 1978 r. „Szkiców o literaturze emigracyjnej”, była osobą najlepiej zorientowaną w literaturze polskiej powstałej na wychodźstwie, a i trzymała rękę na pulsie tego, co ukazywało się dru-

kiem w kraju. Zwracają więc uwagę jej krytyczne sądy o „Wariacjach pocztowych” Kazimierza Brandysa czy poezji Jerzego Ficowskiego. Na emigracji też miała swoich faworytów i tych pisarzy, których z zasady nie zauważała. W 1974 r. wzięła udział w ankiecie Radia Wolna Europa „30 lat literatury na obczyźnie. Jaką pozycję wysuwam na pierwsze miejsce?”. W liście opowiedziała Giedroycowi o swoich wyborach: „... wysuwając »Inny świat«, w motywacji podając, że obok wartości artystycznych książka dotyczy problemów przemilczanych w kraju, a dzięki wspaniałym recenzjom przekładu angielskiego rozeszła się szeroko po świecie”. Względów artystycznych skłoniły ją następnie, jak pisała, do podania jeszcze następujących nazwisk autorów: „Miłosz, Wierzyński (»Sen mara«) – w tej kolejności, »Inner circle« Pietrkiewicza, żałując, że nie ma wersji polskiej, »Dziennik« Gombrowicza, prozę Andrzeja Bobkowskiego, »Katedrę sandwiczów« Straszewicza [...], »Smagłą swobodę« Pankowskiego, »Pierścień z papieru« Haupta, »Ofiarę« Zahorskiej i znów Herlinga »Wieżę«. Nie brakuje państwu kogoś? No. Oczywiście, że Józefa Mackiewicza. Ale tak sobie myślę, że choćby nawet Maria Danilewicz-Zielińska wyżej ceniła autora „Drogi donikąd”, to i tak w Wolnej Europie za rządów Jana Nowaka nie dałoby się wymienić jego nazwiska. Wygląda więc na to, że wiedziała, co robi.

Dodam jeszcze na koniec, że nowy numer „Blok-Notesu” z materiałów „Kultury” paryskiej przynosi jeszcze korespondencję Jerzego Andrzejewskiego do Zygmunta Hertza, a ponadto wiadomość, że wydawany przez Muzeum Literatury tytuł staje się periodykiem, ściślej – dwurocznikiem, skoncentrowanym na literaturze XX w. ©©



★★★★★

MARIA DANILEWICZ-ZIELIŃSKA, JERZY GIEDROYC, OPRACOWAŁA AGNIESZKA PAPIESKA „LISTY 1970–1975 (WYBÓR)”, „BLOK-NOTES” 16/2019 MUZEUM LITERATURY IM. ADAMA MICKIEWICZA 2019



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Gabo Márquez w labiryncie

Margot García Márquez, najstarsza siostra pisarza, którą uwiecznił potem w „Stu latach samotności” jako Amarantę, mówi: „Był kłamczuchem od urodzenia”. „Gabo chce uchodzić za wielkiego znawcę polityki, ale tak naprawdę nic o niej nie wie” – mówi Guillermo Angulo, fotograf i przyjaciel pisarza. Ta pierwsza wypowiedź pochodzi z części poświęconej dzieciństwu i rodzinie Gabriela Garcíi Márqueza, ta druga z rozdziału „Sny o potędze”, w którym pisarz „jada posiłki z dyktatorami i prezydentami”.

Silvana Paternostro zamierzała początkowo napisać tekst na dwie, trzy strony do popularnego magazynu zamieszczającego krótkie historie o znanych ludziach. Zanim skończyła zbierać materiały, pismo zamknięto. Tymczasem szuflada z nagraniami i zapiskami rosła wraz z liczbą przeprowadzonych rozmów i podjętych przez dziennikarkę podróży. Ostatecznie po ponad dekadzie pracy urodziła się książka. „Mówiona biografia” Gabriela Garcíi Márqueza.

Jest to praca trochę łobuzerska, trochę plotkarska, której narratorzy, choć przepelnieni zachwytem nad dokonaniem noblisty, są jednocześnie skarbnicą niepo-

prawnych politycznie i obyczajowo anegdot. Ładnie we wstępie ujmuje to autorka, podkreślając, że w jej książce autor „Miłości w czasach zarazy” pojawia się „bez autocenzury ze swoich wspomnień oraz bez brzemienia ponad siedmiuset stron doskonałych biografii Dassa Saldívar i Geralda Martina”. (Dla zainteresowanych: obie ukazały się także po polsku, pierwsza w roku 2001, druga w roku 2009).

Czyta się te gawędy kapitalnie, można po kolei, można na wrywki. Są tu opisy skandali (jak słynny prawy prosty, którym Mario Vargas Llosa podbił oko Márquezowi – uwaga, jest foto!), są pierwowzory bohaterów książek pisarza, jest dużo o jego rozterkach, nadziejach i rozczarowaniach. Mamy i trop polski – cudną historię audycji Márqueza u papieża Jana Pawła II. A także spór o Márqueza i rzucany przez niego cień, bo wśród rozmówców pani Paternostro są i tacy, którzy uważają,



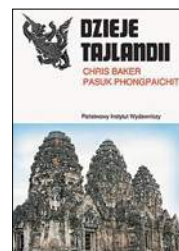
★★★★★

SILVANA
PATERNOSTRO
„SAMOTNOŚĆ
I SPÓŁKA”
VIS-À-VIS ETIUDA
2019

że jego magiczne opowieści z nadto ciężą na dzisiejszym wizerunku Ameryki Łacińskiej, że zamazują prawdziwy obraz. I że zbyt wielu utalentowanych ludzi zamiast pisać z serca, próbowało w ostatnich dekadach „pisać Márquezem”. Z drugiej strony: Czyż naśladownictwo nie jest najwyższą formą uznania? ©

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Pierwsza taka praca po polsku, a była potrzebna. Świetne wprowadzenie w temat autorstwa profesora uniwersytetu w Cambridge i jego kolegi po fachu z Bangkoku. Plus nowe posłowie (2018), specjalnie do wydania polskiego.



CHRIS BAKER,
PASUK
PHONGPAICHT
„DZIEJE
TAJLANDII”
PIW

Ciąg dalszy przygód Pieta Hoffmana, bohatera powieści „Trzy sekundy”. Dawny tajny agent duńskiej policji teraz pracuje jako cyngiel dla kolumbijskiego kartelu. Nikt nie wie, że w rzeczywistości dla DEA.



ANDERS ROSLUND,
BÖRGE HELLSTRÖM
„TRZY MINUTY”
ALBATROS

Mądra powieść fantastyczna, która wyprzedziła swój czas. Rzecz o przerażających kosztach podboju kosmosu i spotkania z Nieznanym, zarazem pytanie o granice człowieczeństwa i poświęcenia.



ALGIS BUDRYS
„TEN CHOLERNY
KSIĘŻYC”
ZYSK I S-KA

Nie każdy musi się znać, nie każdy zorganizuje Live Aid. Sposobów zaangażowania się jest mnóstwo – podpowiada autor, psycholog i filantrop, walczący o lepszą pomoc dla głodujących krajów globalnego Południa. ©



TOMASZ
TRZCIŃSKI
„ZAPOMNIANY
ŚWIAT”
LEADERHEART
PUBLISHING

poleca Piotr Gociek

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Christel Petitcollin „Jak mniej myśleć”** (Wydawnictwo Feeria) – „Dla analizujących bez końca i wysoko wrażliwych” – głosi podtytuł poradnika.
2. **Guillaume Musso „Zjazd absolwentów”** (Albatros) – francuski spec od krzyżowania powieści obyczajowych z kryminałem powraca.
3. **Agnieszka Stężyka-Gawrysiak „Self-Reg”** (Znak) – „Opowieści dla dzieci o tym, jak działać, gdy emocje biorą górę; niezbędny rodzicom przedszkolaka.
4. **Walter Isaacson „Leonardo da Vinci”** (Insignis) – autor biografii Jobsa oraz Einsteina przedstawia obszerną (800 stron) opowieść o włoskim geniuszu.
5. **Julia Boyd „Wakacje w Trzeciej Rzeszy”** (Prószyński i S-ka) – narodziny faszyzmu oczami zwykłych ludzi, czyli życie codzienne Niemiec roku 1938.

(Bestsellery Bonito.pl, z wyłączeniem podręczników)



Wadada znaczy pokój

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Zespół Wadada to bardzo gościnne miejsce. Wyliczanie osób, które od momentu założenia grupy w 1996 r. przewinęły się przez niego, dołączając do składu na dłużej bądź na chwilę, trzeba zostawić na inną okazję, kiedy być może na pisanie o Wadadzie będzie nieco więcej miejsca. Wspomnę jedynie, że

nie byli to wyłącznie Polacy, zespół przez jakiś czas zasilali Gruzini, którzy wprowadzili do niego nieco gruzińskich wpływów. Wadada to nie tylko miejsce gościnne, lecz także pełne luzu. Liczba przerw, zawieszania działalności dorównuje chyba liczbie roszad w składzie. Kiedy są ochota, możliwości i czas – Wadada

gra. Kiedy coś staje na przeszkodzie – robi przerwę. Bez napięcia. Nic na siłę.

Takie podejście pasuje do muzyki, którą robi Wadada. To twórczość inspirowana tradycyjnymi brzmieniami Afryki Zachodniej, Kuby, Jamajki, Brazylii, Gruzji, Azji, Australii, Bliskiego Wschodu. Grupa łączy bębny (to one są

tu najważniejsze!) z gitarą, instrumentami klawiszowymi, z elektronicznymi efektami. Zespół nie tylko koncertuje, ale promuje grę na bębnach, organizując warsztaty, a nawet szkołę gry na etnicznych bębnach. Swego czasu ściągnęli do Polski na warsztaty światowej sławy perkuszystę Nippi Noyę.

Wadadę przed 23 laty założył Dominik Muszyński – muzyk promujący kulturę etno, grający na instrumentach perkusyjnych, zwłaszcza na bębnach. Nazwę zespół zapożyczył sobie z języka amharskiego (język urzędowy w Etiopii). Wadada – jak czytamy na stronie facebookowej zespołu – oznacza pokój i miłość. W aktualnym składzie oprócz założyciela zespołu są jeszcze: Angela Gaber, Sylwia Lasok, Artur Hulinka, Kuba Ratowski, Marcin Kipisz. Ostatnią płytę – „Wolna 7” – wydali w ubiegłym roku. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ
BRZOSOWICZ

NA SŁUCH

Zamiast Susanny i Martyniuka

Zniesmaczonych letnią, telewizyjną ofertą muzyczną zapewniam, że świat o tej porze roku gra pięknie i niebanalnie. Trzeba tylko poszperać.

Marcos Valle, 76-letni Brazylijczyk, był gwiazdą luksusowych kurortów w latach 70. Nie tylko szalały za nim damy, lecz także zachwycali się jego płytami recenzenci. Mało kto bowiem w tak wyrafinowany sposób łączył sambę, Rio funk i kalifornijski pop. Marcos miał i ma styl, a album „Zawsze” udowadnia, że w plażowych melodiach wciąż nie ma sobie równych.

Stare płyty Brazylijczyka wciąż inspirowały acidjazzmanów.

Najnowsza, nagrana po dziewięcioletniej przerwie, zniewala wysmakowanymi aranżacjami opartymi na analogowych syntezatorach, elektrycznym fortepianie Fender Rhodes i kołyszącym boogie granym przez sekcję dętą. Czarujący, wciąż młodzieńczy głos Marcosa doskonale współgra z dyskotekowymi gitarami à la zespół Chic i pluskającym basem. W tej muzyce, wręcz magnetycznej przyciągającej do parkietu, jest wszystko poza banałem. Dzięki temu wspólnie zawierują: i dziewczę z solarki, i korporacyjny hipster, i inteligent z PAN. Marcos Valle zawsze i wszędzie! ©©



★★★★★
MARCOS VALLE
„SEMPRE”
FAR OUT



★★★★★
YES
„50 LIVE”
RHINO

Ikona progresywnego rocka świętuje na koncercie w Filadelfii 50-lecie istnienia. Lideruje gitarzysta Steve Howe, a na klawiszach gra gościnnie Tony Kaye, jedyny członek założyciel. Dla fanów n-ty raz wspaniale, dla przeciwników n-ta nuda.



★★★★★
SLIPKNOT
„WE ARE NOT YOUR KIND”
ROADRUNNER

Dziewiątka panów w maskach powraca z ponadgodzinnym niezłym praniem metalowych mózgów. Melodyjne refreny, wywołujące dreszcze chóry, gitarowa nawałnica, wokalista charczy zawodowo, więc nie ma przebaczyć. Obeszwałniająco. ©©



Nie chowa emocji

Bernadetta Trusewicz/FDB.pl



Uczciwy i z głębi serca

The Guardian



Urzekający i delikatny

Variety



Vincent LACOSTE

Isaure MULTRIER

Stacy MARTIN

NA ZAWSZE RAZEM

W KINACH



Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kresywna Europa”



STOPKŁATKA

WIPROST

sen

wprost

leczni

KropkaTV

LAMIE

P

AKTIVIST

Wiedza i

PLAN 2 KULTURY

KOBIETA · PL

Platform Channel

Wiedza i

eprasa.pl 75bbf46b0c



ks. Przemysław Artemiuk

Jeśli w postmodernizmie nastąpił powrót religii, to trzeba zrozumieć, o jaką religię tu chodzi. I jak totalitarny jest postmodernizm

Czy postmodernizm, mający już za sobą okres świetności, może coś jeszcze zaproponować chrześcijaństwu? Czytając w najnowszej „Więzi” (2/2019) tekst Damiana Mrugałskiego OP oraz przeprowadzony przez niego wywiad z Gannim Vattimo, jednym z czołowych filozofów ponowoczesności, można odnieść wrażenie, że tak. Ja jednak nie mogę pozbyć się wątpliwości. Nie

zyki. Nieobca jest mu także idea „śmierci Boga”, przez którą rozumie upadek Boga metafizyki. Przyznając się do chrześcijaństwa, włoski filozof proponuje jego własną interpretację. Przyglądając się wybranym koncepcjom Vattimo, należy nie tyle widzieć w nich pomost łączący myśl ponowoczesną z chrześcijaństwem, ile raczej wyzwanie. Postuluje, aby wobec postmodernistycz-

nych idei przyjąć postawę krytyczną i dokonać zdecydowanej apologii. Aby uchwycić istotę koncepcji Vattimo, dobrze jest przypomnieć podstawowe fakty dotyczące postmodernizmu.

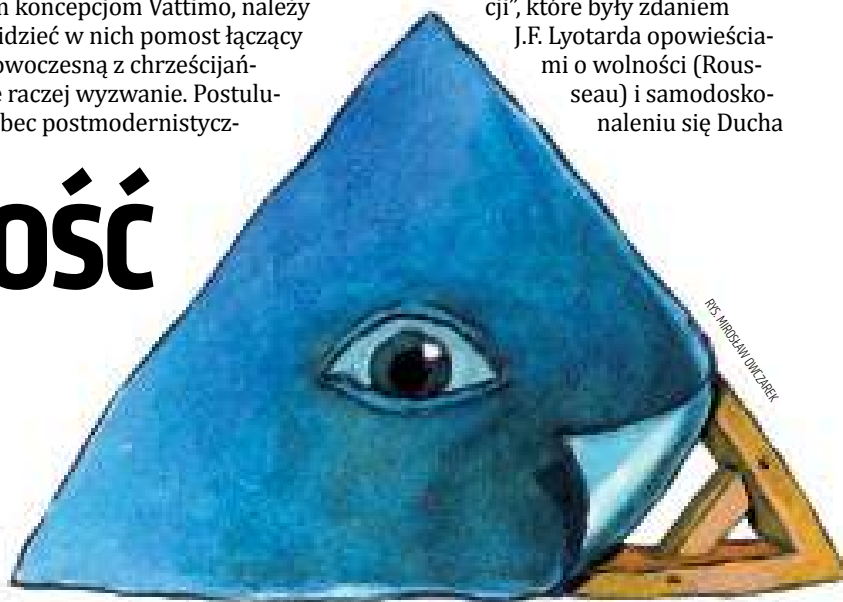
W OPTYCE PONOWOCZESNOŚCI

Postmodernizm narodził się jako reakcja na oświeceniową ideę postępu i Kantowski „rozum” uprawomocniający ów „postęp”. Upadek zrodzonych w oświeceniu i czasach pooświeceniowych „wielkich narracji”, które były zdaniem J.F. Lyotarda opowieściami o wolności (Rousseau) i samodoskonaleniu się Ducha

Zwodniczość

przekonują mnie odpowiedzi Vattimo. Włoski filozof nie wie, gdzie jest Bóg, ani jaki jest, a równocześnie wyznaje wiarę w Kościół, który za chwilę krytykuje. Problemem jest dla niego hierarchia kościelna, metafizyka, a także powrót apologetycznej wrażliwości. Wprawdzie Vattimo deklaruje, że jest do szpiku kości katolikiem, który uznaje objawienie, ale ja dostrzegam w jego wyznaniu przede wszystkim selektywność i relatywizację. Włoski filozof, doskonale rozpoznający meandry filozoficznego myślenia, nie szuka istoty chrześcijaństwa, ale przez pryzmat własnych koncepcji filtruje je, wybierając interesujące go motywy.

Vattimo zachłyśnięty Nietzschem i Heideggerem, niezmiennie pozostaje wierny swoim mistrzom. Z ich filozofii wprowadza koncepcję „myśli słabej” (il pensiero debole), która stoi w opozycji do tradycyjnej i mocnej metafiz-



(Hegel), sprawił, że nauka, do tej pory służąca tym ideom, doznała wyzwolenia. Kresem metanarracji stały się ostatecznie takie wydarzenia, jak: demitologizacja nowożytnego mitu postępu, gwałtowny rozwój ekonomii bez etyki i ekologii, masowe bezrobocie, wyścig zbrojeń, a także dynamiczny rozwój techniczny. Przyniosło to równocześnie koniec wiary w jedną prawdę i równocześnie w prawdę jako taką.

Patrząc z dzisiejszej perspektywy, postmodernizm – zdaniem A. Bronka – jawi się jako nurt „negacji, podejrzania, demaskowania, demitologizowania, kwestionowania i destrukcji. Wyrazem postawy negatywnej są wypowiediane – przy wyraźnym powoływaniu się na

dernistyczni, dostrzegając to zjawisko, pod koniec XX w. ogłosili „powrót religii”. Doceniając ten zwrot w obrębie postmodernizmu, abp J. Życiński zauważył, że oto staliśmy się świadkami „głębokich przekształceń w nurcie, który w swym początkowym rozwoju odrzucał tradycję zarówno chrześcijańską, jak i oświeceniową, deklarując koniec metafizyki towarzyszący wejściu w postmodernę – radykalnie nowy etap kulturowego rozwoju”. Czy jednak takie stwierdzenia nie brzmią nazbyt optymistycznie? O jaki powrót religii tutaj chodzi? J. Sochoń zauważa, iż „kultura postmodernistyczna, choć często deklaruje ateistyczne nastawienie, [w gruncie rzeczy] ujawnia swoisty żal po utracie Boga, [dlatego]

unikanie jak ognia wypowiedzi w miarę jednoznacznych oraz ciągła gra metafor, tak charakterystyczne dla hermeneutyki ponowoczesnej, wywołują wrażenie, że taki rodzaj interpretacji jest jak najbardziej słuszny i twórczy dla samego objawienia. Czytając teksty Vattimo, ulegamy sugestii, że oto „myśl słaba” daje nowe, a co za tym idzie niezwykle aktualne wyjaśnienia, odkrywa prawdę, która jest zawarta w Ewangeliach od początku, a tylko Kościół przez wieki, dokonując zafałszowania, wprowadził ją na tory metafizyki, myślenia mocnego, które zrodziło autorytaryzm i fundamentalizm. Zdaniem turyńskiego filozofa to właśnie hermeneutyka nihilistyczna stanowi rozwinięcie i dojrzłą postać chrześcijańskiego przesłania. Ontologia nihilistyczna, którą rozwija włoski filozof, mając swoje źródło w filozofii Nietzschego, Heideggera i Gadamera, dziedziczy pojęcia i koncepcje tam wypracowane i nie da się jej obiektywnie pogodzić z chrześcijańskim objawieniem. Wprawdzie u Vattimo religia powraca, ale jest to powrót, który zdecydowanie przeciwstawia transcendencji immanencję, mocy i władzy – słabość, a kultowi Boga – moralność i miłość. Jeśli religia nie może i nie powinna szukać jakiejś pozaświatowej podstawy, fundamentu i ma ograniczać się jedynie do doświadczenia stworzonej, czyli skończoności, to tym samym filozof zamyka horyzont refleksji nad religią, pozbawia go wymiaru transcendentalnego. Vattimo wyraźnie dokonuje adaptacji wybranych motywów chrześcijańskich, które doskonale wpisują się w jego koncepcję, niewiele jednak mają wspólnego z rzeczywistą obecnością i znaczeniem w obrębie samego chrześcijaństwa. Kluczowy termin „kenoza”, pochodzący z Listu do Filipian (2,5–11), jest według włoskiego filozofa znakiem, że celem pozbawionego przemocy, nieabsolutnego Boga staje się samoosłabienie. W rzeczywistości jednak biblijny tekst, który mówi o uniżeniu i wywyższeniu Chrystusa, nie ma nic wspólnego z taką interpretacją. Spoglądając bowiem całościowo na chrystologię nowotestamentalną, do której przynależy ten wczesnochrześcijański hymn, odkrywamy w nim wiarę pierwotnego Kościoła w Jezusa jako Boga, który stając się człowiekiem, przyjął postać sługi, a dokonując zbawienia, w duchu posłuszeństwa, przeszedł mękę. Jednak Bóg wskrzesił Go i posadził po swojej prawicy. Nie mamy tutaj do czynienia z żadną nihilistyczną koncepcją, ale z głęboką chrystologią, będącą wyraźnym świadectwem

postmodernizmu

F. Nietzschego – hasła końca i śmierci podstawowych wartości kultury zachodniej: Boga i religii, człowieka i humanizmu, filozofii, zwłaszcza metafizyki, racjonalności, prawdy i pewności oraz podkreślenie potrzeby przewyciężenia tradycyjnych rozróżnień, podziałów i hierarchii, standardów i dotychczas uznawanych autorytetów (religii, rozumu i nauki)”. I chociaż jest zjawiskiem wielorakim, to tak różnych myślicieli jak Lyotard, Derrida, Deleuze, Bauman czy Rorty łączy z pewnością wrogość wobec metafizyki i wszelkich fundamentów, mocnego myślenia oraz pochwała pluralizmu i różnicy.

Postmodernizm swoją krytyką i nowatorskimi ideami dotyka także religii i zmusza teologię do reakcji. Wykazując zainteresowanie kwestiami wiary, niemalże prowokując, domaga się odpowiedzi.

Zdaniem T. Eagletona ponowoczesność to epoka, „w której religia ponownie się upubliczniła”, przybierając rozmaite formy. Sami zaś myśliciele postmo-

wciąż pozostaje w obrębie sakralnego promieniowania”.

INTERPRETACYJNE MANOWCE

Przechodząc do koncepcji Vattimo, należy podkreślić, że włoski filozof przypisuje religii szczególną rolę, widzi jej potrzebę i dlatego tworzy własną koncepcję religijności, pozostającą w zgodzie z duchem „słabego” myślenia. Centralnym punktem swego stanowiska czyni pojęcie „kenosis” (uniżenie). Rozumie je jako akt ograniczenia, odsunięcia się, umierania. To odsuwający się Bóg wstępuje w Syna, tzn. w Logos, język. W ten sposób zstępuje do ludzi, w historię. Zatem akt kenozy jest szczególną postacią nihilizmu oraz okazuje się znakiem skrywania/objawiania nieobecnego Boga, staje się tym samym szansą dla kreatywnej odpowiedzi człowieka. Doświadcza on teraz prawdy nie jako adekwacji: jest tak a tak, lecz jako wieści, wydarzenia, które – za sprawą interpretacji – mają moc przemieniania życia. Bóg jako ślad czy jako ślad śladu zwraca się do człowieka poprzez dialogiczną miłość. Bóg samowyczerpuje się dla człowieka w imię miłości. Czy jednak takie rozumienie kenotyczności wydarzenia Wcielenia, a co za tym idzie – samego objawienia Boga w Jezusie Chrystusie – jest zgodne z kanonami teologicznymi?

Poddając krytyce tę koncepcję, należy zauważyć, że metoda dekonstrukcji,



■ wiary pierwszych chrześcijan w boskość Jezusa. Czy zatem możliwe jest pogodzenie postmodernizmu i chrześcijaństwa?

UŁUDA POSTMODERNISTYCZNEJ WIZJI RELIGII

Agnieszka Kołakowska uważa, że nie. Zdaniem eseistki postmodernizm „nie jest tylko teorią, stosowaną w jakiejś specyficznej dziedzinie wiedzy; jest doktryną – to znaczy zbiorem przekonań – i podejściem do świata”. Cóż to oznacza? Według intelektualistki próba pogodzenia postmodernizmu z chrześcijaństwem i stworzenie tworu o nazwie religii postmodernistycznej jest niemożliwe. Po pierwsze, dlatego że pojęcie religii musi zawierać pojęcie wiary – wiary w coś. „A wiara w coś – zauważa Kołakowska – zakłada przekonanie, że to coś jest prawdą. [...] Postmodernista jednak twierdzi nie tylko, że w żadną prawdę nie wierzy, lecz także, że żadna prawda nie istnieje. [...] Religia postmodernistyczna jest zatem z definicji niemożliwa. Dla postmodernisty religia jest jednym z dwojga: albo czymś, przeciwko czemu postmodernizm z definicji musi walczyć, ponieważ to coś opiera się na pojęciu prawdy i na autorytecie [...]; albo po prostu kolejnym »językiem«, jednym głosem w »pluralizmie głosów«, który należy traktować jak każdy inny. Wtedy religia, pozbawiona pojęcia prawdy, przestaje być religią”.

Po drugie, postmodernizm, będąc systemem przekonań, a nie jedynie teorią, dotyczy wszystkich dziedzin wiedzy. Stosowanie go do religii jest zatem stosowaniem jednego systemu do drugiego. „Jest to zajęcie tak samo osobliwe, niekoherentne i bezużyteczne, jak stosowanie do religii ateizmu. Jedyny – i jedyny możliwy – wynik próby zastosowania postmodernizmu do religii jest taki, że jeden system – ten, który się stosuje, w tym wypadku postmodernizm – połyka drugi. Zostaje nie postmodernistyczna religia, tylko po prostu postmodernizm”.

Po trzecie, postmodernizm „jest systemem przekonań o dość specyficznej i dogmatycznej treści, a także (będąc teorią zarazem opisującą i normatywną) o specyficznych społecznych i politycznych celach, polegających właśnie na podważeniu wszystkich innych systemów przekonań, w tym religii. Religia postmodernistyczna byłaby religią antyreligijną”.

Po czwarte, podstawowa różnica między postmodernizmem a chrześcijaństwem polega na tym, że „podczas

gdy w chrześcijaństwie prawda jest objawiona, w postmodernizmie prawda (oczywiście nie »prawda obiektywna«, której nie ma, lecz każda indywidualna prawda: to, co jest prawdą »dla mnie«) nie jest objawiona ani w żaden sposób ujawniona: przeciwnie, to ja ją stwarzam i jestem jej źródłem”.

Po piąte, postmodernizm – podkreśla eseista – „czyta religię tak, jak czyta wszystko inne: tzn. interpretuje według swojej teorii, dekonstruuje, podważa, unicestwia i obala”. Przy czym słowo „czytać” należy w kontekście dobrze rozumieć. W postmodernizmie każdy tekst – i w tym Biblię – należy „traktować jak zjawisko, wydarzenie czy osobę i zinterpretować w całości i w kontekście: winniśmy wiedzieć, czym jest ten tekst – jakiego rodzaju społeczno-ideologicznym zjawiskiem. Tylko ustaliwszy to, możemy zapytać, co on znaczy. A znaczy on, z konieczności, co kto chce, inaczej bowiem, narzucając mu znaczenie, narzucałoby się własną interpretację innym. Biblia jest jednym tekstem pośród wielu. Postmodernizm może uznać

Postmodernizm jest doktryną niezwykle dogmatyczną.

Nie cierpi sprzeciwu i każdy jego przejaw zwalcza z niezwykle agresją

religię za dozwoloną lub nawet pożyteczną tylko wtedy, jeśli jest rozwodniona do tego stopnia, że nic z niej nie zostaje – trochę jak lekarstwo homeopatyczne. Woda jednak, mówią naukowcy, nie ma pamięci; dlatego homeopatyczne lekarstwa nie mogą działać. Postmodernistyczna religia też nie ma pamięci w tym sensie ani w żadnym innym”.

Dlatego postmodernizm, jak podkreśla Kołakowska, może traktować religię „jako rzecz pożyteczną w tej mierze, w jakiej widzi w niej po prostu rodzaj siły moralnej: może traktować ją jako sposób integrowania społeczeństwa i tworzenia więzi”. Niezależnie jednak od tego rodzaju utylitaryzmu cechą podstawową postmodernizmu, zdaniem eseistki, „nieodłączną częścią jego natury, widoczną w każdym jego przejawie jest totalizm. Poszczególne jego znamiona, o których mowa powyżej, są tylko pochodnymi czy też przejawami tej głównej cechy.

Postmodernizm, tak jak marksizm, chce objąć wszystko i wszystkim zawładnąć: rozumem, duszą i światem. Głosi tolerancję, lecz hasło to – podobnie jak inne jego hasła: że nie ma prawdy obiektywnej, że wszystkie poglądy są równe, i cała reszta – jest w najwyższym stopniu obłudne. Postmodernizm jest bowiem doktryną niezwykle dogmatyczną. Nie cierpi sprzeciwu i każdy jego przejaw zwalcza z niezwykle agresją. Jest głęboko antytolerancyjny i antyhumanistyczny. Na dodatek przedstawia siebie jako jedyne źródło prawdy – i prawdziwej wolności. Innymi słowy, jest rodzajem doktryny totalitarnej”.

Czy zatem rzeczywiście myśl postmodernistyczna jest zainteresowana chrześcijaństwem, a głośno ogłaszany przez filozofów tego nurtu „powrót religii” stał się faktem? Zdaniem J. Sochonia postmoderniści „zapropowowali eklektyczną wizję religii, będącą wynikiem założeń filozoficznych. Przybrała ona charakter »tytaniczny«, czyli taki, w którym nadludzki podmiot buduje sobie własnego boga i gnostycznie nadaje mu dogmatyczny kształt i moralną treść. Bóg osoba europejskiej tradycji został zastąpiony »Bogiem niskiego lotu« wykreowanym przez medialną kulturę i »wewnętrznie ludzkie królestwo niebieskie«. Stąd boskość człowieka może zrównywać się z rozmaicie pojmowanym wewnętrznym »Ja«. Ta boskość pozostaje wrodzoną cechą natury ludzkiej, zdeformowaną w projekcie postmodernistycznym, a więc wymagającą »transformacji świadomości« w celu powrotu do źródłowej doskonałości. Stąd jedynym źródłem prawdy jest »wewnętrzny głos«. Religia staje się przestrzenią duchowej dowolności i moralnego presjonizmu”.

Wobec takich propozycji, stwierdza J. Sochoń, chrześcijaństwo musi nieustannie pamiętać, że „religia objawiona po prostu przynosi ocalenie, zaprasza do wysiłku zasługiwania na zbawienie. Stanowczość tego zdania nie oznacza zaprzestania trudu poszukiwania. Wciąż bowiem jesteśmy w drodze. Nie jest to szlak biegnący przez pustynię, ale przez ziemię stworzoną przez Boga, który nigdy nie zapomina o swoim stworzeniu”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

ks. dr hab. Przemysław Artemiuk – teolog fundamentalny, adiunkt w Katedrze Teologii Fundamentalnej i Prakseologii Apologetycznej UKSW.

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LIŚCICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA



**TYGODNIK
„DO RZECZY”**

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



**W PREZENCIE
KSIĄŻKA:**

AUTOBIOGRAFIA
„RYSZARD SZURKOWSKI
– WYŚCIG”

~~337~~ zł



136,00 zł



**OSZCZĘDNOŚĆ
201 zł**

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl



Piotr Czyżewski

Irlandia jest na dobrej drodze do tego, aby marksizm-lesbianizm stał się tam ideologią państwową

Homoseksualizm obowiązkowy

Pride Parade w Dublinie, 29 lipca 2019 r.

FOT. SZYMON BARYLSKI/NURPHOTO/GETTY IMAGES

Penalizacja homoseksualizmu w Irlandii była w przeszłości zbliżona swoimi rozwiązaniami do kodyfikacji prawnych wielu krajów protestanckich Europy Zachodniej i nie ma się co dziwić, bo choć dominującą religią był tu katolicyzm, to przez setki lat Irlandia znajdowała się pod brytyjskim panowaniem i obowiązywało w niej brytyjskie prawodawstwo.

Przed formalną niepodległością Irlandii w 1922 r. seksualność była tam regulowana przez obowiązujące w Wielkiej Brytanii ustawy wydane przez parlament Zjednoczonego Królestwa, takie jak ustawa o przestępstwach przeciwko osobie z 1861 r. Propaganda LGBT najczęściej przypomina proces i uwięzienie Oscara Wilde'a – modernistycznego poety i prozaika, biseksualisty, który – jak sam mówił – kultywował pederastię na wzór starożytnych Greków. W 1895 r. Wilde został aresztowany, oskarżony o kontakty homoseksualne i skazany na dwa lata ciężkich

robót. Niedługo przed śmiercią nawrócił się jednak na katolicyzm, co się zazwyczaj pomija, przypominając jego osobę. Jako symbol walki środowisk LGBT w przeszłości prezentuje się także przywódców powstania wielkanocnego, zwłaszcza Pádraiga Pearse'a i Rogera Casementa, choć ich seksualność była tylko drobnym elementem ich procesu i egzekucji.

Po odzyskaniu niepodległości w 1922 r. prawa brytyjskie zostały automatycznie odziedziczone przez nowe Wolne Państwo Irlandzkie. I choć w tamtych czasach Kościół katolicki miał olbrzymią władzę, to nie egzekwowano starych, drakońskich praw przeciwko homoseksualistom, choć formalnie zniesiono je dopiero w 1993 r., i to też pod presją Europejskiego Trybunału Praw Człowieka.

PIERWSZY WYŁOM PRAWNY

W 2011 r. ustawa o partnerstwie cywilnym została uchwalona przez

Dáil (niższa izba parlamentu Irlandii) i Seanad (wyższa izba parlamentu Irlandii), a następnie została wprowadzona w życie. W tym samym 2011 r. Dominic Hannigan i John Lyons, obaj z Partii Pracy, stali się pierwszymi otwarcie wybranymi gejami do Dáil, a Katherine Zappone została pierwszą jawną lesbijką na fotelu senatora.

W 2015 r. Irlandia stała się pierwszym krajem na świecie, który zalegalizował małżeństwa homoseksualistów w drodze referendum: za było 62 proc. głosujących. W 2017 r. Leo Varadkar został wyłoniony jako nowy Taoiseach (premier), a zarazem najmłodszy i pierwszy oficjalnie przyznający się do swojej homoseksualnej orientacji przywódca Irlandii. W jednym z pierwszych przemówień zapowiedział, że użyje mocy piastowanego stanowiska do dalszej walki o prawa środowisk LGBT na całym świecie (sic!). Oświadczenie premiera wybitnie uwypukla, że ideolodzy LGBT są bardziej zdeterminowani

i agresywni niż Armia Irlandzka, która na przestrzeni wieków nigdy nie zaatakowała pierwszej, nigdy nie wywołała wojny i liczy niespełna 9 tys. żołnierzy biorących udział głównie w misjach pokojowych, którzy woła, gdy się o nich mówi nie „soldiers”, ale „peacemakers”. Dzisiaj, kiedy osoby homoseksualne posiadają już pełnię praw, włącznie z możliwością adopcji dzieci przez homomałżeństwa, postuluje się, aby adoptować dzieci mogli także samotni pederastci.

MIESIĄC „DUMY”

Z roku na rok propaganda LGBT przybiera na sile. Już nie dzień ani tydzień, ale przez cały miesiąc w czerwcu tego roku trwał festiwal lesbijek, gejów, biseksualistów i transwestytów. Do akcji włączają się nie tylko prywatne międzynarodowe korporacje, takie jak Apple, Google, Facebook, Amazon, Ikea, Tesco, Microsoft, czy lokalne irlandzkie, lecz także, co jest nowością, przedsiębiorstwa państwowe i miejskie: An Post (poczta irlandzka), Ireland's Health Services (Zarząd Służby Zdrowia), Dublin Bus (miejskie przedsiębiorstwo autobusowe), straż pożarna, Garda (policja), Aer Lingus (irlandzkie linie lotnicze).

Rok temu w paradzie wzięli po raz pierwszy oficjalnie udział żołnierze irlandzcy: w mundurach, z pomalowanymi w tężowe kolory twarzami, w tężowych okularach i obwieszeni kolorowymi wieńcami. W tym roku na czas festiwalu przemalowano w tężowe barwy pojazdy policyjne. Również browar Guinnessa przemalował swoją słynną Bramę św. Jakuba. Brama ta była jednym ze średniowiecznych wejść do miasta, a obecnie jest bramą browaru i jego ikoną – to na jej tle tysiące turystów odwiedzających co roku Dublin robi sobie pamiątkowe zdjęcia. Tradycyjny czarny kolor bramy zastąpiła w tym roku wesoła tężowa malowanka.

Festiwal to oprócz parady setki wydarzeń i imprez towarzyszących. Instytucje kultury i pożytku publicznego zakładają tężowe okulary i wszystko, ale to dosłownie wszystko ukazywane jest właśnie przez pryzmat ideologii i propagandy LGBT. Galeria Narodowa zaprasza na oglądanie dzieł sztuki ze swojej kolekcji, których twórcami byli homoseksualiści, wzięnie Kilmainham Gaol (obecnie muzeum), w którym przetrzymywano i zgładzono m.in. przywódców powstania wielkanocnego (polskim widzom znanego z filmu „W imię ojca”), zaprasza na

zwiedzanie poświęcone osadzonemu tam w przeszłości lesbijkom i pederastom. Poczta irlandzka zorganizowała wystawę poświęconą homoseksualistom walczącym w powstaniu (to właśnie w siedzibie poczty głównej – GPO – był najsilniejszy punkt oporu powstańców 1916 r.). The Irish Emigration Museum (Muzeum Emigracji Irlandzkiej) zaprasza m.in. do zapoznania się z historią życia i pracy dr. Jamesa Barry'ego, chirurga wojskowego, który urodził się kobietą, ale żył jako mężczyzna, i który wedługu twórców wystawy przeprowadził pierwsze cesarskie cięcie w historii (choć – jak powszechnie wiadomo – zabieg ten pierwszy raz został wykonany w 1622 r. w Niemczech).

Odbył się też Union Cup Dublin 2019 – największy europejski turniej rugby LGBT+ z udziałem 45 drużyn z 15 krajów. Zorganizowano też wystawę psów – Pride Dog Show 2019. Niewykluczone, że w przyszłości wystawa zostanie rozszerzona o krowy, owce i kozy, aby zwierzęta gospodarskie także mogły poczuć się dumne.

Wielkie korporacje, które udzielają finansowego wsparcia festiwalowi, zachęcają swoich pracowników do udziału w paradzie i wydarzeniach towarzyszących. Znajoma Włoszka, zatrudniona właśnie w jednej z takich amerykańskich firm, opowiadała mi, jak pracownica HR oferowała koszulki, czapeczki, flagi i inne gadzety wszystkim zatrudnionym, którzy zdecydują się wziąć udział w paradzie. – Bardzo dziękuję, ale się nie wybieram. Wybieram się natomiast na manifestację organizacji pro-life, która odbędzie się w następnym tygodniu. Czy macie koszulki i flagi też na tę okoliczność? – pytała. Pytanie było bezcelne, nie na miejscu i moja znajoma nie doczekała się odpowiedzi.

Irlandzka parada LGBT została także wsparta udziałem dyplomatów z takich krajów jak: Australia, Austria, Belgia, Bułgaria, Kanada, Chorwacja, Cypr, Czechy, Dania, Finlandia, Francja, Niemcy, Indie, Litwa, Łotwa, Luksemburg, Malta, Holandia, Nowa Zelandia, Norwegia, Portugalia, Rumunia, Słowacja, Hiszpania, Wielka Brytania. Polscy dyplomaci z dublińskiej placówki nie wzięli w tym udziału. Wszystko to przypomina do złudzenia realia PRL: przymusowy udział pracowników zakładów i inteligencji pracującej w pochodach pierwszomajowych czy chłopów w państwowych dożynkach. Mechanizmy te same, tylko czerwone szturmówki i gołąbki pokoju zostały

zastąpione kolorową flagą i penisami, a partyjni agitatorzy działaczami LGBT.

NIEPOKÓJ MIESZKAŃCÓW

Nic dziwnego, że wielu Polaków mieszkających w Irlandii patrzy z niepokojem na galopującą propagandę LGBT. Kiedy przybywali tu jeszcze 15 lat temu, polityczna poprawność nie zaprzętała im głów. Wypędzeni przez bezrobocie i brak perspektyw cieszyli się możliwościami zarobku, które oferował im będący u szczytu swej prosperity celtycki tygrys. Dzisiaj większość tych ludzi założyła rodziny i ma dzieci, które w szkołach, środkach masowego przekazu, mediach społecznościowych poddawane są przymusowej indoktrynacji.

Dwa lata temu, gdy irlandzcy harcerze ze Scouting Ireland (harcerstwo irlandzkie) pierwszy raz poszli w paradzie LGBT, wywołali niesmak i oburzenie wśród polskiej społeczności. Wiele dzieci polskich imigrantów należy bowiem do tej organizacji. To właśnie argument, aby móc wychowywać dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami, własną religią, bez nachalnego wtrącania się państwa w sumienia, jest – oprócz wielkich transferów społecznych rządu PiS – ogromną zachętą od podjęcia decyzji o powrocie do ojczyzny. A skala powrotów jest duża.

Co się stanie z tymi, którzy zostaną? Na razie państwo irlandzkie nie ingeruje w polskie szkoły na wyspie. Tam zwykłe oprócz lekcji polskiego, historii czy geografii są lekcje religii prowadzone przez polskich katechetów, pojawiają się duchowni z polskiego duszpasterstwa. Jednak mały Polak, zanim dotrze w sobotę do polskiej szkoły, musi spędzić cały tydzień w szkole irlandzkiej. A tam dowie się tego wszystkiego, czego dowiedzieć się musi, bo ideologia LGBT tak jak każda lewicowa idea nie jest dobrowolna, tylko przymusowa, i musi wyzwoić wszystkich: i tych, którzy chcą, i tych, którzy się wahają. Komuna już taka jest, że musi się rozszerzać i nie bierze jeńców. A miękki marksizm, z którym mamy teraz do czynienia, jest perfekcyjnie przemyślany, więc piekielnie niebezpieczny szczególnie dla małych nieświadomych zagrożeń dzieci. Polacy będą musieli więc albo prowadzić podwójne życie i uczyć hipokryzji dzieci od najmłodszych lat tak, jak robili to ich dziadkowie w czasie komuny, albo zerwać z własną tożsamością i przejść na awangardową stronę mocy dla świętego spokoju. Tylko czy to na pewno będzie spokój? Bo święty to na pewno nie.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Walka na dwa fronty

O ludziach znajdujących się w mojej sytuacji mówi się „człowiek kanapka”. „Człowiek kanapka” to ktoś, kto jednocześnie opiekuje się swoimi dziećmi oraz swoimi rodzicami. Ludzi kanapek jest coraz więcej, ponieważ płodzimy dzieci coraz później, a staruszkowie żyją coraz dłużej. No cóż, tak to jest z postępek – rozwiązując jedno problemy, generuje kolejne.

Ludzie walczący na dwóch frontach zazwyczaj koncentrują się na tym dziecięcym. To naturalne, że małe istoty wydają się nas bardziej potrzebować niż duże. Dlatego kiedy najstarsze pokolenie w końcu rzeczywiście wymaga naszej pomocy, często jesteśmy zaskoczeni niczym owi mityczni drogowcy pokonani w styczniu przez śnieżyce.

To jest trudny moment. Przynajmniej taki jest dla mnie. Wiem jednak od przyjaciół, że dla nich też. Matka czy ojciec to w końcu osoby, które zawsze nas wspierały. Nawet kiedy byliśmy dorośli, mogliśmy liczyć, że mama przepoczwarzy się w babcię i pozwoli nam raz na jakiś czas iść w miasto, żeby się upodlić i odreagować w ten sposób humory bachora i zawodowe stresy. A rano jeszcze zrobi jajecznicę i nie będzie sarkać na naszego kaka. I kiedy nagle człowiek, który przez całe życie cię wspierał i na którego zawsze mogłeś liczyć, staje się bezradny, słabiutki i dezorientowany, to... no po

prostu trudno się odnaleźć w tej zamianie ról.

Na początku trudno jest pojąć, że to nie jest chwilowe. Że poprzednie relacje już nie wrócą. Potem, że odtąd nie tylko do dzieci trzeba mieć cierpliwość. Zanim jednak dojdziemy do tej oczywistej konstatacji, już biczujemy swoje sumienia za irytację, którą w nas budzi powolność naszych rodziców. Ano tak, nawet polskie kino psychologiczne ma zwaśne tempo niż staruszek szykujący się do wyjścia z domu. Jakoś to smutne, że z guzdraniem się dzieci dajemy sobie dość dobrze radę (choć oczywiście niekiedy szlag nas trafia, kiedy po raz 20. mówią „już” i dalej gapią się w smartfona), natomiast powolne dreptanie własnej mamy męczy nas bardziej niż start w półmaratonie. Tylko że jeśli ktoś biega długie dystanse, to trenuje. Do starości rodziców przygotować się nie sposób, chociaż wiemy, że kiedyś nastąpi.

Jako „człowiek kanapka” na jednym froncie (tym przyjemniejszym) radzę sobie nieźle, ale na tym drugim ciągle przegrywam. Ciągłe nie wiem, czy nie popełniam błędów, czy daję z siebie wystarczająco dużo. Czy mógłbym ofiarować więcej czasu? Czy nie mógłbym częściej wpadać? Czy nie wykorzystuję dziecka jako alibi dla swoich zaniedbań? Strasznie ciężko być „człowiekiem kanapką”.

Przynajmniej już wiem, dlaczego na dzieci mówi się „pociechy”. Dopiero teraz to zrozumiałem. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Janek Purzycki

Producent Tadeusz Lampka powiedział mi kiedyś, że zdarza się, iż z dobrego scenariusza powstaje kiepski film, ale sytuacja odwrotna jest całkowicie nieprawdopodobna. Na planie filmowym, gdzie reżyser jest bogiem, bardzo często zapomina się, że świat, w którym rozgrywa się akcja, najpierw musiał powstać w głowie scenarzysty. Ci stanowią dobro rzadkie, a Jan Purzycki był dla naszego kina skarbem szczególnym. To on powołał do życia barwny świat Złotopolskich, stworzył

Wachowski świadom, że Janek jest niepokorny, przesądził sprawę, mówiąc Wałęsie: „Wodzu, prezes nie może być taki kudłaty”. I Janek został zaledwie wice. Na krótko. Zdążył otoczyć ochroną (skądinąd całkowicie bezinteresownie) moje „Polskie zoo” w stadium jego inkubacji. Podobnie krótko był prezydenckim doradcą. Przestał nim być po opublikowaniu tekstu, w którym pytał: „Jak długo w Belwederze panoszyć się będzie widmo wszechwładnego kretyna?”.

Rozważał potem zostanie rolnikiem. Później wyniósł się jeszcze dalej, na Lofoty... Nie zaprzestał na szczęście pisania. Przy swej fantazji pozostawał jednocześnie człowiekiem umiaru, nie żywił nienawiści, wybaczał nawet ludziom, od których doznał krzywd. W podzielnym świecie zachował przyjaciół z różnych stron barykady, sam aktywnie popierając prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Raz w roku, na św. Jana, mnóstwo z nich spotykało się w Jankowej hacjendzie, pełnej zwierząt, dysput i żartów.

Wielu z tych przyjaciół Janka po drugiej stronie – Antoni Krauze, Rysiek Bugajski, Jacek Janczarski, Maciej Zembaty (ten wierny czarnemu humorowi zanuci mu zapewne „Ostatnią posługę” do muzyki Chopina...).

Jan zmarł w swej małej ojczyźnie, w płońskim szpitalu, czekając na banalną operację. I tak nasz świat – i tak kiepski – stracił jeszcze jedną ze swych barw. W Złotopoliach zgasto słońce. ©©

**Dobry scenarzysta
to rzadkie
dobro.**

**A Jan Purzycki
był dla naszego
kina skarbem
szczególnym**

„Wielkiego Szu” i „Piłkarskiego pokera”. Był człowiekiem utalentowanym, dobrym i dzielnym. A może dzielnym w pierwszym rzędzie. Zaangażował się w pierwszą kampanię prezydencką (opisał to w filmie „Gracze”), ale nie zawahał się mówić prawdy, kiedy prezydentura Wałęsy rozminęła się z jego oczekiwaniemi.

Był rogatą duszą, rozwichrzoną jak czupryna na jego głowie. Pamiętam dzień, w którym miał zostać prezesem Radiokomitetu. Nie zabiegał o to, a Mieczysław



KRZ * W D A D R A M *
N I * S P R A W I E * * * W O * C

NA POMOC!

PROGRAM INTERWENCYJNY

ŚRODA 21:30

Oglądaj Telewizję Republika również na: www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl/75bbf46b0c





Tomasz A. Żak

Mówiąc o zagrożeniach związanych z europejską polityką multi-kulti, nie zauważamy śmiertelnego niebezpieczeństwa „kulturowej różnorodności”, która – nie wiedzieć kiedy – stała się wizytówką setek polskich miast, wsi i samorządów

Zdzisiejszej perspektywy jakże genialne zdają się słowa Józefa Mackiewicza o patriotyzmie pejzażu. Dla autora powieści „Lewa wolna” pejzaż to cała przyroda oraz cała architektura będąca dziełem ludzi, ale to wszystko zawsze w relacji z człowiekiem. Istotą tej – zwykle nieuświadamianej – syntezy pokazują kłótnie o to, jak ma wyglądać po odbudowie paryska katedra Notre Dame. Wpływ tak rozumianego pejzażu zaobserwowałem również na sobie, a konkretnie na tzw. stanie ducha, gdy został skonfrontowany z krajobrazami krajów arabskich, w których dominantą są wieże minaretów, a nie kościoły zwieńczone znakiem krzyża. Szczerze: kiepsko się z tym czułem.

Nie powinno więc nas dziwić, że z jednej strony zwykli barbarzyńcy, a z drugiej zdeklarowani wrogowie cywilizacji europejskiej zawsze będą dążyć do zbezczeszczenia znaków i symboli świata, z którym walczą. Każda wojna jest równocześnie wojną kultur. Zwycięzca, oprócz oczywistego zniszczenia tożsamościowego pejzażu podbitej krainy, nieuchronnie ten pejzaż infekuje swoją architekturą, symboliką i językiem. Przykładowo: kościół zamieni na cerkiew albo na minaret, w środku miasta postawi szmacianą tęczę albo jakiś monumentalny gmach i nazwie go np. Pałacem Kultury. Kapliczkę z figurą Matki Bożej zastąpi tablica przodowników pracy, a na kolejnym etapie okupacyjnego „ukulturalniania” reklama klubu kochających inaczej.

Do głowy przychodzi różne przykłady tej nieustającej wojny o pejzaż. I te z przeszłości, i te współczesne. Te realizowane zarówno przez byłych okupantów, jak i przez tych, którzy do takiej roli dopiero się przymierzają. I nie jest przypadkiem, że nader często celem



Mieszanie

kolejnych kampanii i bitew jest Kościół katolicki. Mamy tutaj najlepszy dowód na to, że to wiara rzymskokatolicka jest najważniejszym spoiwem i wizytówką Europy, czyli również naszej ojczyzny. Ponieważ taki tu mamy rodzimy pejzaż.

NA CO DAJĄ

Fundusze norweskie i europejskie, stypendia amerykańskie oraz żydowskie, granty niemieckie i rosyjskie, dotacje unijne i od wiadomych fundacji – ot, i mamy globalizm. Na co dają pieniądze oprócz np. autostrad? Na edukację i kulturę, ale oczywiście niepolską. No bo z jakiej racji obce państwa miałyby finansować rozwój intelektualny i artystyczny naszego państwa kosztem swoich obywateli? To prawie tak jak z kredytem udzielanym przez bank – musisz go spłacić i to z procentem. W przypadku kultury czy edukacji ów procent to nie pieniądze, ale wpisane w umowę warunki dotacyjne, czyli działania, które mają przynieść korzyść donatorowi.

Jeszcze w latach 90. XX w. ktoś życzliwy zaproponował mi spotkanie z przedstawicielami fundacji polsko-niemieckiej, która – jak mi przedstawiano – mogła wspomóc działalność naszego stowarzyszenia. Rzecz miała doty-

czyć plenerowych działań teatralnych nawiązujących do historycznych postaci związanych z Tarnowem i regionem (hetman Tarnowski, gen. Bem, premier Paderewski). Moi rozmówcy postawili tylko jeden warunek – trzeba do projektu wprowadzić Niemców, którzy w jakikolwiek sposób z tym terenem się zetknęli i przede wszystkim ich postaci uwypuklić. No i projekt nie zaistniał.

Inny przykład. Jest wiosna roku 2003. Trwa kampania informacyjna i działania polityczne przed referendum akcesyjnym. Moje stowarzyszenie otrzymuje propozycję zarobienia sporych – jak dla organizacji pozarządowej – pieniędzy za realizację teatralnych parad ulicznych promujących akcesję. Kiedy mówię, że mam wątpliwości co do meritum, słyszę: „Nie ma problemu, zapłacimy ci więcej”. Nie zrozumieli, kiedy dotarło do nich, że odmawiam.

ZE SOBĄ CZY OBOK SIEBIE

Na pewno zwrócili państwo uwagę na wszechobecne eksponowanie różnorodności kultur, co ma być faktem promującym miejsce, region, społeczność, a nawet czymś wyjątkowo nobilitującym. Efektem tych marketingowych zabiegów jest na pewno uświadamianie, że w Pol-



„Oktawa Kultur” – międzynarodowy festiwal w Białymstoku, lipiec 2019 r.
FOT. ANATOL CHOMICZ/FORUM

kultury

sce żyły inne nacje, że mówiono innymi dialektami i gwarami, że można zjeść coś innego, co w adekwatnym menu opisane jest oryginalnym językiem, że inaczej się ludzie ubierali, tańczyli, no i jeszcze że były inne, jakże fascynujące, obrzędy religijne... Niejako równolegle postępuje przesunięcie tożsamościowego środka ciężkości ze społecznej naturalnej afirmacji kultury rodzimej, polskiej, na kultury mniejszości. Ponadto ekspozycja tych innych kultur nader często oparta jest na zderzeniu z „opresyjną katolicką polskością”. Idzie to mniej więcej tak: bo Polacy kolonizowali Ukrainę, bo Polacy eksterminowali Łemków, bo Polacy wypędzili Niemców, bo Polacy są antysemitami. I tak to wchodzi do głów.

A tymczasem co wieś, co miasteczko mamy jakiś „ośrodek spotkania kultur”. Co miesiąc, a szczególnie latem, jesteśmy zapraszani na jakieś „festiwale kultur” albo festiwal jednej kultury (nie polskiej, rzecz jasna). Dokądkolwiek byśmy pojechali, możemy wpaść w jakiś taki właśnie „tygiel kultur” lub być powitany w jakimś muzeum innej kultury. Miejsca, które nie mogą się pochwalić swoim narodowościowym odmiencem (Niemcem, Żydem czy Ukraińcem), spadają do drugiej, a może i trzeciej ligi „Europy

regionów”, a lokalni eksperci od pisania wniosków dotacyjnych rwą sobie wtedy włosy z głowy.

Babcia nieraz mi opowiadała, jak to było we Włodzimierzu Wołyńskim przed wojną. Mówiła, że tutaj była cerkiew, a tutaj kościół. Że zaraz obok rynku stała fara rzymskokatolicka, w której ochrzczona była moja mama, a całkiem niedaleko byli dominikanie. A gdy się szło w stronę dworca kolejowego, był kościół ewangelicki. Jedna cerkiew była unicka, a katedra przy zamku – prawosławna. Gdy babcia o tym mówiła, zawsze podkreślała: „Myśmy żyli koło siebie i nic się nie działo...”. Tutaj konieczna dygresja: Moja babcia mówiła to po latach; po cudownym ocaleniu rodziny z rzezi wołyńskiej zgotowanej Polakom przez sąsiadów, tych, którzy chodzili do cerkwi. I babcia mówiła to, nie mogąc zrozumieć, jak to było możliwe, że oni nam to zrobili...

Wróćmy do tego stwierdzenia: „myśmy żyli obok siebie”. No właśnie – koło siebie, obok siebie! Nie ze sobą! Kultury się nie mieszały. Zresztą, to było nawet wpisane w ich – że tak powiem – kulturowy genotyp. Inaczej budowali swoje wsie protestanci, inaczej gospodarowali Rusini. Żydzi nigdy się nie asymilowali i nie

bez powodu stworzone przez nich getta ułatwiły Niemcom holokaust tego narodu. Czyli nie było żadnego „tygla”, żadnej kulturowej „pralki”. Jedyną sytuacją „mieszania” było najzwyczajniejsze zakochanie się i w rezultacie ślub. Jednak i to miało jednoznaczny kulturowy bezpiecznik, a jego gwarantem była po prostu religia. Żaden tam radosny ekumenizm i „róbta, co chceta”. Kontrakt małżeński katolika był możliwy jedynie w obrębie świata chrześcijańskiego, ale niekatoliki, jeżeli już nie decydował się na konwersję, to musiał się zobowiązać do wychowywania dzieci w wierze katolickiej.

UBOGACANIE

Zdjęcia łodzi przepełnionych tzw. uchodźcami, mające złapać nas za serce, a zaraz potem za kieszeń, przypominają mi średniowieczne maszyny oblężnicze, do których Germanie przyzywali słowiańskie dzieci. A bezrefleksyjne zachłystywanie się implantowaniem w polską kulturę kultur innych kojarzę metaforycznie z podkopami pod mury zamku, w których oblegający wrogowie umieszczali miny, aby te mury skruszyć.

Oczywiście, że „podróże kształcą”. Oczywiście, że stykanie się z innymi kulturami może ubogacać. Z tym wszystkim jest jak z alkoholem czy filmami dozwolonymi od lat 16. Albo, co jeszcze bardziej wymowne, jak z prawem do głosowania po osiągnięciu pełnoletności. No i przecież w słowie „ubogacić” mamy prostą informację li tylko o dodaniu czegoś do naszego, już istniejącego bogactwa. Więc jeżeli już mamy tworzyć te festiwale, ośrodki i muzea, to najpierw niechaj powstaną takie, które zdefiniują nasze polskie bogactwo. Ja nie mam nic przeciwko temu, aby jakaś, dajmy na to, izba regionalna na Podlasiu w jednej z licznych sal ekspozycyjnych prezentujących polską kulturę tego regionu pokazała kulturę mniejszości białoruskiej. Jak najbardziej, ale wedle zasady: „Znaj proporcje, mocium panie!”. Znaj proporcje i nie zapominaj, że – trawestując słowa jednego z twórców polskiej niepodległości: „Jesteś Polakiem i najpierw masz polskie obowiązki”.

A z mieszaniami kultur to jest trochę tak jak z marzeniem o stworzeniu nowego człowieka. To, co powstanie, zawsze będzie sztuczne i wcześniej czy później zabije swojego twórcę, choćby mu ten dał nawet swoje nazwisko. Dokładnie tak jak Frankenstein.



Z historykiem dr. Tomaszem Kozłowskim,
autorem książki „Koniec imperium MSW”
rozmawia Jan Hlebowicz

Esbecy się przymilali

JAN HLEBOWICZ: Jest początek 1990 r. Kilka miesięcy po tzw. wyborach czerwcowych grupa przedstawicieli młodzieżowej opozycji wdzierają się do siedziby KW PZPR w Gdańsku, aby zapobiec paleniu tajnych dokumentów przez komunistycznych działaczy. Jaka była skala niszczenia archiwów w całym kraju?

TOMASZ KOZŁOWSKI: W obliczu transformacji zarówno aparat partyjny, jak

i państwowy starał się zatrzeć ślady swojej kompromitującej działalności. W przypadku akt komitetów wojewódzkich PZPR proces ten nabrał szczególnego przyspieszenia w styczniu 1990 r., kiedy partia formalnie dokonywała samorozwiązania i przekształcała się w nowe struktury. I zaczęło się niszczenie prowadzone na własną

rękę. Przywołany przypadek Gdańska jest bardzo znany, ale podobne sceny rozgrywały się też w innych miastach. W Tarnowie siedzibę partii okupowali działacze KPN, którzy ujawnili fakt niszczenia dokumentów oraz zabezpieczyli materiały dotyczące współpracy na linii PZPR – SB. Solidarność powstrzymała niszczenie dokumentów

Warszawa, 1990 r. Budynek byłego KC PZPR, opuszczony przez dotychczasowych lokatorów. Na zdjęciu: niszcarka dokumentów

FOT.: KRZYSZTOF WOJCIEWSKI/FORUM



co opisałem w książce. Nie możemy ponad wszelką wątpliwość stwierdzić, ile materiałów zostało zniszczonych. Część akt opisanych jako wybrakowane w rzeczywistości ukradziono i zachowano jako polisę ubezpieczeniową.

Aleksander Hall, minister bez teki w rządzie Mazowieckiego, akcje młodzieżowych działaczy nazywał „próbami anarchizacji życia w Polsce” oraz „narażaniem na szwank autorytetu rządu”.

Większość solidarnościowej elity uważała, że ewolucyjny i pokojowy charakter przekształceń jest absolutnie nadrzędną wartością. Obawiali się oni, że radykalna młodzież może ten proces zakłócić. Jacek Kuroń powiedział w maju 1989 r., że boi się młodzieżowej nielegalnej masowej organizacji, w której zachodzi szybki proces radykalizacji. Już jako minister w rządzie Mazowieckiego tłumaczył, że „najgorszą rzeczą jest ucieczka pod tytułem: my dwa kroki i lud żąda dalej. My dwa kroki – lud żąda dalej. Bo w ten sposób zatrzymamy się nigdzie [...], wywołamy absolutną anarchię”. Tego się bał nie tylko Kuroń, lecz także inni politycy – że nadejdzie kolejna fala rewolucji, która wymknie się spod kontroli. No i ci działacze Federacji Młodzieży Walczącej okupujący budynek KW byli właśnie ziszczeniem tych lęków. Podobnie jak młodzież i radykalna opozycja protestująca pod symbolicznymi pomnikami komunistycznej władzy. Żeby uzupełnić ten obraz: Kiszczak i podległy mu aparat milicyjny wcale nie kwapili się do pacyfikacji takich protestów. Kuroń wspomina, jak zadzwonił do Kiszczaka z prośbą o interwencję. Generał odpowiedział mu normalnym głosem, że nie może rozmawiać, bo ma chore gardło. Milicjanci niechętnie wykonywali rozkazy pacyfikacji, ponieważ nie wiedzieli, jakie będą tego konsekwencje. „Pacyfikowaliśmy kiedyś demonstrację Solidarności i teraz jesteśmy piętnowani – myśleli – dziś gonimy KPN, potem oni wejdą do rządu i co wtedy?”.

Morale musiało być niskie.

Ustalmy jedno – w latach 80. nie było już w SB czy milicji żadnych ideowców. Jeśli ktoś się decydował być zbrojnym ramieniem tego systemu, to oczekiwał za to godziwego wynagrodzenia. Nawet pion polityczno-wychowawczy MSW pisał w swoich raportach, że „osłabło znaczenie motywacji ideowych na rzecz materialnych jako głównej

siły sprawczej określonych zachowań funkcjonariuszy”. A z płacami i innymi benefitami było coraz gorzej. Pogłębiał się kryzys ekonomiczny i esbekom też zaczęto płacić relatywnie gorzej. O patologiach i problemach trawiących resort przed 1989 r. celnie pisał Daniel Wicenty w swojej najnowszej książce (więcej na ten temat w artykule „SB od środka” „Do Rzeczy” nr 3/2019). Więc jeżeli w resorcie pracowali pragmatycy, to w obliczu transformacji zaczęli wdrażać swoje indywidualne strategie przetrwania. Wielu po prostu uciekało: na emerytury, renty czy do rodzącego się sektora prywatnego. Inni czekali na rozwój wypadków, próbowali znaleźć nie porozumienia z nową ekipą.

Porucznik Franciszek Maurer, funkcjonariusz SB, siedzi przed komisją weryfikacyjną. Nonszalancko pali papierosa. Niespecjalnie przejmując się werdyktem. To scena z „Psów” Władysława Pasikowskiego, która silnie zakorzeniła się w świadomości Polaków. Jak w rzeczywistości wyglądała cała procedura? Czy esbecy obawiali się jej wyników?

Takie sceny to raczej artystyczna kreacja. Komisje weryfikacyjne obradowały pod presją czasu, a co za tym idzie – często odpuszczały sobie odpytywanie esbeków. Funkcjonariusze w jednym z województw skarżyli się wręcz, że komisja nie ogłosiła składu personalnego ani terminów posiedzeń, w związku z czym nawet ci, którzy chcieli, nie mogli nic powiedzieć na swoją obronę. Podstawą do podejmowania decyzji były raczej akta. Esbecy nie byli też zazwyczaj tak buńczuczni jak filmowy Maurer. Część prezentowała się jako apolityczni fachowcy, którzy będą wykonywali rozkazy każdej władzy. Inni się przymilali i byli gotowi kablować na swoich kolegów. Wielu zwyczajnie się bało. Zbigniew Fijak, szef krakowskiej komisji, zapamiętał spotkanie z jednym naczelnikiem: „Było jasne, że jest to osoba, która nie może pozostać w resorcie. I on jeden zachował się godnie. Odmówił jakiegokolwiek współpracy z nami. Był lojalny wobec swoich pracowników [do końca]”.

Procedurę weryfikacji przeszło pozytywnie ponad 10 tys. osób, czyli prawie 75 proc. ubiegających się. Część postsolidarnościowych polityków domagała się „opcji zerowej” w służbach, czyli oczyszczenia resortu z byłych esbeków. Z jakich powodów nie udało się zrobić w Polsce tego, co wyszło w NRD?

wrocławskiego KW po tym, jak resztki dokumentów z partyjnego archiwum zaczęto wyławiać z Odry. Niszczono dokumentację na wszystkich szczeblach, jednak przede wszystkim stenogramy posiedzeń Biura Politycznego KC PZPR z lat 80. W tym samym czasie płk Wiesław Górnicki, doradca polityczny prezydenta RP, kierował zespołem, który parcelował dokumentację znajdującą się w rękach Jaruzelskiego – część najprawdopodobniej zniszczono, resztę umieszczono w bezpiecznych schronieniach, w mieszkaniach czy na działkach zaufanych towarzyszy. Od jesieni 1989 r. trwała także masowa akcja niszczenia dokumentacji Służby Bezpieczeństwa,

NRD to najbardziej specyficzny przypadek w całym bloku wschodnim. Tam zaszła nie tyle transformacja, ile wchłonięcie jednego państwa przez inne. RFN miała swoje służby specjalne i ten komfort, że mogła w miarę bez problemu rozformować Stasi. Żeby jednak ten obrazek nie był tak idealny – dawnych oficerów z Niemiec Wschodnich też wcielano do BND. Poszukiwano na przykład funkcjonariuszy pracujących „na kierunku polskim” i wielu z nich zaferowano pozostanie na służbie. Nawet czeskie służby, które uchodzą za wzorzec „opcji zerowej”, nie pozbyły się wszystkich „starych” bezpieczeniaków. To nie jest też tak, że „opcja zerowa” jest idealna i ma same przewagi nad modelem transformacyjnym. Każde z tych rozwiązań pociąga za sobą określone koszty. Niektórzy specjaliści, w tym analitycy NATO, byli przekonani, że czystka w czechosłowackim wywiadzie i kontrwywiadzie sprawiła, iż trudniej było walczyć z rosyjską infiltracją.

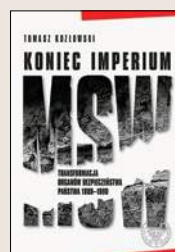
No właśnie, u nas wywiad pozostawiono praktycznie bez zmian. Jak na powołanie Urzędu Ochrony Państwa z silną reprezentacją ludzi związanych z komunistycznym resortem reagowały zachodnie i amerykańskie służby?

Wielu oficerów wywiadu wywodzących się z Departamentu I MSW jest przekonanych, że to właśnie Amerykanie uratowali ich przed wyrzuceniem na bruk. CIA była do bólu pragmatyczna. Już jesienią 1989 r. zaproponowano polskiemu wywiadowi współpracę na trzech polach: zwalczania terroryzmu, handlu narkotykami oraz przemytu broni. Potem stawkę podbijano, polski wywiad udostępniał informacje ze swoich źródeł na Bliskim Wschodzie, co okazało się bardzo przydatne w kontekście wojny w Zatoce Perskiej. Ukoronowaniem współpracy była słynna operacja „Samum” – ewakuacja amerykańskich oficerów z Iraku. A ile dobrych słów padło na temat polskich służb! Delegacja CIA na jednym wydechu wymieniała takie sukcesy jak sprawa rozpracowania Enigmy oraz... działalność Mariana Zacharskiego. Chwalono jego profesjonalizm, ubolewając jednocześnie, że jego działalność „pozostawiała uraz” w sferach Kongresu i kompleksu zbrojowego USA. Poza tym – idąc makiawelicznym tokiem myślenia – amerykański wywiad zdobył przez lata tyle informacji o polskich służbach, a być może także

dokonał udanych werbunków, że nie miał interesu w forsowaniu jakichś drastycznych zmian. Better the devil you know – z dwojga złego lepsze to, które się zna. Amerykanie na pewno byli z takiego rozwoju sytuacji zadowoleni i rozpięli nad polskim wywiadem parasol ochronny. Jan Olaszewski w swoich wspomnieniach opowiadał, że w czasie swojego premierowania nie miał wpływu na obsadę personalną kierownictwa wywiadu, bo krępowały go ustalenia z Amerykanami. Mieczysław Rakowski z kolei zanotował w swoim dzienniku opinię jednego z oficerów wywiadu UOP: „Pracuje [on] w wywiadzie 20 lat, ale czegoś takiego jeszcze nie widział. A mianowicie, oficerowie CIA chodzą do gmachu UOP tak, jakby byli u siebie w domu. Wchodzą do pokoju, żądają dokumentów itp. Za czasów PRL, powiedział, przedstawiciel KGB nie odważyłby się wejść do jakiegokolwiek pokoju. Jeśli czegoś chciał się dowiedzieć, to musiał się zwracać do wiceministrów lub też dyrektora departamentu”. Oczywiście były premier, notując takie spostrzeżenia, chciał pokazać w pozytywnym świetle okres przed 1989 r. Coś jednak na rzeczy było. Z kolei Leszek Miller opowiadał Rakowskiemu w kwietniu 1996 r., że odwiedzili go m.in. radca ambasady USA oraz szef placówki CIA. Wszyscy uprzejmie prosili, aby rząd nie rozpętywał kampanii przeciwko oficerom wywiadu zajmującym się sprawą „Olina”. Według tych relacji Amerykanie traktowali Polskę jak wasalę.

Funkcjonariusze SB stanowili wielotysięczną rzeszę. Część z nich musiała ułożyć sobie życie poza służbą. Gdzie oni wszyscy się podzieli?

Najczęściej dalsza kariera takiej osoby zależała od pozycji, którą zajmowała w szeregach SB. Gdy ktoś był szeregowym esbekiem, w cywilu mógł iść od pracy w agencji ochrony do firmy windykacyjnej, ewentualnie biura detektywistycznego. Na początku III RP jak grzyby po deszczu pojawiały się wszelkiej maści agencje ochrony i jej właściciele byli zazwyczaj zadowoleni z umiejętności dawnych esbeków. Zresztą ci szefowie też wywodzili się z tego środowiska. A jeżeli ktoś był oficerem wywiadu, znającym języki i świat, to



TOMASZ KOZŁOWSKI
„KONIEC
IMPERIUM MSW”
IPN 2019

oczywiście mógł iść do innej pracy. Krzysztof Krowacki, w latach 80. oficer wywiadu pod przykryciem pracownika ministerstwa finansów oddelegowany do USA, obracał się w środowisku amerykańskiej elity finansowej. Po 1989 r. został wiceministrem finansów, a potem dyrektorem polskiej placówki Bank of America Merrill Lynch. Tacy ludzie startowali z innego pułapu niż „przeciętni” esbecy. Wydaje się, że dostrzegalny jest też mechanizm kolonizacji pewnych sektorów przez byłych oficerów służb: rynek energetyczny, inwestycje zagraniczne (szczególnie na Wschodzie), prywatyzacja, bezpieczeństwo telekomunikacyjne.

Mając dostęp do wiedzy i znaczne środki, ludzie dawnych komunistycznych służb z łatwością mogli sterować krajową polityką lat 90.

To nie do końca tak. Wbrew obiegowej opinii nie jestem zwolennikiem tezy o tym, że to służby sterowały polityką. Kluczem do zrozumienia roli służb specjalnych po 1989 r. są politycy, a nie funkcjonariusze SB. Esbecy byli zazwyczaj gotowi wykonywać rozkazy każdej władzy. Oczywiście wielu z nich utrzymywało znajomości w środowisku postkomunistów. Jednak w historii Polski po transformacji znajdziemy bez problemu przykłady wkupywania się funkcjonariuszy w łaski polityków dawnej opozycji czy szukania wsparcia w pałacu prezydenckim. Mam wrażenie, że wielu funkcjonariuszy służb specjalnych godziło się zostać narzędziem w rękach polityków i dzięki swoim patronom robili kariery albo zyskiwali parasol dla prowadzenia swoich własnych interesów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



dr Tomasz Kozłowski

– historyk, pracownik Biura Badań Historycznych IPN. Badacz historii politycznej lat 80 i 90 XX w. Autor książek „Anatomia rewolucji. Narodziny ruchu społecznego Solidarność w 1980” oraz „Koniec imperium MSW. Transformacja organów bezpieczeństwa państwa 1989–1990”.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Głupota Hitlera

Zwiad 2. Dywizji Pancерnej Wehrmachtu 2 grudnia 1941 r. dotarł na przedmieścia Moskwy. Niemcy zajęli końcowy przystanek linii tramwajowej i – jak głosi legenda – oglądali przez szkła lornetek wieże Kremla. W tym czasie na ulicach Moskwy szalejące z radości tłumy Rosjan zrywały z urzędów znienawidzone czerwone sztandary, rozbijały komitety partyjne, dokonywały samosądów na komunistach. Wydawało się, że koniec bolszewizmu jest kwestią godzin, góra dni.

Stało się jednak inaczej. Niemcy Moskwy nie zdobyli. Front wschodni się ustabilizował, a potem szala zwycięstwa przechyliła się na korzyść Armii Czerwonej. W latach 1944–1945 bolszewicy, goniąc przed sobą wycofujących się Niemców, zalali pół Europy. W wyniku II wojny światowej Związek Sowiecki nie tylko nie przestał istnieć, lecz także znacznie rozszerzył swoją strefę wpływu. A przecież... było tak blisko.

Na pytanie, co poszło nie tak w 1941 r., niemieccy dowódcy odpowiadali zazwyczaj w ten sam sposób: „Nie przegraliśmy z bolszewikami, tylko z rosyjską zimą”. Jest to tłumaczenie niepoważne. Absurdalne. W książce „Mity II wojny światowej. Część 2” piszą o tym

Jean Lopez i Olivier Wieviorka. Okazuje się, że jako pierwszy androny takie plótsam Führer.

„To nie Rosjanie zmusili nas do przejścia do defensywy – dowodził – ale mróz –38, –40, –41, a nawet –45 stopni. Takiego mrozu nie wytrzymają żadne oddziały nieprzyzwyczajone do zimy”.

Mówiąc to, Hitler sam się ośmieszał. Jego psim obowiązkiem było to, żeby przed wydaniem rozkazu o marszu na Moskwę sprawdzić, jakie temperatury występują w Związku Sowieckim. I odpowiednio przygotować na nie swoich żołnierzy. Zwalając winę na „rosyjski mróz”, Hitler chciał zatuszować własną niekompetencję. Popełnione przez siebie poważne błędy i wady Wehrmachtu.

Jest jeszcze jedna sprawa, o której autorzy „Mitów...” nie wspominają. Błędy natury politycznej. Tempo niemieckiej ofensywy bez wątpienia spowalniała obłędna, rasistowska doktryna Hitlera, który zamiast wyzwać narody spod bolszewickiego jarzma, narzucał im nową morderczą okupację.



★★★★★

JEAN LOPEZ,
OLIVIER
WIEVIORKA
„MITY II WOJNY
ŚWIATOWEJ.
CZĘŚĆ 2”
WYDAWNICTWO
POZNAŃSKIE

Nie ze wszystkimi poglądami autorów „Mitów...” się zgadzam. Jest to jednak bardzo ciekawa, pobudzająca do dyskusji książka. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Finanse autora „Trylogii”

Uczciwie trzeba przyznać, że na „Ogniem i mieczem” Sienkiewicz zarobił bardzo umiarkowane pieniądze. Honorarium za druk w „Słowie” wyniosło łącznie 800 rubli (po przeliczeniu: ok. 9,6 tys. euro), identyczną sumę guldenów zapłacił krakowski „Czas” (ok. 8,5 tys. euro). Pewne kwoty przyniosły także

Nie mieli wyboru, bo Sienkiewicz był kurą znoszącą złote jajka

wydania książkowe, jednak na masowe edycje przynoszące ogromne pieniądze musiał jeszcze kilka lat poczekać. Przekłady zagraniczne nie dawały zaś prawie żadnych pieniędzy, nie były to bowiem czasy obowiązywania prawa autorskiego. Normalną praktyką były „pirackie” tłumaczenia, przekładał i wydawał właściwie każdy, kto tylko chciał, nikt też nie przejmował się opinią krajowego wydawcy czy autora. I tylko nieliczni poczuli się, by wysłać jakiegokolwiek pieniądze pisarzowi.

Sienkiewicz wiedział, że jego zarobki związane są z rynkiem polskim, ale i tutaj pojawiały się pirackie nakłady. Zdegustowany autor twierdził, że nawet w kraju wszyscy na nim zarabiają, podczas gdy on dostawał tylko sześć rubli (72 euro) za jeden odcinek „Potopu”, którego publikacja prasowa zakończyła się 2 września 1886 r.

Oczywiście nie było aż tak źle, gdyż druk „Potopu”

jednocześnie ze „Słowem” rozpoczęły „Czas” i „Dziennik Poznański”. Oznaczało to, że książka ukazywała się w prasie wszystkich zaborów, a pisarz otrzymywał honoraria od trzech wydawców. Nie wszyscy jednak płacili na czas, a najczęściej spóźniali się rzekomo uczciwi i porządni Wielkopolanie...

Wtej sytuacji Sienkiewicz zgodził się na napisanie „Pana Wołodyjowskiego”, ale zażądał od „Słowa” 8 tys. rubli (blisko 100 tys. euro) honorarium. Co więcej, połowę miał otrzymać zaraz, i do tego w markach niemieckich, gdyż ruble miały niestabilny kurs. Wprawdzie wydawcy narzekali, że niebawem pisarz zażąda wypłaty w brylantach, ale zgodzili się na jego warunki. Nie mieli wyboru, bo Sienkiewicz był kurą znoszącą złote jajka i nic dziwnego, że zamierzał zarobić godziwe pieniądze.

Niedługo później za prawo do odcinkowej publikacji „Bez dogmatu” zażądał – i otrzymał – 12 tys. rubli (ponad 140 tys. euro). Książka ta była zresztą znacznie mniej obszerna niż poszczególnych części „Trylogii”, ale to Sienkiewicz stawiał teraz warunki. Wreszcie mógł zrezygnować z posady redaktora naczelnego „Słowa”, a i tak ze względu na ciągłe podróże i wytężoną pracę literacką był raczej tytularnym szefem.

Złośliwi twierdzili nawet, że zachowywał stanowisko wyłącznie dla wysokiej pensji, a skoro zaczął zarabiać znaczne pieniądze piórem, to nie musiał już udawać redaktora. ©©



Tomasz Zbigniew Zapert

Powiadają, że dzień, w którym człowiek przychodzi na świat, określa jego przyszłość. W przypadku Edwarda Lindego-Lubaszenki sprawdziło się to co do joty. Aktor urodził się 23 sierpnia 1939 r. W tym samym dniu w Moskwie podpisano pakt Ribbentrop-Mołotow

Po kądzieli wywodzi się z polskiej szlachty pielęgnującej patriotyczne tradycje. Ród Roszkowskich pochodzi z południowego Mazowsza. Za udział w powstaniu listopadowym wielu jego członków zesłano na Sybir. Po kilkudziesięciu latach pokolenie wyrosłe za Uralem otrzymało zwolnienie ze zsyłki z prawem do osiedlenia się w europejskiej części Rosji, ale bez przekraczania linii Bugu. Tam urodziła się matka Edwarda, Emilia, nazwana tak na cześć Emilii Plater, pod rozkazami której – jak głosi legenda – walczyli jej przodkowie.

Po ukończeniu nauki Emilia znalazła się w Białymstoku. Pomagała starszej siostrze prowadzić sklep kolonialny. Któregoś dnia na początku lat 30. lokal odwiedził mężczyzna mówiący po polsku, z silnym akcentem niemieckim. Nie wiadomo już, co chciał kupić. Pewne jest, że zakochał się w młodszej od siebie o 12 lat sprzedawczyni. Z wzajemnością.

Biografię Juliana Lindego – bo tak nazywał się ów zagadkowy jegomość – do dziś otacza nim tajemnica. Wiadomo jedynie, że był potomkiem gisera, Niemca, który najprawdopodobniej u schyłku ubiegłego stulecia rozpoczął prywatny „Drang nach Osten”. Ojciec Juliana przybył przypuszczalnie znad granicy czesko-niemieckiej i osiadł w Zagłębiu Dąbrowskim. Właśnie z Sosnowca pochodzi pierwszy zapis dotyczący Juliana Lindego, który kontynuował rzemieślnicze tradycje. Został wykwalifikowanym hutnikiem szkła. Poszukując pracy w dobie wielkiego kryzysu, trafił do Białegostoku. Przez cały czas pobytu w Polsce miał status obcokrajowca.

EMILIA CHCIAŁA NIEMCA

Owocem małżeństwa Emilii Roszkowskiej i Juliana Lindego był Edward.

Życiorys z wyroku historii



Edward Linde-Lubaszenko – wybitny aktor teatralny (od ponad 45 lat związany ze Starym Teatrem) i filmowy („Tręd”, „Kontrakt”, „Piłkarski poker”, „Psy”, „Sztos”, „Róża”), wieloletni pedagog krakowskiej Akademii Teatralnej.

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

Syn urodził się osiem dni przed wybuchem II wojny światowej. Białystok zajęły najpierw wojska niemieckie, które stacjonowały tu przez kilkanaście dni. Zgodnie z postanowieniem umowy Hitlera ze Stalinem ustąpiły później pola Armii Czerwonej. Przymusowo zabrały ze sobą obywateli niemieckich. Również Juliana Lindego. Mógł się on ewakuować do pobliskich Prus Wschodnich wraz z najbliższymi, lecz stanowcze weto postawiła małżonka. Rodzina się więc rozstała, choć do 22 czerwca 1941 r. ojciec regularnie ją odwiedzał. Granica sowiecko-niemiecka była dla Niemców otwarta.

Emilia, jako właścicielka sklepu, w oczach Sowietów uchodziła za burżukę. W jej mieszkaniu zakwaterowano pochodzącego z Doniecka kapitana Armii Czerwonej, Mikołaja Lubaszenkę. „Samotna młoda kobieta i samotny młody mężczyzna pozostawieni samym sobie wcześniej czy później spotykają się w łóżku” – napisał przed wiekiem Honoriusz Balzac. Tak też się stało – Mikołaj zaopiekował się Emilią.

NITKI LOSÓW

Prawdopodobnie dzięki wstawiennictwu sublokatora matka z synem uniknęły wywózki za Ural. Lubaszenko załatwił bowiem dokument potwierdzający, że są jego rodziną. W tym celu zataił posiadanie legalnej żony, syna Georgija – zwanego Żorzykiem – oraz córki Swietłany. Jako żona i syn oficera Emilia z Edwardem kilka godzin po agresji Hitlera na ZSRS znaleźli się w wojskowym eszelonie, którym pomimo bombardowań dotarli aż do Archangielska. Bez przesady można rzec, że Lubaszenko uratował im życie.

Pierwsze obrazy zakodowane w dziecięcej pamięci Edwarda pochodzą właśnie stamtąd. Nie są to miłe widoki. Śnieg, mróz i głód, bo nieskładnie mówiącą po rosyjsku matkę traktowano nader podejrzliwie, pozwalając jedynie na słabo płatne, dorywcze zajęcia. Dopiero gdy na urlop przyjechał ranny na froncie Lubaszenko, sytuacja kobiety uległa zmianie.

Tak naprawdę poprawiła się dopiero w połowie 1943 r., gdy Emilia znalazła pracę kancelistki w nowo powstałej I dywizji im. Tadeusza Kościuszki (wcześniej nie zdążyła dostać się do armii gen. Andersa). Dzięki jej staraniom do „berlingowców” dołączył też wkrótce Mikołaj. Z dywizją przebył szlak bojowy

od Lenino do Warszawy, gdzie został odsunięty od działań frontowych za udział w pomocy Powstaniu Warszawskiemu (przyczółek żoliborski).

Wojsko upomniało się też o Juliana Lindego. Tyle że był to Wehrmacht. U schyłku wojny brakowało już Hitlerowi „mięsa armatniego”, toteż powoływano pod broń kogo się dało, począwszy od 15-letnich chłopców, a kończąc na 70-letnich starszycach. Wówczas Linde założył mundur szeregowca, ale wiele nie postrzelał. W styczniu 1945 r. wzięto go do niewoli. Przez dwa lata przebywał za drutami obozu w Tule. Został zwolniony w roku 1947. Nie wiadomo jednak, na jakiej podstawie. Wiele wskazuje na to, że przyczynił się do tego... Mikołaj Lubaszenko.

Straciwszy kontakt z rodziną 22 czerwca 1941 r., Linde w wojennej zawierusze nie miał szans na wszczęcie poszukiwań. Poprzez Międzynarodowy Czerwony Krzyż rozpoczął je dopiero po wyjściu z niewoli. Tymczasem Emilia zrewanżowała się Mikołajowi, wydostając go z ZSRS, co nie było proste – obywatelom sowieckim wojskowym w szczególności, niechętnie zezwalano opuszczać ojczyznę. Osiedlili się we Wrocławiu. Tam właśnie w roku 1947 przyszedł na świat ich syn Bogdan.

Co lub kto przyczynił się do amnestionowania Lindego?

Nie dowiemy się tego bodaj nigdy. Lubaszenko niewątpliwie miał w Armii Czerwonej znajomości, lecz do końca życia słowem nie zająknął się na ten temat. Linde też do śmierci milczał jak grób. Obaj pogodzili się z wyrokiem historii, wydanym na ich losy. Nie były to zresztą czasy, w których należało przyznawać się do genealogicznych zawiłości.

Julian przekonał się o tym na własnej skórze. Po powrocie z obozu zamieszkał w Polanicy, gdzie związał się z rodziną polskiego górniką, który zginął we francuskiej kopalni. Któregoś dnia, tuż po powstaniu berlińskim w czerwcu 1953 r., popił sobie w knajpie i zaczął śpiewać niemieckie piosenki. Z miejsca został aresztowany. W kłodzkim więzieniu przez prawie dwa lata oczekiwał na proces. Wyszedł, kiedy nastała odwilż. Wtedy też odnalazł swoją siostrę. Mieszkała z mężem w NRD. Po pozostawim rodzinie wszelki ślad zaginęła.

OJCOSTWO LISTOWNE

Edward poznał prawdziwego ojca w wieku 11 lat. Powiedziano mu, że to jego

ojciec... chrzestny. Do kolejnego spotkania doszło w roku 1957. Edward, świeżo upieczony student medycyny we Wrocławiu, przeżywał trudny okres. Nie najlepsza atmosfera w domu zmusiła go do waletowania w akademiku. I wtedy otrzymał list zaczynający się słowami: „Jestem pańskim ojcem”. Natychmiast pojechał do Polanicy, gdzie podczas wielogodzinnej rozmowy poznał prawdę o sobie. Ojciec wcale nie był chętny do zwierzeń. Zapewne doświadczenie nauczyło go dyskrecji i powściągliwości wobec rodowych sekretów. Chociaż nie przelewało mu się, to od tamtej chwili aż do końca studiów wspierał syna finansowo, goszcząc go w wakacje. O przeszłości rozmawiali jednak incydentalnie i szeptem, gdyż władza ludowa zaczęła coraz głośniej straszyć Polaków niemieckim rewizjonizmem.

Julian zmarł w roku 1969. Zdążył jeszcze zobaczyć swojego wnuka Olafa. Edward – wówczas już aktor – odebrał we wrocławskim Teatrze Współczesnym depechę o nagłym zgonie ojca.

Pogrzeb był uroczysty, lecz skromny. Zakrapiana konsolacja sprawiła, że Edward zapomniał o rzeczach osobistych taty, a francuska rodzina obawiała się trzymać w domu legitymacji żołnierza Wehrmachtu, toteż wszystkie dokumenty spalono.

Po kilku dniach Edward został zaczepiony przez teatralnego strażaka, który zbeształ go za makabryczny żart. Oficjalny ojciec – Mikołaj – piastował kiedyś funkcję zastępcy komendanta wojewódzkiego straży pożarnej. Teraz przypadkowo spotkał dawnego podwładnego, dbającego o bezpieczeństwo przeciwpożarowe sceny. Ten ostatni tak się przestraszył „nieboszczyka”, że o mało sam nie zszedł na zawał.

Mikołaj Lubaszenko zmarł w 1983 r. Zaledwie tydzień po Emilii. Piętnaście lat wcześniej odnalazła się jego córka z pierwszego małżeństwa. Z kolei syn, Żorzyk, dosłużył się stopnia sierżanta. Zdobywał Wiedeń i poznał dobrodziejstwo kapitalizmu, toteż po wojnie wsadzono go w oczyźnie za kratki. Odzyskawszy wolność, musiał zamieszkać na Syberii.

Korzystając z solidarnościowych zwiastunów wolności, Edward usiłował w 1981 r. zrobić porządek ze swoim życiorysem. Przeszkodził w tym stan wojenny. Dopiero kiedy runął w Polsce komunizm, mógł bez obaw zacząć poznawać własne korzenie. Od roku 1990 nazywa się więc Edward Linde-Lubaszenko.



Jacek Przybylski

Prezydent chce kupić największą wyspę świata. Po kategorycznej odmowie premier Danii Donald Trump odwołał zaplanowaną we wrześniu wizytę w Kopenhadze, lecz zapewne jeszcze powróci do negocjacji. O tereny Arktyki rywalizują bowiem też Chiny oraz Rosja

Grenlandia. Największa wyspa na Ziemi. Autonomiczne terytorium zależne Danii o obszarze ponad 2 mln km kw., który w ponad 80 proc. pokryty jest przez lądolód. Całą wyspę zamieszkuje 56 tys. osób, czyli mniej więcej tyle, ilu mieszkańców liczą np. Piekary Śląskie, Bełchatów czy Legionowo.

Grenlandia ma jednak wiele zalet. Jest strategicznie położona. Pod powierzchnią ziemi może zaś zawierać znaczne pokłady surowców naturalnych, w tym m.in. ropę naftową, gaz, diamenty, uran oraz metale ziem rzadkich, które wykorzystywane są m.in. w smartfonach, komputerach czy samochodach elektrycznych. Te cechy sprawiają, że wyspą mocno interesują się Amerykanie, Rosjanie i Chińczycy.

Trudno się więc dziwić, że wyspa wpadła również w oko prezydentowi Stanów Zjednoczonych, który akurat na rynku nieruchomości zna się jak rzadko który polityk i który stojąc na czele Ameryki, nie zapomina o swoich biznesowych korzeniach. Według ustaleń dziennikarzy „The Wall Street Journal” gospodarz Białego Domu miał wielokrotnie pytać swoich współpracowników o możliwość nabycia przez Stany Zjednoczone praw do Grenlandii. Sam Donald Trump publicznie potwierdził też swoją chęć nabycia praw do zlodowiałej wyspy i porównał ten pomysł do „olbrzymiego kontraktu na rynku nieruchomości”.

– To jest temat, o którym rozmawialiśmy. Pojawiła się taka koncepcja i jest ona bardzo interesująca ze strategicznego punktu widzenia – ogłosił przywódca Ameryki. – Możliwych jest wiele scenariuszy. Grenlandia mocno ciąży jednak Danii, która zajmując się nią, rocznie

musi wydawać niemal 700 mln dol. – podkreślił amerykański przywódca.

Mimo wspomnianych przez Trumpa kosztów ewentualne negocjacje nie zapowiadały się jednak łatwo. – Grenlandia nie jest na sprzedaż. Grenlandia nie jest duńska, jest grenlandzka – ogłosiła Mette Frederiksen, szefowa centrolewicowego rządu. A szef dyplomacji Danii podkreślił, że wyspy nie można kupić „za dolary, juany czy ruble”.

Mimo to 2 września – po zakończeniu wizyty w Polsce – Donald Trump miał rozmawiać o zakupie największej wyspy świata w Kopenhadze z szefową duńskiego rządu Mette Frederiksen oraz z premierem Grenlandii Kimem Kielsenem. Niezwykle stanowcze stanowisko władz w Kopenhadze sprawiło jednak, że prezydent Trump – zaledwie kilka godzin po tym, jak ambasador Danii w USA napisał na Twitterze, że jego kraj jest już gotowy na przyjęcie prezydenta USA – ogłosił na Twitterze, że do Kopenhagi się jednak nie wybiera. „Dania to bardzo specjalny kraj z niesamowitymi ludźmi, ale bazując na komentarzu premier Mette Frederiksen,

która nie jest zainteresowana dyskutowaniem ze mną na temat sprzedaży Grenlandii, odkładam nasze zaplanowane za dwa tygodnie spotkanie na inny czas” – napisał prezydent USA na Twitterze.

A rzecznik Białego Domu szybko potwierdził, że wizyta w Danii została anulowana.

OD WYSP DZIEWICZYCH DO ALASKI

I chociaż niektórzy duńscy politycy, jak Søren Espersen z Duńskiej Partii Ludowej, zamiar kupna Grenlandii traktują „jako ostateczne potwierdzenie, że Donald Trump oszalał”, to sam pomysł nie jest wcale tak absurdalny, jak mogłoby się wydawać. Co więcej, nie jest też wcale nowy. Przedstawiciele Stanów Zjednoczonych nad odkupieniem wyspy od Duńczyków zastanawiali się już za czasów prezydentów Abrahama Lincolna oraz Andrew Johnsona – w roku 1867 pomysł ten zupełnie poważnie rozważał ówczesny szef amerykańskiej dyplomacji William Seward, który marzył też o kupnie Kanady od Brytyjczyków.



Po co Trumpowi

Amerykanie mają już na Grenlandii dużą bazę wojskową Thule Air Base
FOT. MARIO TAMA/GETTY IMAGES



Grenlandia?

Ostatecznie Stany Zjednoczone w roku 1867 od Rosjan kupiły teren obecnego stanu Alaska, za który rząd w Waszyngtonie zapłacił 7,2 mln dol. amerykańskich, czyli równowartość ponad 125 mln dzisiejszych dolarów. Jednym z głównych negocjatorów po stronie amerykańskiej, który doprowadził wówczas do zawarcia transakcji, był urodzony w wielkopolskim Rożnowie, a zmarły w Nowym Jorku gen. Włodzimierz Krzyżanowski. Zakup miał jednak wielu przeciwników w amerykańskim Kongresie, którzy transakcję nazywali „szaleństwem Sewarda”. Po latach wiadomo, że był to jeden z lepszych interesów na międzypaństwowym rynku nieruchomości, a Alaska – uznana w 1959 r. za 49. stan USA – odgrywa nie tylko rolę strategiczną, lecz także jest istotnym źródłem ważnych surowców, m.in. ropy, gazu ziemnego, złota, platyny, rudy miedzi, cyny, niklu i uranu, których wartość szacuje się na ponad 200 mld dol.

To oczywiście nie pierwsza tego typu transakcja. Ogromna część obecnego terytorium Stanów Zjednoczonych

pochodzi właśnie z zakupów: w roku 1803 za 15 mln dol. (340 mln dzisiejszych dolarów) Amerykanie kupili od Francji tereny o łącznej powierzchni 2,14 mln km kw. W wyniku transakcji określanej jako „zakup Luizjany” Amerykanie niemal podwoili powierzchnię swego kraju. W pierwszej połowie XIX w. 11. prezydent USA James Polk chciał powiększyć terytorium USA o Teksas, Nowy Meksyk oraz Kalifornię. Oferował za nie Meksykowi 30 mln dol. Rozmowy przeistoczyły się jednak w wojnę amerykańsko-meksykańską. W roku 1847 całe sporne terytorium znalazło się pod kontrolą amerykańskiej armii, a rok później prezydent Polk wypłacił za nie Meksykowi 15 mln dol. (czyli po uwzględnieniu inflacji 487 mln dol.).

Do idei zakupu Grenlandii powrócili w 1946 r. członkowie administracji demokratycznego prezydenta Harry’ego Trumana. Pomyślano o rozważaniu na tyle poważnie, że w lutym 1946 r. Instytut Gallupa zapytał Amerykanów, co o nim sądzą. 33 proc. ankietowanych chciało, aby USA kupiły Grenlandię, ale 38 proc.

powiedziało „nie”. Do transakcji ostatecznie nie doszło, jednak Amerykanie – na mocy porozumienia z Danią z 1951 r. – stworzyli na Grenlandii dużą bazę wojskową Thule Air Base, najbardziej wysuniętą na północ amerykańską instalację wojskową. W czasach zimnej wojny głęboko pod lodem zbudowali też niewidoczną dla samolotów szpiegowskich Camp Century – w teorii „ośrodek naukowy”, w praktyce ściśle tajna baza, służąca do instalacji podziemnych wyrzutni rakiet dalekiego zasięgu uzbrojonych w głowice nuklearne.

I chociaż teraz większość duńskich polityków na pytanie o sprzedaż wyspy puka się w głowę, to przecież w roku 1917 Dania sprzedała za 25 mln ówczesnych dolarów w złocie Stanom Zjednoczonym trzy większe wyspy oraz kilkadziesiąt mniejszych w basenie Morza Karaibskiego, które od tamtego czasu noszą nazwę Wysp Dziewiczych Stanów Zjednoczonych.

Zakup Grenlandii – jej cena mogłaby przekraczać nawet 10 bln dol. – sprawiłby, że Donald Trump zapisałby się na kartach historii jako jeden z tych prezydentów, którzy znacząco powiększyli terytorium Stanów Zjednoczonych i zapewnili Ameryce dostęp do bogatych złóż surowców. Jeśli jednak nawet Trumpowi nie uda się zawrzeć transakcji zakupu Grenlandii, to i tak może osiągnąć swój cel. Rozmowy z władzami Danii – do których prędzej czy później dojdzie – mogą bowiem doprowadzić do zwiększenia strategicznej obecności Stanów Zjednoczonej na tej ważnej z punktu widzenia geopolityki wyspie. Dzięki temu Amerykanie mogą zabezpieczyć swoje interesy, zanim ubiegną ich Chińczycy czy Rosjanie, którzy coraz mocniej rozpychają się w tym rejonie, na dużą skalę militaryzują Arktykę i mogą próbować zdominować nowe szlaki żeglugowe, które w okolicach Grenlandii mają powstać dzięki ociepleniu klimatu. Zmiany klimatu mogą nie tylko utworzyć Polarny Jedwabny Szlak, ale też znacząco ułatwić dotarcie do surowców – tylko obecnego lata naukowcy z NASA odnotowali dwa największe topnienia w historii wyspy.

HONGKONG: „REWOLUCJA NASZYCH CZASÓW”

W XXI w. na transakcję kupna-sprzedaży wyspy mogliby nie zgodzić się mieszkańcy Grenlandii, a w dzisiejszych



Gigantyczne protesty na ulicach Hongkongu trwają od kwietnia
FOT. CHRIS MCGRATH/GETTY IMAGES

■ czasach trudno by ich sprzedać – nawet takiemu mocarstwu jak Ameryka – bez zorganizowania referendum.

Takiej szansy nie mieli przed laty mieszkańcy Hongkongu. Do niedawna jednej z ostatnich na świecie kolonii, której stosunkowo niewielki obszar od 1841 r. był okupowany przez Wielką Brytanię, a w 1898 r. – w wyniku wybuchu drugiej wojny opiumowej – na 99 lat został wydzierzawiony Brytyjczykom. Przez dekady Hongkong był kulturalnym, a zwłaszcza gospodarczym pomostem między Zachodem a komunistycznymi Chinami. Gdy więc zbliżał się rok 1997 – kiedy Hongkong zgodnie z umową powrócił do Chin – władze w Londynie na poważnie rozważały, czy da się przenieść 5,5 mln mieszkańców Hongkongu do Irlandii Północnej. Z dokumentów odtajnionych przez brytyjskie Archiwa Państwowe dopiero w roku 2015 wynika, że mieszkańcy azjatyckiej metropolii mieli uratować borykającą się z poważnymi problemami gospodarkę Zjednoczonego Królestwa.

„Irlandzki Hongkong” miał powstać między Coleraine i Derry w hrabstwie Londonderry. Planu ostatecznie jednak nie zrealizowano, a władze w Pekinie zobowiązały się do 2047 r. pozostawić lokalnym władzom dużą autonomię, która formalnie obejmuje niemal wszystkie aspekty życia poza polityką zagraniczną i kwestiami wojskowymi. W 2017 r. Pekin – wbrew stanowisku Londynu – uznał tę deklarację za „historyczny dokument bez znaczenia praktycznego”. W praktyce zaś autonomia Hongkongu – realizowana

zgodnie z zasadą „jeden kraj, dwa systemy” – jest jednak coraz mniejsza.

Trwające od kwietnia gigantyczne protesty w Hongkongu wybuchły po wprowadzeniu pod obrady nowych przepisów, które ułatwiają ekstradycję do Chin kontynentalnych. Według lokalnych mieszkańców przyjęcie przepisów pod naciskiem władz w Pekinie jest niedopuszczalne i zagraża dalszej autonomii Specjalnego Regionu Administracyjnego Hongkong. Na ulice tydzień po tygodniu wychodzą rzesze mieszkańców, którzy żądają wycofania ustawy o ekstradycji, zachowania autonomii Hongkongu i przeprowadzenia w pełni demokratycznych wyborów. Lokalne władze wstrzymały więc prace nad kontrowersyjnym projektem, ale nie wycofały się z pomysłu – czego żądają demonstranci.

Gubernator Hongkongu Carrie Lam ostrzegła mieszkańców, że demonstracje w potężny sposób odbijają się na lokalnej gospodarce. Nie udzieliła jednak odpowiedzi na pytanie dziennikarzy, czy ma wystarczającą autonomię, aby ostatecznie pogrzebać projekt, od którego zaczęły się protesty.

Chiński rząd próbuje więc stłumić bunt, którego skala zaskoczyła władze. Już w połowie lipca na ulicach zaczęły pojawiać się „niezidentyfikowane bojówki” brutalnie rozprawiające się z demonstrantami, którzy w takich przypadkach nie mogą liczyć na obronę przez policję.

Jednocześnie władze w Pekinie wykupują sponsorowane posty na Twitterze, w których przekonują, że protesty źle wpływają na społeczeństwo i że więk-

szość mieszkańców jest przeciwna protestom i oczekuje pilnego przywrócenia porządku na ulicach. W mediach społecznościowych likwidowanych są też tysiące fałszywych kont, które pokojowych demonstrantów porównywały m.in. do terrorystów z Państwa Islamskiego.

Prezydent Donald Trump przestrzegł Chiny, aby nie doprowadziły do powtórki z masakry na placu Tiananmen. Wykorzystywanie do walki z protestującymi oficerów chińskiej bezpieki przebranych za demonstrantów, użycie gazu łzawiącego wewnątrz stacji metra, a także strzelanie do protestujących gumowymi kulami z bliskiej odległości – co rodzi ryzyko śmierci lub poważnych obrażeń – pokazuje jednak, że sytuacja może się w najbliższym czasie niebezpiecznie zaostriżyć – władze w Pekinie najwyraźniej podjęły bowiem decyzję, że bunt musi zostać stłumiony najpóźniej na początku września. 1 października przypada bowiem 70. rocznica proklamacji ChRL i władze w Pekinie nie będą chciały, aby uwagę świata rozpraszały wówczas jakiegokolwiek protesty.

Propekiński poseł hongkońskiego parlamentu Michael Tien ostrzegł, że rząd centralny Chin może wysłać oddziały Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej do Hongkongu – np. na prośbę Carrie Lam, zwolenniczki bliskiej integracji Hongkongu i kontynentalnych Chin, która od lipca 2017 r. jest szefową administracji Hongkongu. Władze w Pekinie zgromadziły już na granicy odpowiednie siły. Nietypowe „zatrzymanie administracyjne” przez Chińczyków pracownika brytyjskiego konsulatu, który służbowo wyjechał do Chin kontynentalnych i niespodziewanie „zaginął”, to zaś jasny sygnał, mający odstraszyć „obce siły” od wtrącania się w „wewnętrzne sprawy Chin”. Starcie dwóch światów wydaje się nieuniknione. Przyzwyczajeni do demokratycznych swobód mieszkańcy bogatego Hongkongu nie chcą żyć w autorytarnym świecie, a przyzwyczajeni do autorytarnych władz, dużo biedniejsi Chińczycy z kontynentu nie potrafią tego zrozumieć. Ci pierwsi, niestety, już wkrótce nie będą mieli zapewne zbyt dużo do powiedzenia. Buntownicy nie mają bowiem liderów, którzy mogliby prowadzić negocjacje, a przywódcy nowych wielkich Chin zbyt dobrze znają historię własnego kraju, aby zaryzykować wybuch kolejnej wielkiej rebelii.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



**polski
produkt**

**IV EDYCJA
KONKURSU**

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL



PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER GŁÓWNY



PARTNER



PARTNER GALI





Jakub Wozinski

Odyseja statku z 147 migrantami pragnącymi dostać się na terytorium Włoch obnażyła hipokryzję środowisk, które najgłośniej wspierają szerokie otwieranie europejskich granic

Na początku sierpnia statek należący do hiszpańskiej organizacji pozarządowej Proactiva Open Arms zabrał u wybrzeży Libii na pokład grupę rozbitków. Według jej przedstawicieli dokonano tego na obszarze wód międzynarodowych, choć coraz więcej wskazuje na to, że stało się to w jednym z libijskich portów. Hiszpanie, którzy od wielu lat zajmują się transportem imigrantów do krajów Europy Zachodniej i zdążyli już nawet zostać objęci zakazem prowadzenia działalności, od samego początku przekonywali, że mają na pokładzie swojego statku osoby dotknięte prawdziwą tragedią. Jak jednak można było zauważyć na filmach i zdjęciach zamieszczonych przez Open Arms w mediach społecznościowych, pasażerami statku byli w większości młodzi mężczyźni, którzy nie wyglądali na wycieńczonych ani tym bardziej na załamanych psychicznie.

KIERUNEK WŁOCHY

Początkowo statek popłynął w kierunku Malty, lecz tamtejsze władze zdecydowanie odmówiły przyjęcia migrantów. Wtedy jednostka ruszyła w kierunku włoskiej wyspy Lampedusa, stanowiącej od lat główny cel nielegalnego przelotu ludności na terytorium Włoch. To właśnie na leżącą na południe od Sycylii wyspę wybrał się ze swoją pierwszą podróżą po wyborze na urząd papież Franciszek, który publicznie błagał o przebaczenie za powszechną obojętność wobec losu imigrantów. Chociaż przedstawiciele Open Arms wysłali wcześniej maila do włoskich władz z prośbą o wpuszczenie do portu i otrzymaniu odmowną odpowiedź, statek zarzucił kotwicę u brzegów Lampedusy, cierpliwie czekając, aż całe Włochy rozgorzeją od wielkiego sporu.

Prowadząc od kilkunastu miesięcy konsekwentne działania na rzecz po-



wstrzymania napływu migrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu, wicepremier Matteo Salvini doprowadził kilka tygodni temu do uchwalenia specjalnego prawa umożliwiającego odmowę wpuszczenia na teren Włoch osób, które korzystały z przepisów nakazujących przyjmowanie rozbitków ze statków ratunkowych. Szajki trudniące się nielegalnym przemytem od dawna wykorzystywały tę lukę, aby zmaksymalizować zyski. Staraniem Salviniego władzom nadano możliwość nie tylko odmowy wpuszczenia na wody terytorialne, lecz także konfiskaty danego statku lub nawet ukarania grzywną w przypadku niezastosowania się do decyzji.

Obecność hiszpańskiego statku z migrantami dziwnym trafem zbiegła się z kryzysem we włoskiej polityce, związanym z rozpadem rządzącej koalicji. Wspomniany już lider Ligi Północnej od pewnego czasu dąży do przedterminowych wyborów, które mogłyby zapewnić mu nawet samodzielne rządy. Zamiast tego Salvini musiał zmierzyć się ze

zmasowanym atakiem opozycji, mediów, polityków obcych państw oraz celebrytów. Czołówki serwisów informacyjnych, gazet oraz portali internetowych obieżyły wykonane na Lampedusie zdjęcia przedstawiające statek z migrantami na tle plaż wypełnionych korzystającymi z ich uroków wczasowiczami. Publicyści prześcigali się w tkliwych komentarzach wskazujących jednocześnie na kompletny brak empatii włoskiego wicepremiera.

CELEBRYTA I KOALICJANCI

W całą sprawę zaangażował się osobiście nawet słynny hollywoodzki aktor Richard Gere, który wybrał się na statek Open Arms z zapasem najbardziej potrzebnych rzeczy. Nagrał także film, na którym jednoznacznie stanął po stronie migrantów, wzywając włoskie władze do wpuszczenia ich na swoje terytorium. Atak na wicepremiera Salviniiego przypuścili także jego (jeszcze wówczas) koalicijni partnerzy z Ruchu Pięciu Gwiazd, którzy wcześniej popierali antyimigracyjne środki, aby nagle stwierdzić, że po-



FOT. SALVATORE CAVALLI/AP/EAST NEWS

bitkowie mieli być na skraju wyczerpania fizycznego i załamania psychicznego, nie skierowali się w stronę żadnego północnoafrykańskiego portu, zdradzając tym samym faktyczny cel swojej podróży.

ANATOMIA MANIPULACJI

Ostatecznie odyseja statku zakończyła się 20 dni po wyruszeniu z Libii. Prokuratura w Agrigento na Sycylii wydała nakaz ewakuacji całej załogi statku i przetransportowania jej na Lampedusę. W drodze po pasażerów był już nawet okręt hiszpańskiej marynarki wojennej, lecz nie zdążył przed włoskimi służbami. Na miejscu statek Open Arms witali oklaskami lewicowi aktywiści.

Przedstawiciele hiszpańskiej organizacji po decyzji włoskiej prokuratury stwierdzili, że skończył się koszmar. Jeżeli jednak w całej sytuacji cokolwiek zasługuje na miano kosmaru, to z pewnością zachowanie Open Arms, które stanowiło jedną wielką manipulację. Biorąc na pokład pseudorozbitków, którzy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zapłacili za transport sporą sumę pieniędzy, Hiszpanie wzięli udział w medialnym spektaklu wymierzonym w polityka, który jako jeden z niewielu miał odwagę postawić tamę niekontrolowanemu napływowi migrantów. Uparte trzymanie się Włoch jako celu podróży statku organizacji Open Arms pozwala sądzić, że faktycznym zamiarem całej operacji było przeprowadzenie ataku na Matteo Salvinię w kluczowym dla niego okresie, w którym planował przeprowadzenie przedterminowych wyborów mogących przynieść mu nawet samodzielne rządy.

Przypadek statku Open Arms ukazał w niezwykle klarowny sposób ogrom zakłamania, jaki towarzyszy kwestii przyjmowania migrantów na Stary Kontynent. W całym spektaklu główne role odgrywają celebryci, chcący zdobyć poklask swoimi „humanitarnymi” działaniami, politycy, którzy cynicznie wykorzystują całą sytuację do walki o władzę, i wreszcie potężne media, które zamiast uczciwie relacjonować dokonującą się manipulację, szczują przeciwko zwoleńnikom kontrolowanej migracji. Do odegrania ckiego dramatu wystarczą zaledwie jeden statek, który w krótkim czasie zawłaszcza dla siebie spory wycinek przestrzeni medialnej i w efekcie potrafi wpłynąć nawet na losy włoskiego rządu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

sunął się za daleko. Cała sprawa nabrała zupełnie nowej dynamiki w momencie, gdy na wniosek Open Arms Sąd Administracyjny uchylił decyzję ministra spraw wewnętrznych o odmowie wpuszczenia statku do portu. Salvini wydał nowe rozporządzenie, które tym razem zostało zablokowane przez reprezentującą Ruch Pięciu Gwiazd minister obrony Elisabetta Trenta. Swoją decyzję uzasadniła tym, że działała „w imię ludzkości”, choć prawdziwym motywem jej działania była zapewne chęć zaszkodzenia Salviniemu, który w międzyczasie zerwał koalicję.

Przedłużający się spór administracyjny sprawił, że lider Ligi Północnej zgodził się ostatecznie na to, aby na znajdujący się u wybrzeży Lampedusy statek wybraли się lekarze. Zdaniem przedstawicieli Open Arms „zdrowie fizyczne i psychiczne pasażerów pogorszyło się do krytycznego poziomu” i wymagało natychmiastowej pomocy specjalistów. Dodatkowo zaapelowano o ewakuację przynajmniej 27 nieletnich osób znajdujących się na statku. W raporcie lekarskim, który

wyciekł do prasy, nie stwierdzono jednak żadnego przypadku krytycznego stanu zdrowia ani tym bardziej niepokojących warunków higienicznych. Jedyną chorobą, którą miał napotkać na pokładzie statku lekarz, był świerzb. Przybyli na pokład włoscy funkcjonariusze stwierdzili ponadto, że z 27 osób wskazywanych jako nieletnie osiem przyznało się do pełnoletniości. Za sprawą specjalnej interwencji premiera Giuseppe Contego pozostałe 19 osób zostało warunkowo przetransportowanych na ląd.

Na tym skończyły się jednak ustępstwa ze strony Salvinięgo. Załoga statku zrozumiała, że osiągnęła już wszystko, co mogła, i musiała szukać innego celu podróży. Wtedy właśnie pojawiła się oferta ze strony Hiszpanii, która zgodziła się przyjąć część migrantów, jeśli tylko pozostali zostaną wpuszczeni przez inne europejskie kraje. Przedstawiciele Open Arms odpowiedzieli wtedy, że siedem dni żeglugi w stronę hiszpańskiego brzegu przekracza ich możliwości i nie dadzą rady dopłynąć. Chociaż wyłowieni rzekomo u wybrzeży Libii roz-



Między wiedźmą a szamanem



Gabriel Michalik

Równy sto lat temu na rozkaz Włodzimierza Lenina kilku proletariuszy wdrapało się na tympanon rotundy Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego. Strącili napis „Światło Chrystusa świeci dla wszystkich”, jako wprowadzający w błąd i zawiesili nową inskrypcję: „Nauka pracującym!”. I tak się to wszystko zaczęło

W jeden z wiosennych dni bieżącego roku w sali rozpraw sądu miejskiego w Kazaniu sędzia Erik Habibullin próbował wymierzyć sprawiedliwość Sergiejowi Żurawlewowi, domniemanemu członkowi szajki wyłudzałczej od ludności zaliczki na poczet sprzedaży nieistniejących samochodów. Oskarżony i prokurator zajęli swoje miejsca, sędzia zasiadł za stołem. Nagle, ponad bzyczenie much i szmer ściszonych rozmów sądowego korytarza, wzniósł się

straszliwy głos woźnego: – Znalazłem ją, wysoki sędzie! Pod drzwiami stała. Kłątwe rzuciła, wysoki sędzie! Kłątwe!

Sędzia zbłądł i odroczył rozprawę. W konsekwencji przed sądem miejskim w Kazaniu rozpoczął się pierwszy od stuleci autentyczny proces o czary. Oskarżona: Alfija Żurawlewa, żona Sergieja.

* * *

U progu lat 90. uwagę Jurija Lotmana, twórcy tartusko-moskiewskiej szkoły

semiotyki, zwróciła zaskakująca koincydencja. Analizując dzieje idei w Rosji i w Europie, zauważył, że w okresach wzrostu znaczenia nauk przyrodniczych – w dobie renesansu, oświecenia, supremacji światopoglądu materialistycznego – w takt spadku religijności wzrastała obawa przed gusłami. Prawdziwy rozkwit procesów o czary nie przypadł bowiem na kojarzone z ciemnotą i zabobonem wieki średnie, ale właśnie na te okresy w historii, które przyjęto wiązać z triumfem rozumu. Dokonywano wielkich odkryć naukowych i geograficznych, formułowano podstawy współczesnej nauki, a jednocześnie, nierzadko z udziałem samych luminarzy nauki, palono na stosach wiedźmy.

Zdaniem Lotmana opisane zjawisko nie wynikało li tylko z ciasnoty horyzontów elit, które procesom o czary sprzyjały, ale z rozpowszechnienia w omawianych okresach wierzeń i praktyk o charakterze okultystycznym. Pośrednim dowodem na trafność tej obserwacji mają być nakłady



Spotkanie rosyjskich czarownic, podczas którego wykonały rytuał mający przekazać mistyczną energię prezydentowi Władimirowi Putinowi
FOT. THE MOSCOW TIMES

się w nim efektów 70 lat trwającej walki komunistycznego państwa z Cerkwią i atmosfery kolejnych lat, gdy Cerkiew odzyskała wprawdzie społeczne znaczenie, lecz nie jako duchowa wspólnota, ale jeden z departamentów autorytarnej władzy politycznej.

* * *

– Na cmentarzu Dońskim złapią, ale na Wagańkowskim za dnia się schowasz, a nocą wyślizniesz przez dziurę w płocie – instruują się wiedźmy (lub kandydatki na nie) na portalu superprivorot.ru. Samo słowo privorot (приворот) oznacza rytuał magiczny, za pomocą którego można wpłynąć na los, stan zdrowia, a choćby tylko na samopoczucie i myśli drugiego człowieka. Do wielu z nich potrzebna jest ziemia ze świeżego grobu, inne nakazują pogrzebać jakąś część garderoby ofiary czarów, zabić zwierzę i wylać na mogiłę krew, wywołać ducha nieboszczyka noszącego to samo imię co ofiara itd., itp. W każdym razie cmentarz odgrywa w wiedźmich rytuałach ważną rolę, czarownice chadzą po nekropoliach równie chętnie jak wędkarz nad rzeczkę, z czego, ku niewygodzie wiedźm, zdają sobie sprawę zarządy cmentarzy i nocami wysyłają między groby patrole agencji ochroniarskich. Wyłapanie wiedźmy karze się – z braku lepszych paragrafów – za zakłócanie ciszy nocnej.

Privorotów są tysiące, jeśli nie setki tysięcy; stron internetowych i wydawnictw im poświęconych zapewne więcej niż serwisów o życiu celebrytów, choć nikt nigdy nie zadał sobie trudu oszacowania rosyjskiej sieci WWW pod tym kątem. Wymieniają się więc Rosjanki (rzadziej Rosjanie) rytuałami służącymi sprowadzeniu na ofiarę przyszczy i takimi, które mają zabić. Są rytuały powodujące impotencję i te wymagające męskie siły (niejako pomiędzy tymi kategoriami pozostaje rytuał wywołujący trwałą, bolesną erekcję); jest rytuał, który skieruje na wiedźmę lub jej klientkę pożądliwe zainteresowanie przedstawicieli płci przeciwnej, i taki, który do jej ofiary zniechęci nawet zdesperowanego erotomana. Jest rytuał służący znalezieniu dobrze płatnej posady i taki, który przeciwdziała nieświeżemu oddechowi (jest oczywiście też taki, który na wybraną ofiarę sprowadza przekleństwo nieznosnego zapachu z ust). Czarami można rzekomo sprowadzić (lub pokonać) bezpłodność, afazję, amnezję, ból głowy, wrzód

podudzia, szczęście w grach liczbowych, alkoholizm, wstręt do wódki, zatrucie pokarmowe, wypadek drogowy, opamiętanie się syna narkomana i nagły zgon świnki morskiej. Uwagę badaczy kultury zwraca płynność, z którą w treść nierzadko bardzo starych zaklęć, składających się z leksyki już dawno anachronicznej, wplata się słowa i realia doby społeczeństwa informacyjnego. Opisywana na kartach powieści Władimira Sorokina postnowoczesna Rosja niedalekiej przyszłości, w której po próbach zbudowania utopijnego społeczeństwa doszło do radykalnego kulturowego regresu, stała się faktem.

Na tle bogactwa możliwości, które czary dają w sprawach również najpowszedniejszych, zastanawia, dlaczego w ogóle jeszcze Rosjankom (podkreślimy, że czary są przede wszystkim domeną rosyjskich pań) chce się robić cokolwiek w sposób niezarodziejski.

Psychologowie społeczni renesans czarów powiążą z dojmującym poczuciem braku sprawczości. Nazwą je rozpaczliwą bronią słabych przeciwko silnym, zwrócą uwagę na to, że sowieckie kampanie edukacyjne prowadzone pod hasłem „Nauka pracującym”, nawet wtedy gdy dostarczały mniej lub bardziej powierzchowną wiedzę, a nie komunistyczną propagandę, wdrażały światopogląd naukowy, nie zaś umijętność krytycznego (naukowego) myślenia. Jakże po takiej obróbce umysłowej miałyby się nie mnożyć przeświadczenia magiczne?

A wiedźmy się komercjalizują, otwierają sklepy ezoteryczne, gdzie kupić można kota odznaczającego się właściwościami parapsychicznymi, zioła zbierane o północy czy (spod lady) ową reglamentowaną ziemię cmentarną, a także skorzystać z usług wiedźmy: wyleczenie z alkoholizmu – 50 tys. rubli, znalezienie drugiej połówki (cennik firmy z Niżniego Nowogrodu nie wyjaśnia, o jakiego rodzaju połówkę chodzi) – 100 tys., kontrola aury – abonament od 2 tys. rubli miesięcznie. Dreszcze wywołują reklamy zabiegów „medycznych”. W kantorkach wiedźm można np. kupić „święte gwoździe kowalskie”, przeznaczone do wbijania w zaatakowane chorobą organy (cena za sztukę do samodzielnego wbicia – 500 rubli; wbicie na miejscu przez „terapeutę” odpowiednio drożej, w zależności od charakteru schorzenia). Głośny stał się niedawno przypadek niejakej Eleny Dzik z Chabarowska, która wyrywała pacjentom paznokcie

najpopularniejszych dzieł z zakresu okultyzmu. I tak, o ile w całym XVI w. sprzedano wcale niemało, bo ok. 50 tys. egzemplarzy, dominikańskiego traktatu „Młot na czarownice”, o tyle nakład jednego tylko wielotomowego podręcznika satanizmu sześciokrotnie przekraczał tę liczbę. A działo się to w czasach, gdy umiejętność czytania, w tym czytania głupot, nie osiągnęła jeszcze dzisiejszego, niepokojącego poziomu masowości; książki były drogie i przy jednej z nich gromadziło się zapewne całe stadko kandydatek na wiedźmy.

Mówiąc krótko, Lotman przekonuje, że nie sądzono czarownic z powodu obskurantyzmu inkwizycji, ale z powodu gigantycznego rozpowszechnienia czarnoksiężskich praktyk, któremu sprzyjał upadek autorytetu Kościoła i samego Boga, nadwerżonego postępową nauką. Czarownice czarowały, społeczeństwo czarów się bało i broniło się przed nimi, jak umiało. Gdy zatem popatrzeć na przypadek Alfii Żurawlewej przez okulary tartuskiego semiotyka, można dopatrzeć

■ u nóg, stosując ten zabieg jako niezawodne remedium na cukrzycę. Rezonans był jednak efektem nie tyle oryginalności procedury, ile ujawnionej przez konkurentów przeszłości pani Dzik, chcących ją zdyskredytować: skazania za umyślne zabójstwo.

Co tam sklepy, znachorzy i drobny biznes! Rekordy popularności od lat biją telewizyjne programy poświęcone okultyzmowi z „Bitwą ekstrasensów” na czele, w której siłą rzucanych czarów czy trafnością jasnowidzenia rywalizują ze sobą najznamienitsze postaci strefy mroku. W medialnej przestrzeni, w której nie ma prawa zaistnieć słowo krytyki pod adresem prezydenta Putina czy metropolity Cyryla, w najlepsze funkcjonuje sobie na prawach obrazu rzeczywistości paradygmat magiczny, a bloki reklamowe towarzyszące odnośnym audycjom należą do najdroższych.

Inaczej niż w historycznych przykładach podawanych przez Jurija Lotmana elita nie wypowiedziała wojny okultyzmowi, ale przeciwnie, wypycha sobie kieszenie pieniędzmi z magicznego biznesu.

* * *

Tak jak przed wiekami, gdy chrześcijaństwo absorboowało formy pogańskich kultów, napełniając utrwalone wiekami ramy nową treścią, tak i teraz demonologiczny świat Rosji karmi się eklektycznym koktajlem nazw, znaków i symboli. Dla przykładu: w kulturze gopników (lumpenproletariackiej młodzieży rosyjskich miast) karierę robi demon Abaddon, postać występująca zarówno w wierzeniach żydowskich (w tym ujęciu jest to nazwa najgłębszego miejsca w piekle, rzadziej imię spersonifikowanej śmierci), jak i w tradycji chrześcijańskiej, począwszy od Apokalipsy św. Jana, gdzie imię Abaddon nosi anioł śmierci, aż w końcu do „Mistrza i Małgorzaty” Bułhakowa (jako Abaddon). Abaddon z artefaktów kultury masowej, z graffiti i z cmentarnych rytuałów nastolatków nie jest jednak krewnym literackiego pierwowzoru, o którym jego wyznawcy raczej nie mają pojęcia, ale ucieleśnieniem sił, z których chciałoby się skorzystać w podboju świata lub chociażby podwórka czy osiedlowej dyskoteki; motywowemu tatuaży, pieśni i pijackich ryków. Dla porządku dodajmy, że w tych samych kręgach zasłużoną popularnością cieszą się archanioł Gabriel oraz jego dawny kolega Belzebub.

W obrazie świata przeplatają się na równych prawach anioły i demony; a imiona i moce znane z Biblii, Tory i Koranu dzielą miejsce z postaciami rodem z wierzeń ludów rosyjskiej Północy i z kart literatury fantasy. Odsetek Rosjan, którym bliskie jest myślenie magiczne, nie zmienia się od lat, choć dają się zauważyć przepływy pomiędzy grupą ortodoksyjnie wierzących w moc zaklęć a tymi, którzy do tej wiary przekonanie mają jedynie częściowe (po około jednej trzeciej populacji). Cykliczne badania opinii społecznej pozwalają podejrzewać, że osłabieniu wiary w gusła, a zatem wzmocnieniu liczebności grupy niezdecydowanych, posłużyła na krótką metę zwycięska retoryka Kremla po aneksji Krymu. Uwierzono w moc Kremla, a wzmoczenie nacjonalistyczne osłabiło potrzebę poszukiwania poczucia sprawczości w kooperacji z siłami nadprzyrodzonymi. Niemniej jednak odsetek osób sceptycznych wobec magii utrzymuje się od lat na podobnym poziomie: w czary nie wierzy duża, ale jednak wciąż mniejszość Rosjan, ok. 40 proc.

* * *

Do grupy sceptyków z całą pewnością zaliczyć można prezydenta Władimira Putina. O ile w czasach Jelcyna z Kremla wręcz nie wychodzili parapsychologowie, astrologowie, wróżki i wszelkiego autoramentu czarnoksiężnicy, o tyle przez ostatnie 19 lat ich miejsce sukcesywnie zajmowali duchowni prawosławni, z ojcem Tichonem Szewkunowem, kierownikiem duchowym prezydenta, na czele.

To w jakim stopniu ojciec Tichon pozostaje wierny prawosławnej ortodoksji, jest przedmiotem dyskusji wśród teologów; duchownemu wytyka się bowiem deifikację prezydenta. W każdym razie porządek panujący na Kremlu obejmuje być może rywalizację między Bogiem a Putinem, ale do wąskiego kręgu bóstw nie dopuszcza się tam sił, do których apelują wiedźmy z cmentarza Wagańkowskiego i nastolatki z przedmieść Samary. I choć – jeśli wierzyć prasie plotkarskiej – znaczna część putinowskiego dworu chętnie (choć dyskretnie) korzysta z usług okultystów, to sam prezydent jest w tej mierze poza wszelkim podejrzeniem, stanowiąc zarazem dowód na nieskuteczność magicznych rytuałów. Trudno sobie bowiem wyobrazić, żeby przez wszystkie lata prezydentury Putina nie znalazła się choć jedna wiedźma, która rzuciłaby na niego urok. Prezydent jednak, jak to widać było

na niedawnej audyencji generalnej dla narodu, ma się jak pączek w maśle.

Być może do czasu... Światową prasę obiegła bowiem wiadomość, że z początkiem marca z Jakucji wyruszył pieszo do Moskwy niejaki Aleksandr Gabryszew, z wykształcenia historyk, z zawodu i z powołania szaman.

– Chrześcijański szaman! – precyzuje Gabryszew w rozmowie z Radiem Swoboda. – Jeśli mam jakąś moc, to jest to moc Chrystusa. Każdy człowiek ją ma.

Gabryszew ciągnie za sobą wózek z rozkładaną jurta i przenośnym piecykiem. Zatrzymuje się w mijanych po drodze wsiach i miastach. Z każdym dniem, niczym kula śniegowa, rośnie liczba entuzjastów jego peregrynacji. Samorządnie organizują się spotkania z Gabryszewem na placach miejskich; przechodnie na żywo relacjonują podróż. Szaman planuje dotrzeć do Moskwy w 2021 r. i... wypędzić z niej Putina.

– Demona wygnanie, a ludzie już się sami między sobą dogadają! – wyjaśnia. – Trzeba być kretynem, żeby w XXI w. zaplanować budowę imperium. Świat żyje współpracą między ludźmi, a nie propagandą militarnej siły.

Idea szamana jest prosta. Im bliżej Moskwy, tym więcej Rosjan przyłączy się do jego marszu. To ludzie, uważa, zbiorową ludzką mocą, a nie czarami czy zaklęciami, wypędzą Putina i zaprowadzą demokrację.

– Do Moskwy dotrę z całą armią – przewiduje szaman.

– A jeśli Putin nawet wtedy nie odejdzie?

– Cóż... Już sam fakt wspólnej drogi zjednoczy ludzi. To też ma swoją wartość. Jestem optymistą...

* * *

Niedoskonałość przepisów kodeksu karnego, a może nadmierne zainteresowanie mediów, które otwarcie dworowały sobie z przekłętą sędzią, sprawiły, że proces Alfii Żurawlewskiej zakończył się 16 maja wymierzeniem pod sądnej jedynie kary grzywny. I choć sędzia Habibullin nie krył w rozmowie z serwisem infopressa.com: „Ta profesjonalna wiedźma zaatakowała jego aurę”, to oficjalny powód skazania brzmiał: „Niepodporządkowanie się poleceniom woźnego sądowego”. Woźny bowiem miał wzywać Żurawlewą do poniesienia czarów. A ona go nie posłuchała.



CHLEBOWY SPOSÓB NETANJAHU

Premier Izraela przyjechał z oficjalną wizytą na Ukrainę. I od razu na lotnisku doszło do zgrzytu. Ukraińcy poczęstowali gościa i jego żonę tradycyjnym chlebem – korowajem. Benjamin Netanjahu oderwał kawałek i skosztował. Drugi kawałek podał żonie. A ta zamiast posmakować, rzuciła chleb na ziemię. Ukraińskie media uznały to za brak szacunku dla ich tradycji. Netanjahu w odpowiedzi uznał, że zachowanie jego żony było sposobem na zainteresowanie mediów tą wizytą.

FOT. DAVID MURPHY/PAF

UCHODŹCY NA WZDASACH

Uchodźcy przybywają do Europy, bo – jak sama nazwa wskazuje – muszą uchodzić z ojczyzny, gdzie coś im grozi. Tymczasem, jak ujawnił niemiecki tabloid, przybyli do Niemiec obcokrajowcy z Syrii masowo jeżdżą na urlopy do... Syrii. Są już nawet specjalne biura, które organizują im takie podróże. Niemiecki szef MSW zapowiedział już, że takim osobom będzie odbierany status uchodźcy.

MANDAT DLA PIĘCIOLATKI

W Szwajcarii pięcioletnia dziewczynka została ukarana za jazdę bez biletu komunikacją miejską w Szafuzie. Dzieci w tym wieku mogą jeździć za darmo, ale wtedy, gdy są pod opieką kogoś, kto ma co najmniej 12 lat. A mała jechała z 10-letnią siostrą. Kontrolerzy nie mieli litości. Tak samo nieczuli okazali się kontrolerzy w Neapolu, gdy złapali w autobusie 28-latkę. Wsiadła do niego, bo jechał w stronę szpitala, a ona zaczęła rodzić. Dostała nie tylko mandat w wysokości 71 euro, lecz także wysadzono i musiała na porodówkę dojść na piechotę.

REJS DMUCHANYM MATERACEM

28-letni Włoch odpoczywał na plaży w Scilli na Kalabrii. Pływał przy brzegu na materacu. W końcu zasnął. Jego koledzy w pewnym momencie zorientowali się, że nie widzą go na wodzie. Wszczęto alarm. Do akcji ruszyły śmigłowce policji i straży przybrzeżnej. Po dziewięciu godzinach poszukiwań odnaleziono go dryfującego w okolicach Mesyny. Okazało się, że nieświadomie przepłynął na drugi brzeg cieśniny.

40 KG PIASKU NA PAMIĄTKĘ

Para turystów z Francji wypoczywała na Sardynii. Gdy zbierali się do domu, postanowili zabrać ze sobą trochę wakacyjnego uroku – napchali do bagażnika samochodu 14 plastikowych butelek wypełnionych białym piaskiem z plaży. W sumie wieźli 40 kg. Piasek w samochodzie znaleźli funkcjonariusze włoskiej Gwardii Finansowej podczas kontroli przed wjazdem na prom. Turycy usłyszeli zarzuty kradzieży. Grozi im do sześciu lat więzienia. ©

Łukasz Zboralski



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Nazwiska bez znaczenia

Klaudia Jachira – koszmarnie zmanierowana autorka atakujących PiS filmików i internetowych gagów, które inne kompetencje i zdolności pozostają nieznane – na listach Koalicji Obywatelskiej w Warszawie jest całkiem zabawnym epizodem. Nie ma jednak żadnego znaczenia. Ani rządzącym nie zaszkodzi, ani nie pomoże; ani nie pomoże KO, ani jej nie zaszkodzi. Prawdę mówiąc, skład list, którym tak chwala się obie strony, nie ma większego znaczenia. To tylko teatralne puszenie piór, które

w momencie głosowania niczego nie zmienia.

W atmosferze maksymalnej polaryzacji, przy ordynacji proporcjonalnej, wyborcy nie szukają nazwisk, tylko sztandarów. Tym bardziej że – jak już dawno pokazywał dr Jarosław Flis – rywalizują ze sobą głównie osoby z tych samych list, a nie z list konkurencyjnych. Największym wrogiem jest kolega z tej samej partii, który może odebrać miejsce. Wyborcy zaś w większości przypadków nie głosują na konkretne nazwisko, tylko na nazwę partii. Umieszczanie wśród

kandydatów znanych nazwisk nie wynika z tego, że to tacy świetni kandydaci, ale z tego, że wyborca ma mieć natychmiastowe skojarzenie: nazwisko równa się dana partia. I tyle.

Dlatego jedyne prawdziwe i ciekawe pojedynki rozegrają się w jednomandatowych okręgach wyborczych do Senatu. Tam, gdy opozycja ustali po jednym kandydacie na okręg, będziemy mieć rzeczywistą rywalizację charyzmy, dorobku, zdolności retorycznych, siły przekonywania, a może – pomarzymy, bo czemu nie? – czasami nawet i kompetencji. Tak działają JOW-y. ©



Tomasz Teluk

Były bastion stalinowskiego i maoistycznego komunizmu, pierwsze państwo ateistyczne pod butem dyktatora Envera Hodży jest obecnie najmodniejszym kierunkiem turystycznym i jednym z najchętniej odwiedzanych przez Polaków krajów Bałkanów

Wszędobylskie bunkry i pachnące egzotyczną kuchnią tawerny. Luksusowe apartamentowce sąsiadujące ze skleconymi z blach i desek slumsami. Drogie samochody wyprzedzające dwukołowe zaprzęgi z mułem w roli głównej. Miasta, gdzie obok siebie wyrzeliwiają w niebo wieże kościołów i minaretów, z których słychać naprzemiennie bicie dzwonów i modlitwę muezina. Taka jest współczesna Albania – kraj wielu kontrastów i wciąż miejsce do odkrycia.

OSIĄGALNA ZAGRANICA

Po dziesięcioleciach faktycznego odcięcia od świata Albania szeroko otwiera się na świat. Dzisiaj jest członkiem NATO i szykuje się do budowy pierwszej bazy wojskowej sojuszu w regionie. Ongiś betonowy bastion komunistycznej dyktatury. Hodża jako jedyny nie tylko nie potępił Stalina, lecz także wystąpił przeciw odwilży w ZSRS. Następnie związał się z Chinami, ale i te potępił, gdy wstąpiły na drogę rynkowych reform.

Hodża miał swoją wizję kraju samodzielnego, gotowego stawić czoła wrogom. Tak jak legendarny Skanderbeg, obrońca chrześcijaństwa, który w XV w. przegnał Turków i zjednoczył kraj. Taktyka Hodży była prostsza – miał sprawować rząd dusz, rozpijanych rakiją, którą potrafi się pędzić niemal w każdym domu. W tym celu postanowił wytepić religię. Meczety i świątynie zrównano z ziemią, a duchownych dosłownie masakrowano.

Przypomina o tym Siedziba Świadców i Pamięci – muzeum ofiar komunistów w Szkodrze, drugim najważniejszym mieście kraju. Duchownych osadzano w ciasnych kilkumetrowych celach po 10 osób. Niemalże wszystkich torturowano. Wśród



FOT. ADRIAN STOLIK

Republika kontrastów

nich Marię Tuci, młodziutką franciszkańską postulantkę, którą wsadzono do wora z kotami. Zwierzęta zmasakrowały jej ciało, a siepacze ją dobili.

Papież Franciszek beatyfikował trzy lata temu 38 albańskich męczenników za wiarę. W tym gronie znalazł się także Polak – ks. Alfons Tracki z parafii św. Katarzyny w Bliszczycach. Zabytkową kaplicę w szkoderskim kościele Franciszkanów poświęconą temu wydarzeniu, wraz z ołtarzem i relikwiarzem, w którym spoczyły szczątki błogosławionych, zaprojektował z kolei polski malarz Kazimierz Frączek, który obecnie wraz z rodziną przebywa na misji w tym kraju, chętnie przybliżając odwiedzającym Szkodę historię albańskiej walki o wolność.

Już sama podróż do Albanii, zwłaszcza jeśli udajemy się tam samochodem, uruchamia pokłady socjalistycznej nostalgii. Na granicach celnicy trzepią auta, ile wlezie. Bez zatrzymywania i żadnych formalności przejeżdżają tylko rejsowe autobusy i luksusowe SUV-y. Zwykle jednak pogranicznicy odstępują od drobiazgowej kontroli za butelkę zimnej wody, coca-coli czy napoju energetycznego, o które sami proszą.

SZKODRA – BASTION KATOLIKÓW

Albania to kraj w 70 proc. pokryty górami, zamieszany przez ok. 3 mln ludzi. Większość to ateści, choć do islamu przyznaje się 40–60 proc. ludności. Około 10 proc. to katolicy, a 16 proc.

– prawosławni. Mimo że większość muzułmanów to sunnici, trudno spotkać konserwatywnego przedstawiciela tej religii na ulicy. Albańczycy, także kobiety, noszą się po europejsku. Kilka procent muzułmanów to bektaszyści – bardzo liberalny odłam islamu z elementami chrześcijaństwa, którego nie obowiązują ani szariat, ani dżihad, ani ramadan. Wahabici to rzadkość. Za pieniądze z Arabii Saudyjskiej buduje się meczety, a mężczyznom płaci się 200 euro za noszenie długiej brody.

Wjeżdżający od północy do Albanii z pewnością zawitają do Szkodry. Jest to miasto bardzo przychylne chrześcijanom, funkcjonują tu trzy parafie, a w nieodległej Lezhy, miejscu śmierci Skanderbega, znajduje się seminarium misyjne Redemptoris Mater.

Nad Szkodrą góruje twierdza Rozafa z wetkniętą w nią czerwoną flagą z czarnym dwugłowym orłem. Inną atrakcją miasta jest ogromne Jezioro Szkoderskie, którego dwie trzecie znajdują się w sąsiedniej Czarnogórze. Można w nim łowić ogromne karpie. W centrum znajdują się, obok katedry św. Szczepana, Wielki Meczety oraz niezliczona ilość sklepików i knajp.

Albańczycy to przedsiębiorczy naród. Liczba niewielkich biznesów imponuje. Najpopularniejszym jest „lavazh” – myjnia samochodowa, którą można spotkać dosłownie co 100 m. Auto można wypuścić za grosze, a dodatkowo je ochłodzić. Kolejne biznesy to oczywiście mechanik samochodowy i stacja benzynowa. Królują marki niemieckie, co charakterystyczne dla republik posoowieckich. Mentalnie Albania przypomina bardziej kraje bałtyckie niż np. północnoafrykańskie państwa arabskie. Przywykłych do śródziemnomorskich kurortów może odstraszać wszechobecny brud oraz żebrzące dzieci, ale po kilku dniach można się przyzwyczaić.

Urzeka egzotyczna natura – palmy, egzotyczne owoce i fauna. W ośrodku Caritas, gdzie się zatrzymaliśmy, potykaliśmy się o żółwie i gekony. Trzeba było uważać też na skorpiony. Na pobliskich lagunach żyją swobodnie stada flamingów i pelikanów.

Już na północy można spotkać liczne plaże i kurorty, w których dynamicznie rozwija się infrastruktura. Do dzikich miejsc można już dojechać utwardzonymi drogami, a w innych zastaniemy istny plac budowy. Na plaży w Shëngjin apartamentowce rosną jak grzyby po

deszczu. Zresztą jak wszędzie. Piasek ciemny, niesłuchanie gorący, ale woda jak na Adriatyk chłodnawa. Inwestorzy nie targują się, działki biorą jak leci. Potem tworzą się prowizoryczne parkingi i bary.

KURORTY ZA MAFIJNE PIENIĄDZE

Tak pierze pieniądze albańska mafia. Na albańskie wybrzeża płyną miliardy dolarów z handlu narkotykami, bronią, prostytutkami i hazardu.

Albańska mafia wyemancypowała się na początku lat 90. Gdy upadły piramidy finansowe, wybuchła wojna domowa. Ludzie ruszyli na wojskowe i policyjne posterunki, wynosząc spory arsenał (mówi się o 650 tys. sztuk rozmaitych rodzajów broni). Stworzenie przestępczych struktur ułatwiła też tradycyjna klanowa budowa społeczeństwa. W ciągu kolejnych 10 lat Albańczycy zdominowali rynek heroiny w Europie i prostytucji w wielu krajach Zachodu. Wzmocnili się też za oceanem. Jednak później rola Albani struchlała wyłącznie do pośrednictwa, handlu marihuaną (uprawianą na południu kraju i w okolicach Tirany) oraz oddawania przysług znacznie mocniejszym syndykatom z południa Włoch. Przede wszystkim kalabrijskiej 'Ndranghecie, która swą potęgę zbudowała na inwestycjach finansowych i gotówce z rozprowadzania kolumbijskiej kokainy w Europie.

Stolica państwa – Tirana – jest betonową dżunglą, spaloną słońcem, gdzie już w czerwcu upały mogą sięgać 40 st. C. Gdy postanawiamy zaparkować auto w okolicach uniwersytetu, nieoczekiwanie trafiamy na supernowoczesną knajpkę z zamontowanymi wiatrakami rozpylającymi chłodzącą mgiełkę. Tak nowoczesnego lokalu nie spotkałem w innych stolicach Europy. Ceny – umiarkowane. W Albanii można za kilka euro najeść się do syta. Spróbować ryb, owoców morza, baraniny. Napić się domowego wina, dobrej kawy czy rakii. Drogo zaczyna się robić tam, gdzie jadą wszyscy, czyli w kurortach na południu. Najpopularniejszą okolicą, gdzie zwykle rozpoczyna się przygodę z Albanią, jest Saranda. Leżące nieopodal greckiej wyspy Korfu wybrzeże cenowo zaczyna dryfować w obszary znane choćby z Chorwacji.

KANUN I GOŚCINNOŚĆ

Jeśli kogoś nie interesują kurorty, historia ani miejskie życie, to może udać

się w góry. Ze względu na słabą infrastrukturę konieczne jest posiadanie auta z napędem na cztery koła. Jest coraz więcej biur podróży, także tych prowadzonych przez Polaków, które oferują wypady w mało uczęszczane rejony kraju.

Tam, a także w mniejszych miejskich skupiskach mocno trzyma się egzekwowanie prawa zwyczajowego tzw. Kanunu. Najpopularniejszy jest XV-wieczny Kanun Leka Dukagjin, składający się z 12 ksiąg regulujących takie obszary życia, takie jak rodzina, małżeństwo, przysięga, własność czy honor.

Mimo że za zabójstwo motywowane zemstą grozi dziś 40 lat więzienia, szacuje się, że obecnie nawet 1,5 tys. rodzin chroni się przed wendetą. Jeszcze całkiem niedawno w jednej z górskich miejscowości ojciec zabił córkę, bo ta spóźniła się do domu trzy dni, hańbiąc całą rodzinę. W obronie ojca stanęły inne dzieci, tłumacząc, że faktycznie miał do tego prawo.

Kanun zakłada konieczność zemsty za wiele zachowań odbieranych jako zniewaga. Nie tylko chodzi o cudzołóstwo, zranienie czy bezpośrednią obrazę. Znieważać gospodarza można także, gdy będąc gościem, zdejmie się pokrywę z garnka stojącego na ogniu, zarzuca się mu kłamstwo, nie dotrzymuje słowa czy nie spłaca długu.

Jedynym miejscem, które chroni przed zemstą, jest dom, stąd pokaźna liczba członków rodzin funkcjonuje w faktycznym areszcie domowym w obawie, że dosięgnie ich ręka wrogów. Zemsta ma charakter rytualny. Morderstwo musi być popełnione strzałem w głowę. Zwłoki należy odwrócić na plecy, a broń oprzeć o czaszkę denata. Następnie zabójca, korzystając z tzw. besy – okresu ochronnego – uczestniczy w pogrzebie i stypie ofiary. Potem sam staje się celem. I tak w kółko.

Jakkolwiek Kanun jest czynnikiem scalającym naród pod względem kulturowym, pozostaje w sprzeczności z jego życiem duchowym. Nie można przecież być chrześcijaninem i żyć prawem zemsty.

Turyści nie mają się jednak czego obawiać. Przyjmowani są z otwartymi rękami przez niezwykle gościnnych Albańczyków. Albania jest bezpieczniejsza niż większość krajów muzułmańskich i wielkich kurortów Morza Śródziemnego.



Stefan Sękowski

Rząd chce wyznaczać ceny referencyjne produktów rolnych po to, by „przywrócić uczciwość w handlu surowcami rolnymi”. Może to być szkodliwe zarówno dla konsumentów, jak i dla samych rolników

Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi wpadło na nowy pomysł, mający pomóc rolnikom w relacjach z odbiorcami ich produktów. Tym razem sposobem na przewagę, którą często cieszą się np. hipermarkety czy przetwórcy w relacjach z producentami rolnymi, mają być ceny referencyjne. Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi (MRiRW) ma raz w roku ustalać cenę minimalną m.in. jabłek, porzeczek i truskawek do mrożenia oraz na koncentrat, pszenicy czy kukurydzy.

Projekt trafił do Sejmu, obecnie czeka na pracę w Komisji Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Do wyborów zostały dwa miesiące, czasu na uchwalenie ustawy jest więc niewiele. Jednak jeśli Prawo i Sprawiedliwość wykaże się determinacją, to może jeszcze zdążyć uchwalić ją w ciągu zbliżających się posiedzeń. I wcale nie jest to dobra informacja, proponowane zmiany mogą bowiem przynieść więcej szkód niż pożytku.

NIE PRZEWIDZIMY WSZYSTKIEGO

Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że problemy rolników, którzy często dostają grosze za swoje produkty, są na tyle poważne, iż coś z tym wreszcie trzeba zrobić. Niskie ceny, odwlekane zapłaty – to prawda. Problem w tym, że nie każde rozwiązanie jest dobre. Stosowanie cen minimalnych jest zdecydowanie złe. W myśl projektu minister ma je ustalać raz w roku. Mają obowiązywać od 1 kwietnia do 31 marca kolejnego roku. Ich wysokość określa bardzo skomplikowany wzór matematyczny; nam wystarczy wiedzieć, że przy ich ustalaniu będą brane pod uwagę koszty wytworzenia produktu rolnego, koszty i czas pracy czy plony z ubiegłych lat. Kłopot w tym, że ceny produktów rolnych są bardzo wrażliwe na zmiany, choćby pogodowe. Nie da się 1 kwietnia precyzyjnie przewidzieć, jak



Szkodliwa cena minimalna

będzie kształtowała się cena jabłek pod koniec września, nawet opierając się na danych z lat wcześniejszych. W przypadku suszy może się okazać, że pierwotnie ustalone ceny są niskie i nie stanowią problemu. Gorzej, gdy będzie nadurodzaj – wtedy ceny mogą okazać się zbyt wysokie dla odbiorców. Zwłaszcza jeśli mieszkają niedaleko granicy, mogą zaopatrywać się, importując towar. Prędzej czy później może się to odbić na klientach: przetwórcy, sami często będący drobnymi bądź średnimi przedsiębiorcami, zobowiązaniymi do współpracy z wielkimi sieciami, mogą być też zmuszeni do podnoszenia cen.

Ledwo dwa i pół roku temu uchwalono ustawę o przeciwdziałaniu nieuczciwemu wykorzystywaniu przewagi kontraktowej w obrocie produktami rolnymi i spożywczymi. To miał być bat zwłaszcza na wielkie sklepy. Ustawa zakłada, że w sytuacji, w której nabywca lub dostawca (ale zazwyczaj nabywcami) wykorzystuje „nieuczciwie” swoją przewagę, może wkroczyć Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów i nakazać zmianę praktyki oraz nałożyć karę w wysokości do 3 proc. rocznego obrotu. Ustawa wprowadzająca ceny referencyjne jest jej nowelizacją. Już drugą, bo zaledwie pod koniec ubiegłego roku wprowadzono zmiany poszerzające krąg firm, które mogą być pociągane do odpowiedzialności za „nieuczciwe wykorzystywanie przewagi kontraktowej”.

KIJ MA DWA KOŃCE

To pojęcie enigmatyczne, definiowane jako sytuacja, w której występuje „znaczna dysproporcja w potencjale ekonomicznym nabywcy względem dostawcy albo dostawcy względem nabywcy”. Sama przewaga nie jest zabroniona – „wykorzystywanie przewagi kontraktowej jest nieuczciwe, jeżeli jest sprzeczne z dobrymi obyczajami i zagraża istotnemu interesowi drugiej strony albo narusza taki interes”. Co to znaczy w praktyce, najlepiej pokazać na przykładzie. Pierwszą decyzję w tego typu sprawie wydał UOKiK w marcu 2018 r. Jedną z firm, produkujących koncentraty spożywcze, susze owocowe i przyprawy, miała nieuczciwie postępować wobec producentów marchwi. Nie ustalała z nimi konkretnego terminu odbioru, informując o nim z trzydniowym wyprzedzeniem, co narażało ich na straty, ponadto wydłużała terminy płatności, przez co dostawcy musieli czekać na pieniądze nawet trzy miesiące. Ponadto

zobowiązała plantatorów do potrącania części wynagrodzenia na rzecz... związku producentów cykorii. Już pierwszego dnia kontroli firma zdecydowała się zmienić swoje postępowanie, skrócić czas skupu i informować rolników o terminie odbioru z siedmiodniowym wyprzedzeniem, skrócić terminy płatności i zrezygnować ze zobowiązywania do płacenia składki.

Były prezes Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów Adam Jasser, dziś wiceszef Centrum Studiów Antymonopolowych i Regulacyjnych na Uniwersytecie Warszawskim, monitoruje tego typu regulacje w krajach Unii Europejskiej w ramach specjalnego projektu badawczego. Jego zdaniem na całościową ocenę skutków ustawy, która weszła w życie stosunkowo niedawno, jest jeszcze za wcześnie, stąd dziwi go, że już się ją nowelizuje. – Na pewno jest ona straszakiem dla firm, do tej pory stosujących warunki kontraktowe, które można uznać za „nie fair”. Działy prawne dużych przedsiębiorstw z sektora handlu spożywczego zaczęły robić przeglądy wzorców umów pod kątem nowej ustawy i wycofywać się z ryzykownych zapisów – mówi Jasser w rozmowie z „Do Rzeczy”. Regulacja poprzez wiszącą nad odbiorcami groźbę mogła więc wpłynąć na ucywilizowanie rynku. Jednak kij ma dwa końce. – Ustawa niewspółmiernie tworzy ryzyko dla przetwórców, a to są często średnie polskie firmy. Zdarzały się także sytuacje, w których duże sieci handlowe, nie chcąc ponosić ryzyka, usuwały z umów zapisy korzystne dla dostawców, np. umożliwiające im współzarządzanie półkami – dodaje były szef UOKiK.

CENY USTALA RYNEK

Nierzadko kwestie związane z nieuczciwymi praktykami są zmitologizowane. Często, gdy nagle zaczynają rosnąć ceny produktów (lub spadać surowców), ludzie zaczynają węszyć znowę. Jednak wiele zmian cen można bardzo łatwo wytłumaczyć, tak jak w przypadku nagłego wzrostu cen masła w 2017 r. Sam UOKiK wszczął pięć postępowań wyjaśniających w sprawie działań największych sieci handlowych w Polsce, które miały wykazać, czy firmy te nie wykorzystują trudnej sytuacji na rynku mleka do osiągania zysków, uderzających nadmiernie w konsumenta. – Analiza zebranego materiału pokazała, że sieci nie wywierały nacisków na dostawców w sprawie cen. Przeciwnie, stawki pod-

legały negocjacjom i w badanym okresie często się zmieniały ze względu na duże wahania w cenie mleka – mówił wówczas Piotr Adamczewski, dyrektor delegatury UOKiK w Bydgoszczy. Podwyżki można przypisać spadkowi produkcji mleka w Australii i Nowej Zelandii czy wzrostowi popytu w USA czy Chinach.

Także wyniki badania rynku owoców i warzyw przy okazji wykazywania przewagi kontraktowej pokazują, że... nie zawsze ona występuje. Przykładowo, z analiz UOKiK z przełomu lat 2018 i 2019. wynika, że udział rolników w cenie, którą płaci konsument, może wahać się między 26 a 58 proc. w przypadku malin, 15 a 50 proc. – wiśni, a cebuli nawet między 19 a 83 proc. To znak, że producent może osiągać bardzo różne zyski, w zależności od warunków. – Często problem niskich cen skupu wynika ze znacznego wzrostu podaży, np. ze względu na to, że nastaje moda na jakąś uprawę. Raz są to porzeczki, a teraz np. borówka. Jeżeli podaż znacznie przewyższa popyt, wówczas spadek cen jest naturalnym mechanizmem rynkowym. Wprowadzanie cen minimalnych kontrolowanych przez państwo nic tu nie da, bo nikt nie może zmusić firm lub konsumentów do zakupu towaru, którego nie potrzebują. To jest powrót do gospodarki centralnie planowanej, a to już przerabialiśmy z wiadomym skutkiem – mówi Jasser.

Także tam, gdzie w imieniu rolników występuje grupa producencka, w której są zrzeszeni, udział w cenie będzie wyższy niż tam, gdzie każdy rolnik występuje samodzielnie. Niestety, rolnicy nadal nie zakładają zbyt wielu takich grup.

Lepszym rozwiązaniem tego problemu byłaby większa współpraca producentów między sobą i częstsze podpisywanie długoterminowych umów, które zmniejszałyby ryzyko wahań cenowych. Oczywiście wtedy byłby mniejszy zysk w sytuacji, w której ceny mogłyby hipotetycznie wzrosnąć, ale coś za coś. Niestety zamiast do tego zachęcać, łatwiej jest rolnikom powiedzieć, że winę ponoszą źli kontrahenci i że rząd zajmie się ustalaniem „uczciwej” ceny. Tym bardziej że wybory tuż-tuż, a głosy na wsi mogą być na wagę złota, zwłaszcza gdy główny konkurent w tych rejonach, Polskie Stronnictwo Ludowe, walczy o być albo nie być w Sejmie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora thinktine'u „Nowa Konfederacja”.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kto bogatemu zabroni?

Kto bogatemu zabroni zabierać biedniejszym i rozdawać bogatszym – jak to się stało po rozszerzeniu programu „500+”, czyli wyłączeniu kryterium dochodowego w uzyskiwaniu zasiłku na pierwsze dziecko? Jak wynika z raportu Centrum Analiz Ekonomicznych, „spośród najbogatszych 20 proc. polskich gospodarstw domowych rodziny z dziećmi zyskają na tej reformie 5,4 mld zł rocznie, czyli 30 proc. całkowitych kosztów rozszerzenia świadczenia »500+«, a te spośród najbiedniejszych 20 proc. – jedynie 0,8 mld zł, co stanowi 4 proc. całkowitych kosztów tego rozszerzenia”.

A kto bogatemu zabroni zabierać biedniejszym i rozdawać „trzynastą” emeryturę także najbogatszym emerytom? Nawet gdyby jednak porównać dochód rozporządzalny przeciętnego emeryta, to jest on – dane za 2017 r. – wyższy od dochodu rozporządzalnego przeciętnego Polaka.

Na wszystkie te, rozrastające się niczym grzyby po deszczu, transfery socjalne składają się podatnicy o różnej zasobności portfeli. Także ci znacznie mniej zasobni od co bogatszych emerytów i wielu beneficjentów programu „500+”, którzy jednak emerytami (jeszcze?) nie są, a dzieci mają w wieku starszym niż przewidziany w programie „500+” lub – z różnych powodów – dzieci nie mają.

No, chyba że są rolnikami, którzy za pośrednictwem PIT nie muszą się składać na „trzynastą” emeryturę

i zasiłki z programu „500+” (ale je oczywiście pobierają), bo rolnicy w Polsce pod tym względem stoją ponad prawem i podatku od dochodów osobistych nie są zobowiązani uiszczać. Ba, oprócz tego, że nie płacą PIT, uiszczają też niewiarygodnie niskie składki emerytalne i zdrowotne. Ale, jak wiadomo, kto bogatemu zabroni rozdawać przywileje na prawo i lewo, w tym rolnikom – także tym tak zamożnym, że dochody dużej części mieszkańców miast nie dorastają ich dochodom do pięt? Tym z gospodarstwami jak fabryki i kilkoma ciągnikami, z których każdy wart jest więcej niż niejedno mieszkanie?

Kto bogatemu zabroni fundować przywilej za przywilejem, a w ciągu trzech dekad III RP kolejne rządy namnożyły ich tak wiele, że co roku kosztują podatników grube dziesiątki miliardów złotych. Przywileje emerytalne – oprócz rolników – także górników, nauczycieli, policjantów, strażaków, żołnierzy, prokuratorów, sędziów, funkcjonariuszy straży granicznej, służby więziennej i innych służb mundurowych. Czy najróżniejsze przywileje socjalne – nauczycieli, górników (tylko rekompensaty za ich deputaty na węgiel kosztowały ostatnio podatników ciężkie miliardy złotych) i oczywiście urzędników, pracowników organów ścigania, wymiaru sprawiedliwości i służb mundurowych.

No, kto zabroni bogatemu – rządowi bogatemu pieniędzmi podatników? Skoro podatnicy się do tego nie kwapią? ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Cyberwojna

Zwykle wymienia się jedną główną przyczynę wyjątkowo długiego okresu pokoju na świecie. Oczywiście wojny trwają cały czas, ale w porównaniu z okresem do II wojny światowej obecne konflikty mają lokalny charakter i nie angażują bezpośrednio głównych potęg militarnych. Ta przyczyna to arsenały broni nuklearnej, których użycie doprowadziłoby do zagłady ludzkości. Zatem tylko szalenie lub działająca w zмовie grupa szaleńców rządząca danym krajem zaatakowałaby bronią nuklearną inną potęgę atomową. Na szczęście mechanizmy demokracji, merytokracji, a nawet służbokracji bardzo utrudniają drogę na szczyt szaleńcom.

To oczywiście nie oznacza, że mamy obecnie najdłuższy w historii okres wolny od wojen toczonych przez światowe mocarstwa. Wręcz przeciwnie – codziennie światowe mocarstwa – lub wynajęte przez nich grupy hakerów – atakują się nawzajem, stosując najbardziej zaawansowane technologie, i ta wojna przynosi wiele ofiar. Na razie pozostaje niewidoczna dla większości ludzi, ponieważ toczy się w cyberprzestrzeni. Cele ataków są bardzo różne. Najczęściej chodzi o kradzież technologii, wojskowych lub komercyjnych, w celu uzyskania przewagi technologicznej i gospodarczej nad innymi krajami. Celem może być też pozyskanie środków finansowych na funkcjonowanie reżimów rządzących

w biednych krajach, takich jak Korea Północna. Jednak coraz częściej te cele mają wymiar strategiczny. Dwa chyba najbardziej znane przykłady to likwidacja irańskiego programu wzbogacania uranu przez amerykańskie i izraelskie służby specjalne za pomocą wirusa komputerowego Stuxnet oraz próby wpłynięcia na wyniki wyborów w USA i wyniki referendum brytyjskiego w Wielkiej Brytanii przez Rosję. To tylko początek zagrożeń, które mogą pojawić się w cyberprzestrzeni.

W 2007 r., w odpowiedzi na decyzję usunięcia brzozy rzeźby żołnierza sowieckiego z centrum Tallina, masowe ataki z Rosji doprowadziły do wyłączenia stron internetowych parlamentu, rządu, mediów, banków i innych instytucji w Estonii.

Dzisiaj możemy sobie wyobrazić o wiele bardziej wyrafinowane ataki. Na przykład wywołanie paniki w mieście, na wydarzeniu sportowym lub koncercie, wyłączenie znacznej części systemu energetycznego kraju, przejęcie systemu kontroli lotów i doprowadzenie do masowych katastrof, zaatakowanie systemu płatności, które może doprowadzić do paraliżu finansowego kraju, do zamieszek na tle etnicznym lub obyczajowym, tworzenia piramid finansowych itp.

Cyberwojna trwa, a ofiar będzie coraz więcej. Dlatego dzisiaj od czołgów i samolotów ważniejsze są cyberkompetencje naszych żołnierzy i służb specjalnych. ©©

Autor pełni funkcję chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

TEST „DO RZECZY”: DYSK TRANSCEND ESD350C

Szybkie transfery danych, praktyczne wzornictwo i port USB typu C w najbardziej wydajnej odmianie USB 3.1 Gen 2 – to najważniejsze plusy nowego mobilnego dysku SSD tajwańskiej firmy Transcend.

W czasach powszechnego dostępu do różnorodnych „chmur” dyski SSD teoretycznie nie powinny mieć racji bytu. Za trzymaniem danych „u siebie” przemawiają jednak względy dotyczące zarówno ochrony prywatności danych, jak i szybkości transferów. Wystarczy spróbować ściągnąć dużą ilość danych z wirtualnego dysku na polu campingowym lub w domku pod lasem, aby zamarzyć o własnym SSD w plecaku.

Model ESD350C, aby chronić dysk – a zwłaszcza zawarte na nim dane – przed uszkodzeniami został wyposażony w antypoślizgowe, gumowe etui w ciemno-granatowym kolorze. W zestawie znajdziemy też dwa kable: jeden o końcówce do nowoczesnych portów USB typu C, a drugi do starszych, ale wciąż powszechnie używanych USB typu A. Wraz z zakupem nośnika producent dostarcza również oprogramowanie Transcend Elite –

działające zarówno na Windowsie, jak i Mac OS – które umożliwia m.in. szyfrowanie, tworzenie kopii zapasowych oraz przywracanie danych.

Dysk z powodzeniem może być też stosowany jako pamięć zewnętrzna do smartfonów i tabletów czy konsoli Xbox One i PlayStation 4.

Wykorzystanie kości 3D NAND TLC powinno zaś sprawić, że



na-
sze dane
wytrzymają
dłużej niż w mode-
lach bazujących na kościach

2D NAND. Niestety, w tym przypadku trzeba uwierzyć producentowi na słowo – podczas krótkiego testu żywotności gadżetu sprawdzić bowiem nie można.

W tego typu urządzeniach poza solidnością i trwałością najważniejsza jest jednak szybkość. I tę, rzecz jasna, sprawdziłem. Przy użyciu kabla USB C – USB A maksymalne prędkości wynosiły ok. 440 MB/s w odczycie i 406,5 MB/s w zapisie. Dużo lepiej wypadły testy tego modelu przy użyciu interfejsu USB 3.1 Gen 2 zarówno od strony dysku, jak i w komputerze. Pokazały one, że podczas za-

pisu można uzyskać prędkości dochodzące do 785 MB/s. Prędkości odczytu często przekraczały w czasie testów 940 MB/s, były więc zbliżone do deklarowanych przez producenta.

Tak duża szybkość transferu przyda się np. podczas kopiowania filmów 4K.

Wady tego modelu? Jeśli kopiuje dużą ilość danych, to dysk potrafi się mocno nagrzać. Oczywiście nie tak, aby się oparzyć, ale w kieszonce od jeansów bez dodatkowego futerału raczej bym go nie nosił.

Dysk nie należy również do najtańszych gadżetów dostępnych na rynku. Za wersję 240 GB trzeba zapłacić 409 zł. Cena nośnika o pojemności 480 GB wynosi 579 zł, a za najbardziej pojemną odmianę 960 GB producent żąda 869 zł. ©©

Jacek Przybylski

NAJMNIEJSZA ŁADOWARKA



Ma rozmiar karty kredytowej i pojemność aż 10 tys. mAh. SuperMini – to dziś największa mała przenośna ładowarka na rynku. Gadżet umożliwia również szybkie ładowanie (do 18 W) poprzez port USB-C i USB-A. Dzięki czemu może ładować iPhone'a X do 50 proc. pojemności w 30 minut za pomocą kabla USB-C.

Cena: ok. 100 zł. Dostawa w październiku. Zamawiać można na portalu Indiegogo.

NIE DAJ SIĘ SKRZYWDZIĆ

Nie da się ukryć, idzie jesień. Dla młodych początek roku szkolnego i akademickiego, więc też dyskotek i imprez. A propos imprez, bywa na nich nie-

bezpiecznie, o czym niejedna młoda kobieta przekonała się niestety bardzo boleśnie. Ale można nieco bezpieczeństwo zwiększyć, i to dzięki gadżetowi, który ma trzy cenne zalety. Jest polski, bardzo tani i uważa... wykrywa tzw. pigułkę gwałtu rozpuszczoną w drinku lub innym napoju.

Produkt, który na polski rynek wprowadziła Dominika Sysło, nazywa się Xantus i jest nawet estetycznie wyglądającą bransoletką, która pozwala sprawdzić, czy w napoju nie rozpuszczono substancji psychotropowej znanej jako GHB, wywołującej senność i kilkugodzinną amnezję u osoby, której ją podano. Jak działa urządzenie? Wystarczy zamoczyć paluszek w drinku i niewielką ilość napoju nanieść na jedno ze specjalnych pól na bransoletce. Jeśli po upływie dwóch minut pole zabarwi się na niebiesko – uważaj! – w płynie znajduje się niebezpieczna substancja.

Oczywiście bransoletka nie jest wieczna, po wyczerpaniu pól testowych trzeba sprawić sobie nową, ale, jak wspomniałem, nie jest ona droga, bo kosztuje 20 zł. ©©

Wojciech Wybranowski



Piękny sen



FOT. DAWID OMIEL ZBOROWSKI/FORUM



Łukasz Majchrzyk

Reprezentacja Polski zagra w mistrzostwach świata w koszykówce po 52 latach przerwy

Już od 31 sierpnia polscy kibice będą mogli przeżywać sportowe emocje na najwyższym poziomie. Polscy koszykarze zaczną tego dnia swój udział w mistrzostwach świata w Chinach od meczu z Wenezuelą i nawet różnica czasu między oboma krajami nie powinna zniechęcać do jego obejrzenia. Poprzednio bowiem reprezentacja Polski w imprezie tej rangi wystąpiła w 1967 r., kiedy jeszcze rządził Władysław Gomułka, a nikt o sukcesach piłkarzy pod wodzą Kazimierza Górskiego nie śmiał marzyć. Trenerem był legendarny Witold Zagórski, który poprowadził Polskę do

wicemistrzostwa Europy cztery lata wcześniej i dwa razy zdobył na Starym Kontynencie brązowy medal.

Polacy zajęli w Urugwaju piąte miejsce, Mieczysław Łopatka został najlepszym strzelcem imprezy, Bohdan Likszo był tuż za nim. Łopatkę wybrano do najlepszej piątki turnieju. W Polsce nikt tego nie mógł zobaczyć, bo telewizja mistrzostw świata nie pokazywała.

AWANS W ZASIĘGU

O powtórkę sukcesu drużyny Zagórskiego w Chinach będzie niezwykle trudno, ale warto śledzić występy reprezentacji Polski, bo emocji nie zabraknie, a awans z grupy A do dalszej fazy turnieju jest w zasięgu ręki Polaków. Białoczerwoni zmierzają się w Pekinie z gospodarzami i będzie to najtrudniejszy przeciwnik na pierwszym etapie, zwłaszcza że będą za nim stały tysiące kibiców na trybunach. Reprezentacja Polski zagra jeszcze z Wenezuelą oraz Wybrzeżem Kości Słoniowej, które do

potentatów światowego basketu z pewnością nie należą. Trudno tam znaleźć gwiazdy, które byłyby rozpoznawalne przez przeciętnego kibica, a do tego dochodzą jeszcze problemy organizacyjne naszych przeciwników. W czasie przygotowań do mistrzostw świata koszykarze z Afryki i Ameryki Południowej ogłaszali strajki, odwoływali treningi. Powody były bardzo zbliżone: federacje nie wywiązywały się ze swoich zobowiązań. Koszykarze z WKS nie dostali obiecanych premii finansowych, a dodatkowo jeszcze musieli sami płacić za leczenie trzech kontuzjowanych graczy. Podobne problemy mieli Wenezuelczycy, którzy sami zapłacili za bilety lotnicze na zgrupowanie we Włoszech, a potem jeszcze musieli uregulować rachunek w hotelu. Sportowo w ostatnim czasie oba zespoły też nie błyszczały.

Na tym tle lepiej widać spokój, który panuje w Polskim Związku Koszykówki oraz w polskiej ekipie. Koszykarze za awans do turnieju w Chinach odebrali

kluczyki do samochodów ufundowanych przez jednego ze sponsorów, a przygotowań nie zakłócają strajki.

Selekcjoner Mike Taylor tradycyjnie już zebrał swoją drużynę na zgrupowaniu w Wałbrzychu. Reprezentacja od kilku lat w tym miejscu rozpoczyna przygotowania do najważniejszych imprez, m.in. dwóch turniejów o mistrzostwo Europy. Z dala od mediów, kibiców, w ciszy i spokoju.

Amerikanin pracuje z polską kadrą już od ponad pięciu lat. Drużynę objął po nieudanym występie na EuroBaskecie 2013, podczas którego były ogromne nadzieje na sukces, bo udało się zebrać wszystkich najlepszych, z Marcinem Gortatem i Maciejem Lampem na czele, a selekcjonerem był doświadczony Niemiec Dirk Bauermann.

Potrzeba było świeżego spojrzenia na polską kadrę, a Taylor takie gwarantował. Miał doświadczenia z USA, współpracował nawet z Boston Celtics, gdzie miał możliwość podglądania metod świetnego fachowca Doca Riversa. Sam prowadził drużynę Maine Red Claws, czyli tzw. zespół filialny Celtów. Znał też europejską koszykówkę, bo pracował w Niemczech, oraz był asystentem selekcjonera kadry Czech.

BEZ GORTATA I LAMPEGO

Zbudował drużynę według własnego pomysłu, na początek przygotował tzw. playbook, w którym umieścił ok. 100 zagrywek do wykorzystania w ataku (część to różne warianty tych samych akcji). Od wielu lat trzon druży-

ny jest niezmienny, dlatego zawodnicy zdążyli dobrze poznać taktykę trenera. Chociaż w Chinach nie będzie Marcina Gortata, który od 2015 r. konsekwentnie powtarza, że zakończył karierę reprezentacyjną, i Macieja Lampego (obraził się za to, że sztab po wywalczeniu awansu namawiał go na podziękowanie kibicom podczas meczu z Holandią w ErgoArenie, a on chciał jak najszybciej polecieć do lekarzy w Monachium), to w kadrze jest wielu świetnych zawodników z dużym doświadczeniem.

Kapitanem jest Adam Waczyński, który z drużyną Unicaja Malaga wygrał w 2017 r. EuroCup i w następnym sezonie występował w Eurolidze, czyli najbardziej prestiżowych rozgrywkach w Europie. Świetnie rzuca z dystansu, a do tego, co podkreślają wszyscy, jest niezwykle spokojny na boisku i poza nim. Co roku angażuje się w prowadzenie treningów na letnich campach dla dzieci, organizowanych przez fundację Marcina Gortata. Waczyński pomaga też wchodzić do drużyny młodszymi zawodnikom.

Tak miało być w przypadku Aleksandra Balcerowskiego, który ma dopiero 18 lat, też gra w Hiszpanii, ma już na koncie występy w Eurolidze i jest polską nadzieją na kolejnego zawodnika z NBA. Takich graczy za oceanem się szuka. Balcerowski jest wysoki (w butach nawet 220 cm), dobrze rzuca z dystansu, a taka kombinacja nie zdarza się często. Przy tym, jak na swój wzrost, jest sprawny, a w ostatnim czasie nabrał jeszcze masy mięśniowej. Jego ojcem jest Marcin Bal-

cerowski, zawodnik reprezentacji Polski w koszykówce na wózkach – drugiego takiego przypadku chyba próżno szukać na całym świecie.

Warto też zwrócić uwagę na grę Mateusza Ponitki, który gra teraz w Rosji, a ma już na koncie udział w meczu gwiazd ligi tureckiej i występy w Hiszpanii, oraz AJ Slaughter, czyli Amerykanina z polskim paszportem, który od kilku lat reprezentuje biało-czerwonych. Reprezentanci Polski nie są faworytami do gry o medale (choć szans nikomu nie wolno odbierać), ale jeśli awansują do ćwierćfinału, to będzie można mówić o wielkim sukcesie.

Kto się będzie bił o mistrzostwo świata? Najlepiej na świecie w koszykówkę grają Amerykanie, ale do Chin nie przyjedzie bardzo wielu gwiazdorów. Najlepsi zawodnicy rezygnują z występu w mistrzostwach świata. Kalkulują chłodno – za rok są igrzyska olimpijskie w Tokio i tam chcą pokazać pełnię możliwości. Sezon w lidze NBA liczy 82 mecze, do tego jeszcze starcia w fazie play-off, a kiedyś trzeba odpocząć. Gwiazd nie zabraknie w ekipie Hiszpanii. W Chinach ma zagrać Marc Gasol (tegoroczny mistrz NBA z Toronto Raptors), a do tego Ricky Rubio, Rudy Fernandez oraz bracia Willy i Juan Hernangómez.

Groźni na pewno będą Francuzi, do walki o czołowe miejsca mogą włączyć się Serbowie, Grecy, Brazylijczycy, Litwini, Niemcy. To potęgi światowej koszykówki, od lat walczące o medale na ważnych imprezach. Emocji nie zabraknie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

POLSKIE ZAKŁADY BUKMACHERSKIE

PZBUK

www.pzbuk.pl

Cherry Online Polska sp. z o.o. posiada zezwolenie nr PS4.6831.24.2017 wydane przez Ministra Finansów. Hazard wiąże się z ryzykiem. Udział w nielegalnych grach hazardowych jest przestępstwem.

Powyższa treść przeznaczona jest wyłącznie dla osób, które ukończyły 18 rok życia.

LEGALNY BUKMACHER

Marianna i László Pelle na
wzgórzu Szent Tamás
(św. Tomasza)

FOT. ARCHIWUM AUTORA



Pelle bez kiwki



Tomasz Kaźmierowski

**Niedaleko Polski mamy region
produkujący najlepsze na świecie
naturalne wina słodkie**

László Pelle, dziś czołowy wytwórca nieco modernistycznych tokajów z Mád, powiedział mi kiedyś: – Muszę się z tobą podzielić pewnym spostrzeżeniem. Spędziłem w końcu w Polsce z pięć lat, więc chyba mogę sobie na to pozwolić. Chodzi o to, jak wy pijecie wino. Otóż pijecie je bez sensu! Kontynuował, podnosząc śpiewnie głos, jak to robią w okolicach Miszkolca, skąd pochodzi: – Przychodzę w Warszawie do

kogoś na imieniny w środku tygodnia, a on – co gorsza, do fingerfoodu – wyskakuje mi z Côte-Rôtie La Turque, królową północnego Rodanu! Zapraszają mnie na pępkowe i polewają 20-letnie Barolo La Serra od Voerzio na sali goszczącej 80 osób. Co za marnotrawstwo! Już zupełnie nie wytrzymałem, gdy na lotnisku, tuż przed odlotem, jakiś klient żądał tokaju aszú!

Nie dając mi dojść do głosu, odgadywał moje pytania. – Tak, powiesz, że ta edukacja winiarska trwa pokolenia, że komuna i tak dalej. Ale to nie tylko to. To wasze „zastaw się!”. Szczególnie na Mazowszu! Na Węgrzech, a w tej sprawie warto brać z nas przykład... – bez fałszywej skromności wykladał László. – ... na małą okazję, taką jak imieniny we wtorek, po „Teleexpressie” i przed filmem, pijemy skromne rzeczy. Powiedzmy: białe, mineralne Kéknyelű z porządnego, ale też

niespecjalnie wyjątkowego Badacsonyi. Na niedzielny obiad u mamy szykujemy biały wytrawny tokaj – np. Szent Tamás od Pelle Pince, ale równie dobrze od Homonny czy Kikelet – albo czerwony eger, powiedzmy: Egri Bikavér Grof Buttler. Dopiero na ślub, chrzciny lub okrągłą rocznicę ślubu wyciągamy tokaj Aszú! Na przykład ten od Istvána Szepsy’ego albo, odrobinę skromniej, ode mnie. W końcu to najlepsze słodkie wina na świecie, prawda? Nawet Marek Bieńczyk tak twierdzi, a on przecież w tej Francji taki zadurzony! No dobrze, od biedy na rocznicę ślubu może być wybitne Sauternes lub mozelski Himmelreich od Pruema. Ale nie na chrzciny! – zakończył już nieco spokojniejszy o nasze zwyczaje László.

Organizowane przez wyspecjalizowane agencje winiarskie wyjazdy dla amatorów win z wyższej półki cieszą się

w Polsce rosnącą popularnością, a z pozoru tylko nieśmiało rosnąca siła zakupowa złotówkowych pensji pozwala na to coraz liczniejszym. Szampania, Bordeaux, Burgundia, Piemont, Mozela, Alzacja, Priorat, Chianti czy Rodan – to zapewne najczęściej oferowane „produkty”. Oprócz tych, zazwyczaj zaplanowanych przez zorientowanych fachowców eskapad, tysiące ludzi wyjeżdżają degustować Barbaresco, Châteauneuf czy Médoc na własną rękę. Jeśli jadą samochodem, to męczą się tysiącami pokonanych kilometrów, jeśli samolotem – to niewiele ze sobą przywiozą, za to kurierzy słono każą sobie płacić za dostawę wina na polskie adresy.

A pod nosem mamy czołowy, według wielu fachowców wręcz najwspanialszy na świecie, region produkujący naturalne wina słodkie. Tokaj-Hegyalja, rzecz oczywista...

Jeszcze rzadziej znanym amatorom wina skarbem są coraz ciekawsze, szeroko już obecne w zachodnieuropejskiej gastronomii, wina wytrawne tego regionu, oparte na tym samym głównym szczepie – furmint. Zupełnie już na marginesie dodam, że w podobnych lub niewiele większych odległościach leżą węgierskie regiony produkujące co najmniej dobre wina białe (bardzo interesujące Somló) i czerwone, że wspomnę Eger, Szekszárd i Villány.

SZLACHETNA PLEŚŃ

Białe wina tokajskie – czerwone zdarzają się tylko w charakterze eksperymentów – powstają nie tylko z furmint. Istotne szczepy to także hárslevelű (dające wina mało kwasowe, za to owocowe) oraz aromatyczne sárgamuskotály. Obydwa te szczepy stosowane są w kupażach tokajskich, jednak nieodmiennie w wielkich winach główną rolę odgrywa furmint, a to dzięki jego świetnej, potężnej strukturze, dużym potencjałom starzenia i wysokiej kwasowości. Równie ważnym, a może wręcz krytycznym czynnikiem decydującym o wielkości tutejszych win jest siedlisko. Region leży bowiem na południe od słowackich Karpat, na północno-wschodnim krańcu Niziny Węgierskiej, u zbiegu dwóch wielkich rzek, Cisy i Bodroga. Wyjątkowo ciepłe jesienie, korzystne wiatry, wilgotność i pełna mineralność czerwona glina wulkaniczna pozwalają na zaskakująco regularną powtarzalność tokajskiego fenomenu: szlachetną pleśń. Winogrona bowiem, które w sprzyjającej pogodzie zarażają się szlachetną pleśnią

wywołaną przez *Botrytis cinerea*, ulegają odwodnieniu, w z związku z czym wzrasta w nich stężenie cukru. Łagodny mikroklimat pozwala na zbiór tych bardzo dojrzałych, szlachetnie uwiędłych, częściowo pokrytych wspomnianą pleśnią gron nawet w grudniu. Dzięki temu właśnie w okolicach Tokaju można wytwarzać te cudownie skoncentrowane wina słodkie.

Ten fenomen tokajskiego terroir i wysoka kwasowość furmint dają jedyne w swoim rodzaju wina słodkie: zrównoważone, ze 120–200 g cukru na litr, lecz wysoko kwasowe i długowieczne, z którymi czołowe wina słodkie Francji, w tym Sauternes i Coteaux du Layon, a także te z niemieckiej Mozeli, nie wytrzymują porównania.

Wybitne słodkie wina tokajskie wytwarza dziś co najmniej kilkunastu winiarzy, bardzo dobre wina wytrawne wciąż ledwie kilku, w tym László Pelle i Attila Homonna.

SZEPSY, PELLE I DISZNÓK

Pelle, którego poznałem ćwierć wieku temu, produkuje dziś wraz z żoną Marianną na skromnym areale 5 ha (14 tys. krzewów), za to ich parcelki mieszczą się w najlepszych tokajskich siedliskach, jak Szent Tamás, Király, Becsek czy Nyulászó. Są z nich w stanie wyprodukować do 14 tys. butelek wina rocznie.

László z żelazną konsekwencją zrealizował swój plan w trudnych dla węgierskiej gospodarki kilkunastu ostatnich latach. Pelle Pince (pol. piwnica Pellego), położone w mateczniku najlepszych win tokajskich – Mád, szybko zaczęło odnosić sukcesy, również dzięki wielkiemu powodzeniu w konkursach Pannon Bormustra i dziennika „Népszabadság”, a nawet wysokim notowaniom w londyńskim Decanter World Wine Awards.

Dzisiaj jego tokaj Aszú („aszú” po węgiersku oznacza „uwiędłe” – chodzi o winogrona, które zarażają się wspomnianą „szlachetną pleśnią”) bywa sprzedawany w najlepszych przybytkach Londynu, Genewy, Brukseli i Sztokholmu. Podobnie jak jego wytrawne furminty, z potężnym, kwasowym Szent Tamás na czele. László wraz ze swoim winemakerem Dénesem Szarką wytwarza też ciekawe wino musujące oraz już dziś wysokiej klasy wina słodkie, prostsze w produkcji i bardziej przystępne cenowo od tokaju Aszú: niewymagające starzenia wino późnego zbioru Zsófia Cuvée i noszący nazwę pol-

skiego pochodzenia Tokaji Szamorodni. „Samorodność” tego wina bierze się stąd, że w przeciwieństwie do tokajów Aszú, dla wytworzenia których ręcznie zbiera się wyłącznie grona dotknięte szlachetną pleśnią, przechodząc parcie kilka razy podczas zbiorów (stąd ta cena!), tu zbiera się całe kiście – zarówno zbotrytyzowanych, jak i zdrowych oraz lekko przejrzałych owoców.

Attila Homonna, nieco szalony winiarz samouk, także produkuje w mikroskali, na ok. 4 ha, głównie w Erdőbénye. Terminował przez pewien czas w Langwedocji i Portugalii, lecz z bezkompromisową koncentracją na siedlisku chyba się urodził.

Czystość, krystaliczność, mineralność jego win wytrawnych, z najwspanialszym Határi, dała mu wyjątkową reputację, na razie w kręgach fachowców na Zachodzie, najbardziej zaś w Anglii, Stanach i w Niemczech. Határi to też bodajże jedyny wytrawny furmint serwowany w – do niedawna uważanej za najlepszą restaurację świata – kopenhaskiej Nomie. Inne jego wina są równie trudno dostępne. Walczą o nie najlepsze restauracje Europy, Stanów i Japonii. Jego prosty wytrawny furmint to bez wątpienia najczystziej bijąca krynica tokaju, nawet jeśli nieco mniej złożona niż Határi. Aszú wytwarza zaś tylko w tych latach, w których uzna, iż ma wystarczająco dobre grono, zatem jest ono w praktyce nie do kupienia.

O ile Pelle wytwarza tokaj Aszú w stosunkowo nowoczesny sposób, bez utlenienia i ze sporą koncentracją, a Homonna stawia na mineralność i kwasowość, o tyle w zupełnie innym wymiarze (w ramach Tokaju) znajduje się pochodzący spod Bordeaux Samuel Tinon, mający za sobą lata kariery winemakera we Francji, Włoszech, w Teksasie, Chile i Australii. W skromnej wiosce Olaszliszka wytwarza według swojej „enosocjalnej” filozofii wyjątkowe wina (najbardziej warte spróbowania są, rzecz jasna, Aszú i Aszú Essencia, a także wytrawny Szamorodni), nad którymi tradycjoniści cmokają, a puryści nazywają ulepkami, ze względu na utlenienie i słodycz. Tinon jest bodajże ostatnim z szanowanych winiarzy w Tokaju, który skupuje grono od miejscowych rolników.

Pytałem László, czy na święta aby nie przesadzimy, otwierając tokaj Aszú. – Nie – odrzekł, spoglądając poważnie spod krzaczastych brwi. Egészségedre!



FOT. ADDBE STOCK

Zabójczy tłuszcz



Katarzyna Pinkosz

Prawie 19 mln osób w Polsce ma zbyt wysoki poziom cholesterolu – alarmowali eksperci podczas Kongresu Polskiego Towarzystwa Lipidologicznego. Każdego dnia niszczy on naczynia krwionośne, co prowadzi do chorób serca

Cholesterol to lipoproteina, związek lipidowo-białkowy. Umożliwia nierozpuszczalnym w wodzie związkom tłuszczowym transport z osocza do komórek i w odwrotnym kierunku: z komórek do wątroby. Jest prekursorem niektórych hormonów (sterydowych, płciowych), bez niego nie byłaby możliwa synteza witamin. Częściowo wytwarza go nasza wątroba, częściowo przyswajamy go z tego, co jemy. Nie możemy bez niego się obyć, ale gdy jest go za dużo, pozostaje tam, gdzie nie powinien, czyli w ścianach naczyń krwionośnych. Tworzy się blaszka, która zwęża i zatyka światło naczynia. Powoduje to rozwój miażdżycy i jej powikłań.

Znane są różne frakcje cholesterolu, z których – jak na razie – w diagnostyce wykorzystywane są głównie dwie: LDL (lipoproteina o małej gęstości) i HDL (o dużej gęstości). Jedna i druga jest potrzebna, jednak wysokie stężenie we krwi LDL (a to najczęstszy problem) ma ścisły związek z miażdżycą i chorobami serca. To tak zwany zły cholesterol. Zadaniem „dobrego” cholesterolu (HDL) jest wiązanie zbędnego cholesterolu, jego transport do wątroby, gdzie zostaje odpowiednio przetworzony, zmagazynowany lub całkowicie wydalony z organizmu. HDL może usuwać „zły” cholesterol z różnych miejsc organizmu, nawet z płytek miażdżycowych.

SERCE ZAGROŻONE

Niestety, prawie 19 mln Polaków ma zbyt wysoki poziom cholesterolu we krwi, właśnie tego „złego”. Dwie trzecie nawet o tym nie wie, choć wystarczy proste badanie krwi, którego wykonanie kardiolog zaleca raz w roku. Nawet jednokrotne pozwoliłoby wykryć hipercholesterolemię rodzinną (więcej na ten temat na stronie obok), która już u 20-latków może spowodować zawał serca. W 99 proc. przypadków jednak zbyt wysoki poziom cholesterolu to nie kwestia genów, tylko stylu życia: spożywania

zbyt dużej ilości tłuszczów pochodzenia zwierzęcego, cukrów prostych, wysoko przetworzonej żywności, zbyt wielu kalorii w diecie.

Miażdżycą i chorobami serca najbardziej zagrożone są osoby, które prócz wysokiego poziomu cholesterolu mają też nadciśnienie. Doktor habilitowany Jacek Lewandowski z Kliniki Chorób Wewnętrznych, Nadciśnienia Tętniczego i Angiologii WUM obrazowo mówi, że wysokie ciśnienie „wprasowuje” cholesterol w ścianę naczyń. Jeśli do tego dołączy się jeszcze cukrzyca typu 2 (a u wielu osób te schorzenia występują razem), ryzyko chorób serca rośnie kilkukrotnie. W Polsce co roku z ich powodu umiera ponad 150 tys. osób.

DIETA I LEKI

Konieczna jest zmiana stylu życia. Pierwsza rzecz to dieta: ograniczenie produktów bogatych w tłuszcze pochodzenia zwierzęcego (tłuste mięso, śmietana, masło), a także wysoko przetworzonych. Druga to ograniczenie cukru (w tym słodkich napojów gazowanych). Trzecia: większa ilość w diecie warzyw, ryb, zastąpienie tłuszczów zwierzęcych roślinnymi, sięganie po orzechy, siemię lniane, rośliny strączkowe. Czwarta: większa aktywność fizyczna. Piąta: schudnięcie. Jeśli to nie pomaga, trzeba przyjmować leki, które obniżą poziom cholesterolu.

Tymczasem nawet ci, którzy wiedzą, że mają za wysoki poziom cholesterolu, nie zawsze się leczą. Często powodem jest przekonanie, że leki (zwykle statyny) mają skutki uboczne, więc „po co się truć”. Na stronach internetowych jest kilka razy więcej informacji, że cholesterol to „naukowe kłamstwo”, a „taka sama liczba osób umiera na zawał z powodu niskiego poziomu cholesterolu jak wysokiego”, niż jak go leczyć. Prawdopodobnie leczy hipercholesterolemię zaledwie ok. 8–10 proc. osób. Tyle że wierzenie autorów publikacji, którzy wszędzie wietrzą spisek firm farmaceutycznych, może skończyć się zawałem lub udarem.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Prawidłowe wyniki:

cholesterol całkowity: < 190 mg/dl

• **HDL:** kobiety > 50 mg/dl, mężczyźni > 40 mg/dl

• **LDL:** < 115 mg/dl; dla pacjentów wysokiego ryzyka: < 100 mg/dl; dla pacjentów bardzo wysokiego ryzyka: < 70 mg/dl



Z prof. Dariuszem Dudkiem, kierownikiem II Oddziału Klinicznego Kardiologii oraz Interwencji Sercowo-Naczyniowych Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Rodzinne zagrożenie

KATARZYNA PINKOSZ: Czy zawsze wysoki poziom cholesterolu jest spowodowany niezdrowym stylem życia?

PROF. DARIUSZ DUDEK: Najczęściej kojarzymy wysokie wartości cholesterolu z nieprawidłową dietą, chociaż część osób jest obciążona ryzykiem hipercholesterolemii rodzinnej, genetycznie uwarunkowanego zaburzenia metabolicznego, które powoduje bardzo wysokie wartości cholesterolu. LDL, popularnie zwany złym cholesterol, osiąga stężenia 180, 200, 250 mg/dl. Tak wysokich wartości nie sposób wyleczyć dietą czy klasycznymi lekami. Przekłada się to na wyższe ryzyko chorób serca i naczyń krwionośnych, a tym samym wyższą śmiertelność.

Wysoki poziom cholesterolu nie daje objawów, nie boli. Skąd wiedzieć, że trzeba iść do lekarza i zrobić badania?

Najlepiej wykonywać badania profilaktyczne. Do wykrycia hipercholesterolemii rodzinnej wystarczy raz zbadać sobie cholesterol. Jeśli wynik wskazuje na niewielkie podwyższenie jego poziomu (np. 110, 120, 130 mg/dl), może być to spowodowane np. nieprawidłową dietą. Jeśli jednak wynik LDL jest w granicach 160, 180, 200, 250 mg/dl, to sygnał, że trzeba udać się do specjalisty. Jako Polskie Towarzystwo Kardiologiczne zalecamy również wykonywanie badań w rodzinach, w których wiele osób miało miażdżycę, zawał serca, udar mózgu – takie rodziny są najprawdopodobniej obciążone genetycznie. W naszej klinice mamy pacjentów w wieku 50–70 lat; często przychodzą z dziećmi, a nawet wnukami. Im szybciej wykryjemy wysokie wartości cholesterolu i je obniżymy, tym lepsza ochrona układu krążenia i zapobieganie chorobom.

W takim przypadku warto już dziecku zbadać cholesterol?

Tak, zalecamy to nawet u dzieci, jeśli w rodzinach często występowały choroby serca.

Tak wysokie stężenia cholesterolu mogą mieć też szczupłe osoby?

Osoba może być nawet bardzo szczupła i mieć zbyt wysoki poziom cholesterolu, który negatywnie oddziałuje na ściany naczyń układu krążenia, w tym naczyńia wieńcowe.

Zmiana stylu życia przyniesie efekt?

Zdrowy styl życia zawsze jest podstawą; działania prozdrowotne, takie jak prawidłowa dieta i aktywność fizyczna, wpływają pozytywnie na obniżenie poziomu cholesterolu. Jednak w rodzinach z rodzinną hipercholesterolemią obniżenie poziomu cholesterolu do prawidłowych wartości będzie trudne ze względu na mutację wielu genów, która powoduje, że bez względu na to, co osoba je, jak dużo się rusza, czy jest szczupła, będzie miała wysoki poziom cholesterolu. Najczęściej konieczne jest leczenie. Stosujemy doustne leki obniżające poziom cholesterolu, np. statyny. W wielu przypadkach to wystarcza, jednak bywa, że konieczne jest posiłkowanie się nowoczesnymi lekami, inhibitorami PCSK9, podawanymi w formie zastrzyków – raz na dwa tygodnie lub

raz w miesiącu. Od kilku miesięcy pacjenci z wysoką cholesterolemią (LDL powyżej 160 mg/dl), którym nie pomagają leki doustne, mogą być leczeni w ramach programu NFZ inhibitorem PCSK9. Na razie w ramach programu dostępny jest jeden preparat spośród dwóch stosowanych na świecie. Powinna być możliwość zastosowania obydwu, podobnie jak to jest w większości krajów, celem kompletnego leczenia. Jeśli są dwa preparaty, to możliwości dla systemu są większe; poza tym jest też element konkurencji cenowej, co będzie sprzyjało obniżeniu kosztów, więc będzie można leczyć więcej osób za te same pieniądze. Poza tym zdarza się, że u jednego pacjenta dany preparat nie jest tak efektywny jak inny. Możliwość zamiany zawsze daje większe możliwości terapeutyczne.

Jak oceni pan dziś leczenie w Polsce tej choroby?

Jesteśmy dopiero na początku drogi. Wzorcowym krajem jest Holandia, gdzie praktycznie całe społeczeństwo zostało objęte skriningiem i udaje się bardzo dobrze zidentyfikować osoby z tym schorzeniem. W Polsce program dopiero wystartował, dlatego jak na razie szacujemy, że bardzo niewielka część osób jest zdiagnozowana pod kątem występowania tej choroby. Sądę jednak, że za rok czy dwa lata sytuacja się poprawi dzięki edukacji i akcjom profilaktycznym, m.in. prowadzonym przez Ministerstwo Zdrowia. Teraz jesteśmy na etapie edukowania, diagnozowania pacjentów i wdrażania terapii. Środowisko ekspertów uważa też, że próg włączenia do programu powinien być obniżony – do 130–140 mg/dl, a nawet – w przypadku dużego obciążenia, np. innymi chorobami układu krążenia (miażdżycy, zawał, udar mózgu) – do 100 mg/dl. Zdajemy sobie oczywiście sprawę, że z punktu widzenia finansów państwa rozszerzenie programu musi przebiegać etapowo, jednak idzie za tym skuteczna terapia obniżająca ryzyko powikłań. Leczenie daje efekt w postaci mniejszej liczby zawałów i udarów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Beata Ambroziewicz, prezes Polskiej Unii Organizacji Pacjentów

Cieszymy się, że powstał program leczenia hipercholesterolemii rodzinnej, monitorujemy go. Wciąż niewielu pacjentów jest zdiagnozowanych i to jest największy problem. Naszym zdaniem w programie powinny znaleźć się oba nowoczesne leki, co zwiększy dostępność pacjentów do leczenia. Powinny też zostać obniżone kryteria włączenia do programu, gdyż wielu chorych nie spełnia restrykcyjnych wymagań, a co za tym idzie – nie może być skutecznie leczonych.



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Miłość pana Dzierśława

Dzierśław z Rytwian herbu Jastrzębiec z woli stryjecznego dziada miał zostać statecznym kanonikiem, a może i biskupem. Opatrzność zrzuciła inaczej – zasłynął jako awanturnik, ale zarazem wytrawny polityk, który osiągnął największą godność w Królestwie Polskim.

Zaczął się jak zwykle od awantury. W 1428 r. Dzierśław, syn Marcina z Rytwian i Doroty z Tarnowa, zapisał się na uniwersytet krakowski, płacąc florena jako wpisowe. W tym samym jednak roku zmarł jego ojciec, a opiekę nad Dzierśławem i jego braćmi przejął jego stryjeczny dziad – arcybiskup gnieźnieński Wojciech Jastrzębiec, który oczywiście miał już zaplanowaną dla nich spokojną i dostatnią karierę duchowną. Wyrobił nawet Dzierśławowi godność kanonika w katedrze gnieźnieńskiej i załatwił dzierżawę dwóch wsi koło Nieszawy.

Młodzieniec zawiódł w pełni oczekiwania dziada. Niespodziewanie w 1431 r. porzucił ścieżkę duchownego, wstępując na krętą drogę rycerza rabusia. Trzy lata później zagarnął rodzinny skarb uskładany przez Jastrzębcę i przechowywany w Orzelcu, wart, jak podaje jego biograf Wojciech Falkowski, bajeczną sumę ok. 40 tys. grzywien. A kiedy arcybiskup przybył do Rytwian, aby upomnieć wnuka, Dzierśław odpowiedział mu z dział i hakownic. Zdobyte kosztowności przeznaczył na konkury, wymarzył sobie bowiem, że poślubi prawdziwą księżniczkę, i udał się z prośbą o rękę córki księcia mazowieckiego Bolesława – Ofki, do jej matki, wdowy. Wszystko to na nic – mazowieckie drewniane progi okazały się za wysokie dla Dzierśława, który przepuścił cały rodzinny skarb na wystawne ucztę, turnieje, podróże do przyszłej teściowej – księżny Anny Fiodo-



FOT. WIKIPEDIA

równy – i stroje. Ostatek przepił i przehulał z kompaniami, może wtedy, kiedy dowiedział się, że uchonaną wydano za księcia Michała Bolesława Zygmunowicza.

Zrujnowany, wydziedziczony przez Jastrzębcę, dokonał drugiego najazdu po śmierci arcybiskupa – na jego zamek w Bożysławicach, skąd wywiózł złoto, klejnoty i szaty. Pieniądze jednak szybko stracił, bo od tej pory stale pozywano go za długi, które tylko częściowo spłacała rodzina.

Po śmierci króla Władysława Jagiełły Dzierśław zaangażował się w politykę, stając po stronie Spytka z Melsztyna, przywódcy konfederacji zawiązanej przeciwko kardynałowi Oleśnickiemu. Dzierśław był największym przeciwnikiem duchownego, cieszył się jednak względami dworu królewskiego. Na sucho uszedł mu zatem kolejny zajazd – który przeprowadził w 1440 r. – z powodu pustego mieszkania i kabzy. Dzierśław napadł bowiem na księstwo cieszyńskie i zajął Zator, nie pozwalając się stamtąd wyrzucić. Najazd ten pewnie uzgodniony był po cichu z Władysławem III, gdyż bohater oddał się wkrótce pod „opiekę” króla, który wypłacił mu w nagrodę tysiąc grzywien, a Zator wymienił na Barwałd. Od tej pory Dzierśław stał się cichym wykonawcą woli dworu. Nawet kiedy w 1439 r. dołączył do konfederacji Spytka z Melsztyna, nie spowodowało to

utrąty łaski królewskiej, zwłaszcza że nie wsparł kasztelana bieckiego na polu walki pod Grotnikami. Wkrótce został starostą chełmskim, a potem sandomierskim, co stanowiło tylko wstęp do kariery dworskiej.

Po śmierci króla Władysława pod Warną Dzierśław opowiedział się znowu przeciwko polityce Oleśnickiego, popierając sprawę bezwarunkowego obrania na tron królewicza Kazimierza Jagiełłończyka. Wyrobił sobie bardzo mocną pozycję na dworze, więc wysyłano go w poselstwach, jak w latach 1450–1452 do Rzymu, a potem, w lipcu 1452 r., na Węgry i do Austrii w celu pozyskania dla króla ręki Elżbiety Rakuskiej. W 1453 r. otrzymał kasztelaninę rozmiarską, a w dalszych awansach nie przeszkodziło mu nawet to, że w 1454 r. jako jeden z dowódców doprowadził do haniebnej klęski rycerstwa polskiego pod Chojnicami. W 1455 r. został wojewodą sieradzkim, a od 1461 r. – wojewodą sandomierskim.

Wciąż jednak budził się w nim dawny Dzierśław – potrafił stawać się gwałtowny – w 1471 r. na posiedzeniu rady królewskiej tak zelżył biskupa krakowskiego Jana Lutka, że ten wkrótce potem wyzionął ducha w napadzie apopleksji. Dwa lata później wpadł razem z bratem Janem na posiedzenie kapituły krakowskiej, łżąc i grożąc kanonikom, którzy toczyli zadawniony spór o dziesięcinę z bernardynami z Opatowa, pozostającymi pod protekcją Dzierśława. Jednocześnie stał się tak zamożnym panem, że pod koniec życia pożyczył pieniądze królowi. Ostatnim urzędem, który piastował, a zarazem najwyższą godnością w królestwie, była otrzymana na rok przed śmiercią kasztelanina krakowska. Zmarł w 1478 r., nie pozostawiając potomstwa. ©©

GOSIA TOMASZEWSKA GLUTENU SIĘ NIE BOI

Członkowie mojej rodziny pochodzą z różnych krajów, dlatego kuchnia w naszym domu jest różnorodna. Moją ulubioną, z wyjątkiem owoców morza, jest

zdecydowanie włoska. Bezglutenowy szal to nie moja moda – uwielbiam makarony, pizze i ravioli. Dużo pracuję, a staram się gotować dla rodziny, więc dania, które przyrządzam, muszą być szybkie w przygotowaniu. Często też wykorzystuję danie z poprzedniego dnia do zrobienia kolejnego. Przykładowo po tym, gdy zjemy rosół z kury, na drugi dzień proponuję mój ulubiony makaron z ricottą, orzechami pinii i suszonymi pomidorami.

Składniki:

- 350 g makaronu (fettuccine lub tagliatelle)
- 40 g masła
- 120 g ricotty
- 100 g migdałów w proszku
- 150 ml śmietany
- 2 łyżki oliwy chilli
- 2 łyżki orzeszków pinii
- 50 g suszonych pomidorów
- 125 ml rosółu z kury
- do dekoracji: liście bazylii

Przygotowanie:

Zagotować garnek osolonej wody, ugotować makaron al dente (8–10 minut). Odcedzić, włożyć z powrotem do garnka, dodać masło. Podgrzać rosół. W miseczce wymieszać ricottę z migdałami w proszku i ze śmietaną. Po uzyskaniu jednolitej masy stopniowo dodawać oliwę i podlewać rosół. Doprawić pieprzem do smaku. Wymieszać całość z makaronem, orzeszkami pinii i suszonymi pomidorami. Na koniec udekorować listkami bazylii. © **oprac raw**

Małgorzata Tomaszewska jest dziennikarką i prezenterką telewizyjną (ostatnio „Pytanie na śniadanie”).



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Dolce vita

Kto jeszcze podaje cukierniczkę na stół? Najczęściej od gospodarzy pada nieprecyzyjne: „Podać cukier?”. I zaraz wycofują rękę ze sprzętem, bo goście zgodnie dziękują. Są jeszcze odszczepieńcy, którzy słodzą kawę (należę do nich), ale słodzenie cukrem innym niż brązowy jest uznawane za nietakt. Natomiast biały cukier chyba niedługo będzie sprzedawany ze znakiem trupiej czaszki na torebce.

Tylko śmiałkowie, którym biała śmierć niestraszna, raz do roku, w porze owoców, wcale się nie wstydzą w supermarketowych wózkach wieźć 10-kilogramowych zgrzewek cukru. No bo cukru można nie lubić. Jednak kto wzgardzi konfiturami z wiśni?

Zmiana nastąpiła w ciągu ostatnich kilku lat. Propaganda, czy też edukacja zdrowotna, stała się wszechobecna i nachalna, wyskakuje z Internetu, telewizora. Tylko wredne reklamy starają się wcisnąć niewinnym dzieciom słodczyce, oszukując matki, że zawierają mleko. Mimo tego grupa ludzi, którzy uznają herbatę wyłącznie słodzoną, trzyma się dzielnie. Czym więc słodzić? O słodzikach nie wspomnę, wiadomo, że trują, ale można postodzić czym innym niż cukier z buraka.

Na przykład stewią. Pojawiła się dość niedawno, reklamowana jako w 100 proc. naturalna zapowiadała rewolucję w kwestii słodzenia. Nic z tego nie wyszło. Nie pomogły „słodysz 200 razy silniejsza od cukru” i „zero kalorii”. Posmak lukrecji okazał się odstraszać. Jest



FOT. ADRIAN STOK

jednak coś gorszego: dostępna w handlu stewia reklamowana jako produkt „100 proc. naturalny” w gruncie rzeczy jest „wzbogacana” składnikami mniej naturalnymi. Maltodekstryną na przykład, słodzikami dodawanymi także do napojów. Ale listek świeżej stewii do herbaty? Dlaczego nie? Miód jest zdrowy, ale jeśli chodzi o wartość energetyczną, to nie różni się specjalnie od cukru. Ma za to niższy indeks glikemiczny, jest przeciwzapalny, antyoksydacyjny, a nawet lekko uspokajający bezsennych.

Może więc syrop klonowy, skarb Kanadyjczyków? Też może zachęcać niskim indeksem glikemicznym, zawartością minerałów, ale podobnie jak stewia nie jest obojętny w smaku. Amerykanie nie wyobrażają sobie śniadania bez panekjków, ale u nas syrop klonowy wciąż tkwi w niszy. Pozostaje syrop z agawy – „woda miodowa” Azteków. Otrzymuje się go, wyciskając miąższ kaktusów z Ameryki Południowej. Dwie łyżki stołowe to równoważność 100 g cukru.

Kalorii ledwo trochę mniej niż w cukrze rafinowanym, za to w pojedynku o indeks glikemiczny syrop z agawy kładzie cukier na łopatki. Ma tylko 15 kontra 60 (dla cukru).

Słodkie życie jest fajne, byle nie przedobrzyć. ©

URODZINOWE BUGATTI

Ma o 100 KM mocniejszy silnik niż słynny Chiron (czyli w sumie aż 1577 KM), całkowicie nowy tył i wiele podobieństw do modelu EB110 z końca ubiegłego wieku. Zaprezentowany przed kilkoma dniami ultraluksusowy model Centodieci powstał z okazji 110. urodzin francuskiej marki („Centodieci” oznacza po włosku właśnie 110).

Pod maską pracuje ośmiolitrowy silnik W16. Sportowy supersamochód od zera do pierwszej setki przyspiesza w zaledwie 2,4 s, do drugiej – w 6,1 s, a do trzeciej – w 13,1 s. Prędkość maksymalna została elektronicznie ograniczona do 380 km/godz.

Auto zostanie wyprodukowane jedynie w 10 egzemplarzach. I chociaż cena każdego z nich wynosi 8 mln euro netto (równowartość 35 mln zł) – do ceny trzeba doliczyć podatek VAT – to wszystkie sztuki zostały już wyprzedane. Nie ma co narzekać na pecha: ci, którym udało się zamówić ten model, na dostawę i tak będą musieli poczekać nawet do dwóch lat.



AUTO BONDA REKORDOWO DROGIE



Aston Martin DB5 z 1965 r. Pierwsze auto naj-słynniejszego szpiega Jego Królewskiej Mości – wyposażone m.in. w mechanizm błyskawicznej zmiany tablic rejestracyjnych, szufladę na broń, wysuwaną i chowaną za tylną szybą kuloodporną tarczę, fotel z wyrzutnią oraz specjalny system do wyrzucania granatów dymnych – zostało sprzedane na największej na świecie aukcji klasyków w amerykańskim mieście Monterey. Nowy nabywca zapłacił za niego aż 6,385 mln dol., czyli równowartość 25,15 mln zł. Auto jest w pełni sprawne. Niestety, wiele wśród szpiegowskich gadżetów – jak np. karabiny maszynowe automatycznie wysuwające się spod światła – to jedynie atrapy. Na szczęście, jeżeli ktoś będzie próbował jechać niebezpiecznie blisko na zderzaku, kierowca tego DB5 zawsze może użyć np. rozpylacza oleju lub gwoździ do przebijania opon.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ROLLS-ROYCE NA POŻEGNANIE

Jedynie 50 kolekcjonerskich sztuk na pożegnanie niezwykle popularnego modelu Ghost zamierza wyprodukować brytyjski producent luksusowych limuzyn. Limitowana, dwubarwna seria Ghost Zenith powstanie w trzech wersjach kolorystycznych: Iguazu Blue połączona z Andalusian White, Premiere Silver z Arctic White lub Bohemian Red z Black Diamond. Auto niezwykle wrażenie ma też robić w nocy: w podsufitce zamontowano bowiem ponad tysiąc małych światełek, które po zapadnięciu zmroku mają zmieniać dach limuzyny w piękne gwiazdziste niebo.



Z hybrydą nabierzesz rozpędu

Małe spalanie, duża zmiana



Już od **109 zł netto***

*Przy wynajmie na 30 dni. Po pełną ofertę skontaktuj się z wybranym oddziałem Rentis



RENTIS
Smart way to rent a car



+48 720 200 500



www.rentis.pl



info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

📍 **BIAŁYSTOK** +48 519 535 331 📍 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 📍 **GDAŃSK** +48 519 535 311 📍 **GORZÓW WLKP.** +48 519 535 327
📍 **KATOWICE** +48 519 535 301 📍 **KIELCE** +48 519 535 304 📍 **KRAKÓW** +48 519 535 305 📍 **LUBLIN** +48 519 535 318
📍 **ŁÓDŹ** +48 519 535 308 📍 **OLSZTYN** +48 519 535 314 📍 **OPOLE** +48 519 535 307 📍 **PŁOCK** +48 519 535 334 📍 **POZNAŃ** +48 519 535 303
📍 **RZESZÓW** +48 519 535 306 📍 **SZCZECIN** +48 519 535 310 📍 **WARSZAWA** +48 519 535 302 📍 **WROCŁAW** +48 519 535 307

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Zamieszkać w Poczdamie

W ubiegłym miesiącu ożywioną dyskusję w Niemczech wzbudziły żądania przedstawicieli rodu Hohenzollernów przekazania im w użytkowanie części rodowych posiadłości, które były własnością dynastii panującej w Prusach i Niemczech do 1918 r. Cesarz niemiecki i król Prus Wilhelm II, który jako ostatni z Hohenzollernów sprawował władzę w Berlinie, abdykował 9 listopada 1918 r. Republika Weimarska przejęła na własność wszelkie nieruchomości i zbiory dzieł sztuki, które

wszelkie ich relikty, jak własność junkierska i ślady obecności Hohenzollernów. Porozumienie z 1926 r. przestało obowiązywać.

Dwa miesiące temu głowa domu Hohenzollernów, książę Jerzy Fryderyk, formalnie zwrócił się do władz RFN z postulatem powrotu do dawnych regulacji. W praktyce oznaczać by to musiało zwrot Hohenzollernom wielu dzieł sztuki będących obecnie w gestii utrzymywanych z budżetu federalnego fundacji. Dość wspomnieć, że w 1926 r. zgodzono się na prawo zamieszkiwania Hohenzollernów w poczdamskiej rezydencji Cecilienhof. Tej samej, w której w 1945 r. obradowała konferencja wielkiej trójki.

O żądaniach potomków Wilhelma II w lipcu poinformowały niemieckie media. Przeważający ton komentarzy był krytyczny. Najostrzej wypowiadali się przedstawiciele lewicy. Były przewodniczący Bundestagu Wolfgang Thierse z SPD w wywiadzie dla Deutschland Funk mówił o „bezczelności przekraczającej granice” i podkreślał, że „ci, którzy kolaborowali z Hitlerem, sami pozbawili się podstaw do jakichkolwiek roszczeń”. Lewicowy polityk czynił w ten sposób aluzję do uczestnictwa w ruchu hitlerowskim jednego z synów Wilhelma II (Augusta Wilhelma uwielbiającego się fotografować w mundurze SA), choć sam cesarz był pod tym względem znacznie bardziej powściągliwy.

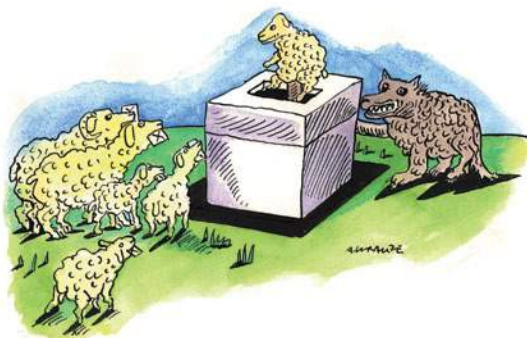
Obserwując oburzenie niemieckich komentatorów, trudno pozbyć się poczucia, że tkwią oni w pewnej schizofrenii. Z jednej strony bowiem żądania Hohenzollernów traktowane są jako bezczelność, a z drugiej strony jesteśmy w ostatnich latach świadkami prawdziwego renesansu Prus i ich dynastii w szeroko pojętej sferze publicznej i kulturze politycznej współczesnych Niemiec.

Nie ma co ukrywać, że taki rozwój wydarzeń był niejako zaprogramowany w momencie, gdy po zjednoczeniu Niemiec podjęto decyzję o przeniesieniu stolicy Bundesrepublik z Bonn do Berlina; do miasta, którego historia jest nierozzerwalnie związana z dynastią Hohenzollernów. Zaraz potem odbył się ponowny pochówek króla Fryderyka II (zwanego Wielkim) w Poczdamie w obecności kanclerza Helmuta Kohla i w asyście kompanii honorowej Bundeswehry. W 2012 r. z okazji trzzechsetnej rocznicy urodzin „starego Fryca” zorganizowano w Niemczech huczne obchody połączone ze swoistą reinterpretacją tej postaci. Wielki Europejczyk, „król-filozof”, przyjaciel Woltera, patron nauki i gospodarczej modernizacji – w ten sposób kilka lat temu przedstawiano w niemieckich mediach postać Hohenzollerna odpowiedzialnego za agresywną politykę Prus wobec wszystkich swoich sąsiadów.

W 2016 r. niemieckie ministerstwo obrony kierowane przez Ursulę von der Leyen opublikowało „Białą księgę”, w której zapisano, że „wzorcami wychowawczymi” dla żołnierzy i oficerów współczesnej Bundeswehry mają być również reformatorzy pruskiej armii po 1806 r.

Z a rok w lipcu w centrum Berlina ma być oddany do użytku odbudowany od fundamentów królewski zamek Hohenzollernów. Przedsięwzięcie było realizowane i finansowane zarówno przez rządy Schrödera, jak i Merkel. Teraz zamek będzie nazywać się Humboldt Forum, a w środku będą ekspozycje i wystawy artystyczne oraz biblioteki. Tak aby wycieczki z Japonii i Ameryki wiedziały, że Hohenzollernowie lubowali się w obrazach i książkach – i w niczym innym. ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



znajdowały się w rozsianych od Renu po Niemen rezydencjach Hohenzollernów. W 1926 r. rząd Prus (dynastia abdykowała, ale państwo przetrwało jako część republikańskiej Rzeszy) zgodził się na oddanie Wilhelmowi II, który po abdykacji osiadł w Holandii, osobistej własności jego rodu – przede wszystkim dzieł sztuki i kosztowności. Hohenzollernowie zyskali również prawo przebywania w niektórych dawnych rezydencjach. Po II wojnie światowej nawet te wyjątki zostały usunięte. W 1947 r. alianci podjęli decyzję o formalnej likwidacji Prus jako państwa. Zniknąć miały również



SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Śmieć się i utrwalaj

Chyba Empedoklesowi przypisuje się powiedzenie, że „Skoro warto ożenić się raz, to warto i dwa razy”. Zresztą mogłem się pomylić i mogło chodzić raczej o cytata: „Co warto powiedzieć raz, warto i dwa razy”. E, w sumie nawet biorąc pod uwagę bezpieczeństwo procesowe, można temu Empedoklesowi przypisać oba powiedzenia. Zostawmy dygresję. Otóż... On się znowu ożenił.

Ten świat został stworzony w tak niedoskonały sposób, że bardzo trudno jest zadzwonić do kogoś, kogo się nie zna. No można do nieznajomego zadzwonić przez przypadek, ale nie o to chodzi. Natomiast ten świat został stworzony w tak niedoskonały sposób, że dużo łatwiej jest zadzwonić do kogoś, kogo się zna, nawet jak się go nie zna, to znaczy, jak się go zna, ale nie zna się osobiście. O to chodzi! Tego powinni uczyć na MBA, ale nie uczą, wiem, bo się uczyłem i nie nauczyli, sam się nauczyłem, a powinni uczyć, gdyż to może być bardzo silny fundament biznesu. Krzysztof Rutkowski znowu się ożenił. Ladaco. Trzeci raz dopiero, ale życzymy jemu i Mai, żeby ostatni.

Cokolwiek by mówić o Krzysztofie Rutkowskim, jest to silny fenomen wymyślony w szczegółach przez Krzysztofa Rutkowskiego. Otoczeniu dajemy znać, że jesteśmy ponad otoczeniem, jeśli o Krzysztofie Rutkowskim wypowiadamy się z lekkim warg wyduchem, czyli politowaniem. W do-

brym tonie jest politować się nad Krzysztofem Rutkowskim, wyśmiać na przykład jego z metra ciętą fryzurę i w ogóle. Tymczasem nasze wyśmiewanie lekko zaburza ją te pieniądze niestety. Bo tego Rutkowskiego chętnie wsadzilibyśmy do szufladki „umiarkowany gamoń”, ale te pieniądze. On je jednak zarabia.

Amy na tyle jesteśmy ocytani, że gdzieś pod potylicą świdruje zdanko: „Jeżeli jesteś taki mądry, to dlaczego nie jesteś bogaty?”. My jesteśmy mądrzy, a Rutkowski jest bogaty. No jak to? Lżej by nam było, gdyby Rutkowskiemu krowa zdechła, drobna radość, do której byśmy się nie przyznali, a schadenfreude by polechtało. Natomiast Rutkowski nie ma krowy. Ma za to milion, którego nie ma, bo wydał na wesele. Któż z nas nie ma ochoty wydać sobie miliona? Jaki śmieszny ten Rutkowski. I piszą o tym jego weselu i o tym milionie wydanym. I ludzie go z tego między innymi znają, choć nie znają osobiście. Potem jak jakiś „ludź” ma potrzebę zadzwonić osobiście do detektywa, który oficjalnie nie jest detektywem, ale wiadomo, że jest detektywem. To do kogo zadzwoni, jak zna tylko Rutkowskiego z detektywów? I dzwoniąc, myśli sobie, słusznie albo nie-słusznie: „Musi być dobrym detektywem, skoro ma tyle hajsu”. Ten świat został stworzony w tak niedoskonały sposób, że bardzo trudno jest zadzwonić do kogoś, kogo się nie zna... ©©



MARCIN
MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Płatki śniegu

Muszę państwu wyznać coś krępującego. Od dłuższego czasu z zaciekawieniem obserwuję internetową aktywność byłej zastępczyni Adama Bodnara, a obecnie europosłanki Wiosny – Sylwii Spurek. Przepraszam, dr Sylwii Spurek, ponieważ swój tytuł naukowy akcentuje na każdym plakacie, wpisie i komunikacie. Otóż pani doktor posiada wrodzoną lekkość w oburzaniu się, protestowaniu, apelowaniu i banalizowaniu złożonych tematów, wyprzedzając o lata świetlne średnią polskiej liberalnej lewicy. W tym sensie wyprzedza ona trendy i zwiastuje wejście do mainstreamu pokolenia, które w politycznym slangu Stanów Zjednoczonych doczekało się już osobnej nazwy. To „płatki śniegu” („snowflakes”), czyli grupa społeczna targana emocjami, nadwrażliwa, słomiano-zapałowa, łatwa do obrażenia i – co zrozumiałe – światopoglądowo progresywna.

Owe „płatki” zaskakująco często angażują się w działalność, która również doczekała się osobnej nomenklatury za oceanem, tj. uprawiają skaltywizm. Polega on na symulowaniu aktywizmu społecznego, który ogranicza się do pustych gestów, fotografowania się z kartkami, na których wypisane są odważne hasła, oraz promowania hashtagów, pozowania na Instagramie czy zmieniania awatarów na Facebooku. Oczywiście wszystko zebrane do kupy niczego w świecie nie zmienia,

poza poprawą samopoczucia skaltywistów czujących, że „coś dla sprawy zrobili”.

Przykłady? Jeden z moich ulubionych to zdjęcia smutnego talerzyka z frytkami i papryką z dofinansowywanej z pieniędzy podatników stołówki europarlamentu, wzbogaconego komentarzem, że nie szanuje się tutaj wegan, którzy nie mają wielkiego wyboru cateringowego. „Jak na miejsce, które powinno skutecznie walczyć o prawa człowieka, prawa zwierząt i przeciwdziałać zmianom klimatycznym, to trochę obciach. Widać, że w wielu sprawach PE przespał sporo czasu. Czas na przebudzenie i zmiany!” – zakrzyknęła pani doktor. I oczywiście dopisała do tego osobny hashtag „#PEgoVegan”, ale co od lipca zrobiła w tej sprawie, nie wiadomo.

Wiadomo jednak, co chciałyby zrobić w temacie, gdyby miała realną władzę. Przyznała to ostatnio w następującym wpisie: „Musimy doprowadzić do zmian instytucjonalnych, na przykład poprzez tworzenie nowych praw [...]. Musimy sprawić, by produkcja wyrobów odzwierzęcych była trudniejsza i droższa”. Jak to się wszystko pięknie zapętle w wizję nowego świata. Świata, gdzie można napisać: „PO PIERWSZE, NIE ZABIJAJ!” w obronie odstrzeliwanych przez myśliwych ptaków, ale popierać aborcję. W którym chce się pokój, ale na Święto Wojska Polskiego daje się cytata: „Czasy takie niespokojne, róbmy miłość, a nie wojnę”. Zrobi się cieplej i te „płatki” się stopią. ©©



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Grupa trzymająca „EmiE”

JAKUB KOSIKOWSKI: *Powoli zaczynam dochodzić do wniosku, że TVP bardzo łagodnie obeszła się z rezydentami z tym kawiozem i zagranicznymi wczasami na akcji humanitarnej. Bo zawsze mogliśmy np. przeprowadzać podziemne aborcje.*

Tak rzecznik Porozumienia Rezydentów OZZL skomentował na Twitterze kierowaną z Ministerstwa Sprawiedliwości akcję anonimowego oczerniania niewygodnych dla władzy sędziów. I trudno się z tą gorzką refleksją młodego lekarza nie zgodzić – w porównaniu z tym, co rząd

lecz także skutecznie ośmieszyć atakujących, gdy kawior okazał się tapenadą z oliwek, a egzotyczne wakacje – misją humanitarną. Gdyby wtedy władza zastosowała metody Piebiaka – zorganizowaną akcję dyfamacyjną w Internecie prowadzoną z anonimowych kont – lekarzom dużo trudniej byłoby bronić dobrego imienia, bo trudno się prostuje anonimowe plotki, a pozwać nie ma kogo.

Ludzie Zbigniewa Ziobry przenieśli polityczną walkę na zupełnie nowy poziom, strach pomyśleć, co by było, gdyby nie byli tak nieudolni. Na szczęście ministerialny gang Olsena wykazał się w tej sprawie podobną skutecznością jak we wszystkich swoich dotychczasowych akcjach i skończyło się autokompromitacją. Jest więc cień nadziei, że – przynajmniej na jakiś czas – nikomu nie przyjdzie do głowy stosowanie metod bardziej odpowiednich dla grupy rekonstrukcyjnej SB niż dla ministerstwa wolnej Polski. Małe to jednak pocieszenie, bo wiedząc już, jakiego kalibru ludzie rządzą w ministerstwie, możemy być raczej pewni, że jedyne, co ich powstrzyma, przed kontynuowaniem politycznej walki w stylu zaprezentowanym przez grupę trzymającą „EmiE”, to strach przed zdemasko-

waniem. Nie mam wątpliwości, że mądrzejsi o dotychczasowe doświadczenie będą próbować dalej, ostrożniej i skuteczniej. Inaczej chyba bowiem nie potrafią.

Zbigniew Ziobro deklaruje, że nic nie wiedział i nie będzie tolerował. Nie zwolnił jednak Piebiaka dyscyplinarnie, tylko pozwolił mu złożyć dymisję, nic też nie słysząc o wszczętych z urzędu postępowaniach przeciwko urzędnikom wykorzystującym internetową hejterkę, choć paragrafów na nich znalazłoby się aż nadto i gdyby oburzenie ministra było szczere, to jemu najbardziej zależałoby na szybkim śledztwie i wyciągnięciu konsekwencji wobec spiskowców. Po bardzo łagodnym potraktowaniu Piebiaka widać, że nic takiego się nie stanie, a skompromitowani sędziowie zapewne wkrótce wrócą do orzekania w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej, choć nawet na stanowisko sędziego sądu rejonowego trzeba mieć nieskazitelną charakter. Teoretycznie.

Dalsze kariery sędziów z grupy trzymającej „EmiE” oraz zachowanie prokuratury w tej sprawie dadzą nam jasną odpowiedź na temat (nie)wiedzy Ziobry o kierowanej z ministerstwa kampanii. Obawiam się jednak, że sama ją już znam. ©©

Nawet na stanowisko sędziego sądu rejonowego trzeba mieć nieskazitelną charakter. Teoretycznie

i obsługujące go media zgotowały sędziom, strajkujący lekarze zostali potraktowani naprawdę łagodnie, choć wcale nie dlatego, że chciano ich oszczędzić – po prostu oddelegowano do tego zadania wyjątkowych partaczy z portalu TVP Info, a ci wykonali je tak nieudolnie, że oskarżeni o kanapkożerstwo rezydenci byli w stanie nie tylko się obronić,

PODSŁUCHANE

Śmieszne obrazki

Zbyszek! Tam miało być u ciebie czysto i spokojnie! Umawialiśmy się!

Wiem, Jarku, ale daję słowo – nic o tym nie wiedziałem! Zresztą już Piebiaka wyrzuciłem... Znaczący, sam się wyrzucił, a temu sędziemu zakończyli delegację do ministerstwa.

Któremu sędziemu?
Jak to któremu?

Bo ja czytam, że ty tam masz z 50 takich sędziów, co sobie lubią pokorespondować.
O niczym nie wiedziałem!

I co teraz? Wszystkim zakończysz delegację?

Jak sobie tylko życzysz. Ale rozumiesz, że nie mogę tak od razu, bo nie miałby kto tam u nas pracować. Jakoś stopniowo muszę.

Im trzeba wszystkim odebrać te tłitery, mesendżery i te inne. Masz takie zarządzenie przygotować, że kto idzie do ministerstwa, ten ma nie mieć żadnego konta nigdzie w żadnych komunikatorach, fejsbukach i innych. Jasne?
Tak jest! A co tak pika? To coś u ciebie chyba?

A bo mi tu w komputerze takie coś Adam założył, że można pisać do siebie, i teraz Julia – wiesz, nudzi jej się – mi cały czas jakieś śmieszne obrazki z Donaldem wysyła. O, zobacz! ©© **Łukasz Warzecha**

OD RZECZY

„Krzyż nadal zabija! Usunąć z Giewontu!”

JAN HARTMAN, filozof, nauczyciel akademicki, na Twitterze po katastrofie w polskich górach

fot. Jerzy Gumowski



Potęga sprytu (2)

Tydzień temu zakończyłem felieton pochwałą sowieckich studentów, którzy sprytnie oskubali bandziorów gruzińskich. Moim studentom z Wydziału Architektury PW (gdy wykładałem tam Historię Kultury i Cywilizacji) też nie brakowało sprytu — opowiedzieli mi jak zarabiali w Szwecji podczas wakacyjnych eskapad sprzedawaniem olejnych kiczów typu „*jeleń na rykowisku*”. Znając preferencje estetyczne Szwedów brali od azjatyckiego hurtownika tylko dwa taśmowo tłuczone tematy: słodki pejzaż i rabiną czytającego „*Talmud*” przy palącej się świeczce. Co prawda handel domokrażny był wówczas w Szwecji zakazany, lecz rodzima studenteria wygniuchwała przepis, że młody artysta, który pragnie, by opiekuncze szwedzkie państwo sfinansowało mu debiutancki wernisaż, musi udokumentować tzw. „*poparcie społeczne*” dla swej twórczości przedstawiając listę z podpisanymi 500 Szwedów pozytywnie oceniających jego prace. W tym celu wolno mu pukać do drzwi domów, pokazywać swoje malunki i prosić o podpis na liście, co też robili, wstawiając gadkę następującą:

— Dzień dobry, jestem artystą z Polski i chciałbym mieć wystawę w Sztokholmie, ale to niemożliwe bez społecznego poparcia, taki jest u was przepis. Czy zatem mógłby pan (pani) rzucić okiem na dwa moje dzieła i jeśli się panu (pani) spodobają sygnować mi listę akceptacyjną?

Po czym ukazywali tajwański pejzaż nadunajski oraz tajwański nokturn z rabinem, i zazwyczaj wywiązywał się taki dialog:

— To bardzo ładne... Chętnie bym to od pana kupiła...

— Niestety, proszę pani... nie wolno mi sprzedawać moich dzieł, bo za handel domokrażny mógłbym zostać ukarany i wydany z waszego kraju.

— Ależ, proszę pana, nikomu nie pisnę słówka, nikt się nie dowie!

— Niestety, proszę pani, bardzo mi przykro... itd.

— Ależ, proszę pana, skąd ktoś miałby się dowiedzieć, że kupiłam to od pana?... No, niechże się pan zgodzi, zapłacę panu bardzo dobrze!

Spieniężywszy „*dzieła*” za sumę zwiększoną stopniem ryzyka studenci ruszali do następnego domu, ukazywali ten sam landszaft plus tego samego starozakonnego, po czym tajny mecenat artystyczny ubijano za kolejną harmonię koron. Dialogi toczono angielszczyzną, co czasami sprawiało problemy, więc opracowali kolejny patent: pukać do drzwi artysta miał zawieszony u szyi kartonik z kaligrafowanym obustronnie „*kitem*” w języku szwedzkim. Na awersie widniało: „*Dzień dobry. Jestem polskim artystą*

niemową. Chciałbym mieć wystawę...” itd., a na rewersie: „*Niestety, nie wolno mi sprzedawać swoich prac...*” itd. Dzięki obracaniu kartonika i kilku mimicznym gestom niemowa zawierała lukratywny interes, bo suma rosła już nie tylko z powodu ryzyka, lecz i współczucia dla kalektwa polskiego artysty. W tysiącach domów inteligencji szwedzkiej wiszą pejzaże nadunajskie oraz rabinów identyczne co do milimetra, gdyż tajwański robotnik pracujący przy taśmie jest precyzyjny niczym komputer, czego zazdrości Azjatom cały glob.

Zostańmy jeszcze chwilę w kręgu malarstwa. Branżowym sprytem wykazał się znany francuski artysta Kees van Dongen. Pytany o sekret powodzenia tworzonych przezeń portretów żeńskich, klarował:

— To proste. Ukazuję te baby szczuplejsze niż są, a ich biżuterię czynię masywniejszą.

Tak dotarliśmy do pań. O ich sprycie wie każdy gość dźwigający poroże, lecz łóżko to nie jedyna arena sprytu kobiecego, może to być również samochód. W duńskim banku elegancka dama poprosiła o szybki kredyt, a pytana czy ma zabezpieczenie po-



Kombinatorzy i mistyfikatory



zyczki, wskazała wypasione ferrari stojące przed bankiem i wręczyła urzędnikowi kluczyki, ten zaś odprowadził wóz do bankowego garażu. Trzy tygodnie później pani wróciła z całą sumą, dodając 200 euro odsetek. Urzędnik był zdumiony:

— Pani nawet nie otworzyła firmowej koperty z tą gotówką, więc co tu jest grane?!...

— A gdzie w centrum znajdę bezpieczny parking na trzy tygodnie za dwieście euro, gdy lecę do Paryża? Tyle kosztuje tu kilkudziesięć godzin, drogi jest także parking przy lotnisku.

Wymierzony w kobiety spryt panów reklamuje dowiec o facecie pytającym zawodowego mordercę jak pozbyć się kochanki tak, by wyglądało to na samobójstwo. Killer wyjaśnia:

— Trzeba dno basenu pokryć lustrem, wtedy sama się utopi.

— Ale ja nie mam basenu.

— Więc daj jej pistolet i powiedz, że to nowoczesna luksusowa suszarka.

Takie sprytnie koncepty panowie mają też w sferze jurysdykcyjnej. Gdy prezes NIK, Krzysztof Kwiatkowski, został uwikłany w aferę PSL—owskiego barona Jana Burego i groził mu sąd, salonowcy wymyślili postawienie Kwiatkowskiego przed Trybunałem Stanu, co po zaklepaniu przez TK likwidowało oskarżenia prokuratorskie i możliwość procesu karnego. Salonowcy już tak mają, to kliniczni spryciarze. Bronisławowi Komorowskiemu wydawało się, że jest sprytny gdy

tworzył swój prezydencki dwór z utytułowanych lewicowych figur. Nie chciał słuchać ostrzeżeń, iż „*używane kobiety*” typu prof. Nałęcza to sztabowcy fatalnej próby. Co się skończyło jego największą życiową „*wtopą*” — kampanią reelekcyjną, którą mu przygotował i poprowadził ten sztab. Składał się on z ludzi niepełnosprytnych.

Spryt w polityce jest rzeczą regulaminową. Kiedy po śmierci Stalina NRD—owcy żądali od Chruszczowa, by im zwrócił Szczecin — Polacy mianowali go ceremonialnie „*honorowym obywatelem polskiego Szczecina*”, i ten trik związał mu ręce (żałali się: „*Stalem się honorowym zakładnikiem tych polskich cwaniaków!*”). Osobnym królestwem sprytu są działania militarne, pełne forteli wojennych (jak rozpalać nocą duże liczby ognisk dla sugerowania przeciwnikowi większej liczebności wojsk) i powojennych. Mocą traktatu zawartego w Karłowcach (1699) między Turcją a Polską odzyskałyśmy Podole i część Ukrainy, lecz przed podpisaniem umowy Turcy postawili warunek: na katedrze w Kamieńcu Podolskim (z której uczynili meczet) ma zostać półksiężyc jako świadectwo, że przez minione 20 lat władali tutaj. Polacy wyrazili zgodę i ustawili na tym półksiężycu figurę Matki Boskiej, co razem stworzyło jej typowy późniejszy wizerunek, znany z rzeźb i obrazów.

Wśród mistyfikacji wojennych czołową renomę zdobyły rozmaite wysiłki aliantów pragnących omamić Hitlera przed desantami na Sycylii (1943) i w Normandii (1944) mówieniem mu innych miejsc lądowania. Co do inwazji południowoeuropejskiej to wmówiono mu desant w Grecji, w południowej Francji i na Sardynii, podrzucając u wybrzeży Hiszpanii trupa rzekomego oficera brytyjskiego (operacja „*Mincemeat*”), przy którym znaleziono „*tajne plany*” ataku ku greckim, sardyńskim i śródziemnomorskim francuskim plażom (to ostatnie zostało wzmocnione częstymi wizytami w Algierze i na Gibraltarze sobowótora marszałka Montgomery’ego). Jeśli idzie o inwazję normandzką Niemcom zasugerowano fałszywe kierunki (Norwegia i głównie Calais) różnymi sprytnymi trikami (meldunki „*podwójnych agentów*”, fałszywe „*przecieki*”, etc.), pośród których rekordowo imponujące było wybudowanie vis-à-vis Calais z dyktu, tektury oraz nadmuchiwanej gumy dużego pancerno-lotniczego zgrupowania (operacja „*Fortitude*”), i ta maskarada udała się, ogłupiała Wehrmacht.

Ze wszystkich sprytnych pomysłów, jakie się nie udały — najbardziej trzeba żałować niepowodzenia słynnego radzieckiego akademika Trofima Łysenki, który chciał skrzyżować psa z jabłonią, by drzewo samo się podlewało i samo odpędzało szczekaniem złodziei owoców. ©

Waldemar Łysiak



PARTNER
STRATEGICZNY
VII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI **2019**

